W NUMERZE: Fragment powieści H. Czarneckiego „Daleko od szosy" ■ Rozmowa o problemach gospodarki żywnościowej z kierownikiem Wydziału Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej KŁ PZPR – Tadeuszem Płaską ■ „Jak zostałem koszykarzem?" – czyli opowieść trenera spisana przez Bogdę Madej ■ Recenzje, felietony

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 21 (1067) ROK XXI | 21 MAJA 1978 R. | CENA 3 ZŁ

Foto: W. Parys

EUGENIUSZ IWANICKI

ODDZIAŁ DECYZJI OSTATECZNYCH

Kiedy dokonywano uroczystego otwarcia tego szpitala, nie było fanfar, nie zwołano konferencji dziennikarskiej, ot po prostu przecięto wstęgę, przekazano władzę nowo powołanemu dyrektorowi — i martw się dalej sam. I dyrektor, a także reszta personelu nowego szpitala dla powiatu łaskiego zamiast przyjmować pierwszych chorych rozpoczęli natychmiastowy remont tego okazałego na zewnątrz lecz chorego od środka obiektu. Nikogo jednak nie zdziwił fakt, że po odejściu ekip budowlanych kto żyw rzuca się ratować i zabezpieczać to, co przez tyle lat było nieudolnie wznoszone.

SZPITALNE USTERKI

Fundamenty założono w 1971 r., a w trzy lata później **Łaskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego „Montoprzem"** zameldowało o ukończeniu robót. Nie od dziś jest znana kokieteria przedsiębiorstw budowlanych; przyszły użytkownik częstokroć ponaglany obiektywnymi przyczynami, chce jak najszybciej wejść w posiadanie budynku. W Łasku stało się podobnie Toteż przez następne trzy lata usuwano usterki: zarysowujące się stropy, odpadające tynki, pękające rury wodociągowe i centralnego ogrzewania (walka z wodą zalewającą ściany!), niechlujnie położone przewody pod tynkiem, wadliwie przekazana instalacja tlenowa, od której zależy przecież życie ludzkie, niesprawne i nie podłączone urządzenia w pralni i kuchni (brak dodatkowego zasilania uniemożliwił podłączenie szeregu urządzeń gastronomicznych — podłączono je dopiero po

Dalszy ciąg na str. 9

PAN JULIUSZ

TADEUSZ GICGIER

1.

Działo się to w czerwcu 1942 roku w osadzie leśnej Rybaki nad Narwią. Pan Juliusz pracował wtedy przy spławianiu drzewa. W czasie pacyfikowania przez Niemców wsi Rajsk wymknęło się z niej kilku mężczyzn zapewne partyzantów, ostrzeliwując się w trakcie ucieczki. Uciekali w kierunku lasu.

Pan Juliusz wyszedł do studni po wodę. Słońce przygrzewało od rana więc był tylko w spodniach. Zobaczył, jak przez pole, młodym żytem przemykają się chyłkiem żołnierze niemieccy. Wieś była już otoczona ze wszystkich stron. Krzyki przerażenia płacz kobiet, odgłosy wystrzałów. Jeden z Niemców dopadł pana Juliusza i popchnął go kolbą w stronę chałupy. Oparł na jego ramieniu pistolet maszynowy, a sam stanął za nim w drzwiach izby. Spał tam jeszcze kolega, spała na piecu gospodyni. Niemiec puścił serię z automatu, gospodyni spadła z pieca, na szczęście tylko wskutek przerażenia. Ich obu poprowadził na drogę, gdzie już spędzono innych mężczyzn. Niemcy przetrząsali dalej wieś w poszukiwaniu partyzantów, niektórzy chłopi próbowali uciekać, ale ich schwytano. Kazano im wziąć łopaty i kopać dół do zbiorowej egzekucji. W tym czasie mężczyzn spędzonych na drogę „pilnował" wycelowany w nich karabin maszynowy.

Traf chciał, że wtedy właśnie nadjechał kierownik przedsiębiorstwa, w którym pracował pan Juliusz. Niemiec wszczął raban, że woda w rzece opada, tratwy trzeba natychmiast odprawić, a tu mu chcą wystrzelać flisaków. Żołdacy nie ustępowali wreszcie Niemcowi udało się „wytargować" kilku swych robotników, wśród nich pana Juliusza.

— Uratował mnie tylko przypadek — mówi pan Juliusz. — Bo wielu mężczyzn wtedy rozstrzelano, tych ze wsi i tych, którzy ukryli się w lesie. Byli to Bogu ducha winni chłopi. W odwet partyzanci wysadzili potem pociąg, który wiózł mąkę dla niemieckich żołnierzy na froncie wschodnim, Las wzdłuż toru był długo biały, jakby go przysypał śnieg w środku lata.

2.

Pan Juliusz jest członkiem Komitetu Opieki nad Miejscami Pamięci Narodowej. Od lat gromadzi mate-

Dalszy ciąg na str. 7

Płk dr JAN POWAŁA

BRON „N”

Nie słabnie głos protestu światowej opinii publicznej przeciw produkcji broni neutronowej. Szerokim echem odbił się apel międzynarodowego forum, które obradowało w Amsterdamie pod hasłem „Powstrzymać bombę neutronową”. Mieszkańcy wielu miast masowo uczestniczyli w wiecach i marszach protestacyjnych. Przeciwko neutronowej groźbie zdecydowanie wypowiada się społeczeństwo polskie.

Ten ruch społeczny w coraz większym stopniu wpływa na stanowisko poszczególnych rządów i parlamentów, czego przykładem jest podjęta poważną większością głosów uchwała Izby Drugiej w Holandii oraz wypowiedzi oficjalnych osobistości Danii, Norwegii, Islandii i innych krajów zachodnich.

Związek Radziecki, który od wielu lat dzierży ster walki o zahamowanie wyścigu zbrojeń, likwidację arsenałów nuklearnych i zakaz budowy nowych typów broni masowego rażenia, wystąpił z inicjatywą o doniosłym znaczeniu — zaproponował zawarcie porozumienia w sprawie wzajemnego wyrzeczenia się produkcji broni neutronowej.

Decyzja o podjęciu produkcji broni neutronowej i uzbrojenia w nią armii NATO została odroczona na czas nieokreślony. Jednakże walka przeciwko broni „N” nie może ulec osłabieniu ani na chwilę. Przerażający antyhumanizm tej broni urąga wszelkim pojęciom człowieczeństwa, godności i moralności. Broń neutronowa oszczędza fabryki, domy, czołgi, armaty, samoloty itp. Uśmierca natomiast ludzi: mężczyzn, kobiety, dzieci i starców. Jest ona najnowszym produktem imperializmu amerykańskiego, typowym produktem systemu pałającego wrogością do socjalizmu i kierującego się zyskiem wielkich monopoli oraz kompleksów wojskowo-przemysłowych.

Stany Zjednoczone nie ustają w swych zabiegach o uzyskanie przychylności państw NATO dla swych planów produkcji i rozmieszczenia broni „N” w Europie zachodniej. Oficjalni przedstawiciele Waszyngtonu usiłują przekonać zachodnioeuropejskich partnerów Paktu Północnoatlantyckiego, że broń neutronowa podniesie „skuteczność zachodniej doktryny odstraszania”. Na temat militarnych „zalet” tej broni wypowiedziało się wielu matadorów zimnej wojny, jak sekretarz generalny NATO, Joseph Luns, czy naczelny dowódca sił zbrojnych paktu, gen. Alexander Haig.

Z komentarzy prasowych i różnych półoficjalnych „przecieków” wynika, że ostateczna decyzja w sprawie broni „N” ma prawdopodobnie zapaść przed waszyngtońską sesją Rady NATO, która obradować będzie pod koniec maja bieżącego roku. Pentagon czyni wszystko, nie cofając się nawet przed szantażem, aby ta decyzja brzmiała „tak”.

Apologeci broni neutronowej świadomie dążą przy tym do pomniejszenia niebezpieczeństw w związanych z ewentualnym podjęciem produkcji i wprowadzeniem do arsenałów NATO broni neutronowej. Stwierdza się, że zasadniczo nie jest ona „niczym nowym”, że stanowi jedynie odmianę broni nuklearnej „o zmniejszonej sile wybuchu i podwyższonym promieniowaniu”. Pomija się natomiast naukowe dowody, że jest to wyjątkowe narzędzie zagłady o nieobliczalnych skutkach genetycznych dla rodzaju ludzkiego. Przemilcza się fakt, że ewentualne użycie broni „N” zagroziłoby najgęściej zaludnionym obszarom Europy środkowej i zachodniej.

Z równą obojętnością Waszyngton zdaje się przyjmować ostrzeżenia, iż wyprodukowanie broni neutronowej i wyposażenie w nią wojsk Paktu Północnoatlantyckiego nadałoby nowy impuls wyścigowi zbrojeń i w poważnym stopniu obciążyłoby toczące się obecnie rokowania rozbrojeniowe. A przecież forsowany przez Zachód wyścig zbrojeń pochłania ogromne sumy. W roku 1977 wydano na zbrojenia ponad 350 mld dolarów.

Jest oczywiste, że podjęcie produkcji broni neutronowej i wprowadzenie jej na uzbrojenie armii NATO spowodowałoby, że Związek Radziecki i inne kraje socjalistyczne nie mogłyby pozostać obojętne wobec tego faktu. Próba naruszenia równowagi strategicznej między Wschodem a Zachodem musiałaby odbić się niekorzystnie na procesach odprężenia, skomplikowałaby stosunki międzynarodowe i zagroziłaby zniszczeniem tego, co już osiągnięto w toku wielostronnych rokowań w Helsinkach, Belgradzie i na forum ONZ.

Po II wojnie światowej możemy odnotować trzy generacje broni masowej zagłady w Stanach Zjednoczonych. Pierwsza generacja broni jądrowej USA straciła swoje znaczenie jako środek szantażu politycznego przeciwko państwom socjalistycznym w momencie złamania monopolu atomowego USA przez ZSRR. W Stanach Zjednoczonych mówiono, że minie cała epoka historyczna, w której monopol atomowy będzie należał wyłącznie do nich. Tymczasem we wrześniu 1949 r. Związek Radziecki ten monopol złamał, a w latach następnych wyprzedził USA w dziedzinie techniki rakietowej, czego dowodem był pierwszy sztuczny satelita Ziemi. W tych warunkach, użycie przez imperializm broni jądrowej przeciwko państwom socjalistycznym wiązało się z nieobliczalnym ryzykiem dla Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników z NATO.

Drugą generację broni jądrowej, rozwijaną w Stanach Zjednoczonych od początku lat sześćdziesiątych, charakteryzuje miniaturyzacja i dążenie do zwiększenia jej celności. Liczono na tę broń zarówno jako środek walki, jak i na środek funkcjonalny w sferze polityki. Ale i te rachuby okazały się zawodne.

Obecnie próbuje się rozwijać trzecią generację broni jądrowej — broń neutronową. Liczy się, że ten środek walki, pozwoli utrzymać operacje militarne poniżej progu wojny jądrowej i nie pociągnie za sobą druzgocących uderzeń odwetowych na agresora. Marzeniem sił zimnowojennych jest możliwość wykorzystania bez ograniczeń owej „czystej broni” — jako środka presji politycznej i instrumentu szantażu przeciwko państwom socjalistycznym, ich polityce odprężenia i pokojowej koegzystencji.

Broń neutronowa nie jest zapewne ostatnim produktem sił wojnotwórczych. Jest ona raczej pierwszym wariantem trzeciej generacji broni jądrowej, której rozwój następuje w ścisłym związku z wprowadzeniem nowych systemów kierowania pociskami rakietowymi oraz wszechstronnym wykorzystywaniem najnowszych osiągnięć nowoczesnych dziedzin wiedzy i techniki dla podniesienia skuteczności działania środków walki.

Historia broni neutronowej stanowi klasyczną ilustrację jednego z charakterystycznych zjawisk polityczno-militarnych Stanów Zjednoczonych. Jego istotą polega na tym, że niezależnie od tego jaki prezydent znajduje się u władzy, kompleks wojskowo-przemysłowy i siły zimnowojenne zawsze mają odpowiednie warunki do swej działalności. Program budowy broni neutronowej gładko przechodził z rąk do rąk kolejno następujących administracji USA. Administracja Cartera nadała broni neutronowej pełny technologiczny kształt doprowadziła tę broń pod bramy zakładów zbrojeniowych, postawiła ją oficjalnie na najwyższym szczeblu amerykańskiej władzy i użyła jako instrumentu politycznego.

Cała sprawa „N” zaczęła się już dawno, właściwie w momencie narodzin broni termojądrowej — „H”. Wówczas zrodziła się idea zbudowania broni neutronowej, a jej realizację rozpoczęto pod koniec lat pięćdziesiątych. Prace nad bronią „N” prowadzono m.in. w ściśle strzeżonym Lawrence Livermore Laboratory w Kalifornii. Pierwszą eksplozję jądrową posiadającą cechy wybuchu broni neutronowej przeprowadzono prawdopodobnie już w 1963 r. na poligonie w Nevadzie.

W następnych latach postęp programu budowy broni neutronowej pozostawał w ścisłym związku z rozwojem prac nad inicjowaniem reakcji syntezy i miniaturyzacją broni wodorowej i termojądrowej. Przyspieszenie tych prac nastąpiło na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. W 1977 roku okazało się, że broń neutronowa jest faktem.

W broni tej wykorzystywana jest reakcja syntezy inicjowana reakcją rozszczepienia. Promieniowanie neutronowe działa z wodorem. Biologiczne oddziaływanie szybkich neutronów jest dziesięciokrotnie silniejsze od ekwiwalentnej ilości promieniowania gamma i rentgena na jednostkę masy. Uderzenie promieniowania neutronowego na żywy organizm porównać można do miliardów wstrzyknięć żrącego kwasu. Oddziaływanie promieniowania neutronowego na system nerwowy natychmiast powoduje niezdolność do działania. Występują gwałtowne drgawki, konwulsje, czasowy paraliż, krwotoki, głuchota, ślepota oraz utrata zdolności koordynacji ruchów. Śmierć — w zależności od pochłoniętej dawki — następuje natychmiast albo w ciągu kilku godzin lub dni.

Użycie broni neutronowej grozi śmiertelnym zatruciem ekologicznego środowiska człowieka. Straszne są także długotrwałe genetyczne następstwa promieniowania neutronowego na żywy organizm. Powodują one totalną degenerację potomstwa, rodzenie się potworków oraz trudno wyobrażalną deformację kształtów.

Podstawowymi środkami przenoszenia broni neutronowej w działaniach bojowych mają być pociski rakietowe „Lance”, haubice 203,2 mm oraz samobieżne haubice pancerne 155 mm. System pocisków rakietowych „Lance” jest wprowadzany w armii Stanów Zjednoczonych już od kilku lat. Stacjonujące w RFN wojska amerykańskie wyposażono w 92 wyrzutnie takich pocisków. Ich zasięg wynosi od 120 do 130 km. Jedna głowica neutronowa do pocisku „Lance” kosztuje 650 tys. dolarów. Kosztem wieluset milionów marek system rakietowy „Lance” zakupiła także Bundeswehra. Siły zbrojne RFN otrzymały na razie 26 wyrzutni takich pocisków — po 6 na każdy korpus armijny i 8 jako rezerwa.

Przenoszona przez pocisk rakietowy „Lance” bojowa głowica z bronią neutronową w wypadku wybuchu naziemnego, wywołuje zniszczenie falą uderzeniową i cieplną w promieniu 600 metrów. Ale promieniowanie neutronowe tego wybuchu zabija wszelkie życie w promieniu od 2,5 do 4 kilometrów. Jest to więc broń o wyraźnie ludobójczych znamionach, obliczona na masowe zabijanie ludzi, a zachowanie dóbr materialnych jako zdobyczy dla agresora.

Produkcja broni neutronowej przyniesie ogromne zyski kompleksom militarno-przemysłowym, a przede wszystkim takim, jak: Montsano Company, Rockwell International oraz Bendix-Corporation.

Montsano Company jest wiodącą spółką w dziedzinie chemii jądrowej. Brała ona udział w budowie pierwszej bomby atomowej USA w czasie II wojny światowej. Jej kierownik J.C. Thomas był poprzednio szefem obiektów atomowych w Oak Ridge, a później doradcą prezydenta USA do spraw bezpieczeństwa. Łączny roczny obrót tego monopolu przekracza 2,7 mld dolarów.

Rockwell International jest koncernem zbrojeniowym, który otrzymuje największe dotacje państwowe na badania dla celów militarnych. Dotacje te tylko w roku 1976 wynosiły 606 milionów dolarów. Rockwell International legitymuje się rocznymi obrotami około 5 mld dolarów.

Trzeci kompleks militarno-przemysłowy Bendix-Corporation specjalizuje się w elektronice i technice kosmicznej. Jego ostatni szef Blumenthal jest obecnie sekretarzem stanu do spraw skarbu.

Pierwszym rzecznikiem broni neutronowej w Europie zachodniej stała się RFN. Występujący na forum Bundestagu rzecznicy CDU, CSU, FDP wypowiedzieli się za wprowadzeniem broni neutronowej do arsenałów NATO oraz do jej stacjonowania na terytorium RFN. Wydaje się, że nieprzypadkowo i nie bez związku z zamiarem wprowadzenia broni neutronowej do Europy, zastępca naczelnego dowódcy sił zbrojnych NATO w Europie został mianowany generał Bundeswehry — Gerd Schmueckle, gorący zwolennik tej broni. Warto nadmienić, że przeszło 97 procent generałów Bundestagu służyło w Wehrmachcie, zaś 71,8 proc. kadry sympatyzuje ze skrajnie prawicową CDU, CSU i NDP. Oddanie broni neutronowej w ich władanie jest wyjątkowo niebezpieczne.

Państwa socjalistyczne są zdecydowanie przeciwne produkcji broni neutronowej i wyposażenie w nią armii Paktu Północnoatlantyckiego. Jeżeli jednak broń ta zostanie zbudowana i wprowadzona na uzbrojenie NATO, państwa Układu Warszawskiego będą zmuszone do wyciągnięcia odpowiednich wniosków w celu wzmocnienia gotowości bojowej swych wojsk i zabezpieczenia budownictwa socjalistycznego.

Broń neutronowa nie jest zapewne ostatnim produktem sił wojnotwórczych. Jest ona raczej pierwszym wariantem trzeciej generacji broni jądrowej, której rozwój następuje w ścisłym związku z wprowadzeniem nowych systemów kierowania pociskami rakietowymi oraz wszechstronnym wykorzystywaniem najnowszych osiągnięć nowoczesnych dziedzin wiedzy i techniki dla podniesienia skuteczności działania środków walki.

WYMOWA CYFR

Pisaliśmy w ubiegłym roku na naszych łamach („Masz pomysł? — wystąp...” — „Odgłosy” nr 48) o interesującym i godnym naśladowania przykładzie nieszablonowego, dynamicznego stylu myślenia i pracy ze studentami **Studium Wojskowego Uniwersytetu Łódzkiego.** Powracamy raz jeszcze, choć na krócej już, do tego tematu zachęceni faktem, że działania Studium nie straciły nic ze swego rozmachu, a wiele pomysłów i inicjatyw, które opisaliśmy wcześniej, zostało rozwiniętych. Świadczy to, że chyba mieliśmy rację wskazując na sens tych działań, które — acz inicjowane przez wojskowych — nauczycieli akademickich — wykraczają daleko poza wewnętrzne życie Studium i środowiska studenckiego, poza wyłącznie sukces dydaktyczny — w życie społeczne, obywatelskie.

Jak prezentują się te działania w roku jubileuszowym, roku 35-lecia Ludowego Wojska Polskiego? Choć główne obchody rocznicy przypadną w październiku, warto krótko wspomnieć o zamierzeniach i pierwszych dokonaniach.

Studencka samorządność ma w Studium Wojskowym UŁ już swoje dobre tradycje. W roku akademickim 1977/78, odpowiadając — jako pierwsze w kraju środowisko akademickie — na apel żołnierzy 1 warszawskiej Dywizji Zmechanizowanej im. Tadeusza Kościuszki, studenci oraz pracownicy Studium Wojskowego podjęli czyn dla uczczenia 35 rocznicy LWP.

Ten czyn — uprzedźmy zarzuty o okolicznościowy patos — ma treści bardzo konkretne. W „Rezolucji”, ogłoszonej na początku kwietnia br., studenci zobowiązują się m. in. do uzyskania w grupach szkoleniowych (plutonach) średniej rocznej oceny nie niższej niż 4, do jeszcze aktywniejszego i szerszego udziału w zajęciach pionierskiego Studium Wiedzy o Partii przy Studium Wojskowym, do przepracowania 10 tysięcy godzin na rzecz miasta i uczelni, do zwiększenia udziału w funduszu przekazywanym na Centrum Zdrowia Dziecka (w tym roku akademickim do 15 tys. zł.

Na liście „jubileuszowych” ale bardzo pracowitych planów znalazły się również i te służące wprost rozwijaniu indywidualnego i zespołowego współzawodnictwa i przodownictwa w szkoleniu oraz metod nauczania i wychowania. Władze i nauczyciele Studium planują zatem m. in. konkurs wiedzy o siłach zbrojnych PRL, zawody strzeleckie (o puchar rektora wyższych łódzkich uczelni: UŁ, PŁ i AM), zawody wojskowo-obronne i turniej strzelecki o puchar przechodni Studium dla studentów UŁ, podróż wojskowo-historyczną szlakiem walk LWP i wycieczki do ośrodków szkolenia oficerów rezerwy, a wśród akcji kulturalnych, wystawę rocznicową, filmowe projekcje okolicznościowe, spotkania w szkołach (studenci i pracownicy zobowiązali się przeprowadzić w nich ok. 150 prelekcji związanych z historią i współczesnością LWP).

Realizacja tych planów trwać będzie od kwietnia do października br., ale już w końcu kwietnia zakończył się **pierwszy etap jednej z piękniejszych inicjatyw Studium Wojskowego UŁ — akcji honorowego krwiodawstwa.**

Zamiast górnolotnych zwrotów, którymi można by określać wartość tej dobrowolnej studenckiej akcji, niech mówią liczby. Przypomnijmy, że w sytuacji coraz większego zapotrzebowania na krew i preparaty krwiopochodne w naszym szpitalnictwie (gdzie rocznie notuje się ok. 500 tys. przetoczeń krwi, do których konieczne jest ok. 250 tys. litrów tego płynu; dla przykładu: łódzki szpital im. Sterlinga potrzebuje rocznie ok. 3 tys. litrów!), liczy się każda dosłownie kropla.

Dla porównania. W r. akad. 1974/75 na 1573 szkolnych studentów oddało krew 316. W roku 1976/77 liczba ta wzrosła o 155 osób, a już w tym roku przekroczyła 500 (oczywiście chodzi tu tylko o studentów III roku szkolonych wojskowo i obronnie w Studium Wojskowym UŁ). W latach 1974—1977 ilość oddanej krwi wzrosła z 74 do 119 litrów. W roku akademickim 1977/78 liczba ta zbliżyła się już (w końcu kwietnia) do 130 litrów, osiągając zamierzoną w studenckiej rezolucji wielkość, ale przecież akcja jeszcze trwa i liczby te będą rosnąć. W akcji honorowego krwiodawstwa — tworzenia „Studenckiego Banku Krwi” przodowali w mijającym roku akademickim studenci III roku Wydziału Matematyczno-Fizyczno-Chemicznego (krew oddało 70 proc. osób!). Ponad połowa studentów oddała honorowo krew na Wydziale Prawa i Administracji.

Liczby te dają wymierny, choć może nieco oschły obraz rozwoju tej cennej, zapoczątkowanej w Studium Wojskowym UŁ przed czterema laty, akcji. Ale jej piękna, czy szerzej — piękna humanitarnego aktu krwiodawstwa oddania cząstki siebie potrzebującym, cyfry nie mogą wyrazić... Przydajmy więc tej relacji cieplejszych tonów.

Rokrocznie w gościnnej sali Garnizonowego Klubu Oficerskiego spotykają się władze i nauczyciele Studium ze studentami, uczestnikami akcji studenckiej Banku Krwi. Spotkaniom tym patronuje Uniwersytet Łódzki i Wojewódzki Zarząd Polskiego Czerwonego Krzyża. Jest to moment, w którym obok bilansów i statystyk dochodzi — jeszcze mocniej — do głosu głębsza refleksja nad sensem ludzkiego poświęcenia się dla dobra innych i wymową powszechnego zaangażowania studentów, którzy dając dowód przywiązania do uczelni i środowisk, okazali zrozumienie dla pięknej idei, nieobojętność na los drugiego człowieka, świadectwo patriotyzmu.

(T.S.)

„Józia”

Należę do rzędu tych odbiorców programu telewizyjnego, którzy włączają odbiornik na ogół o godzinie 19.30, rozpoczynając oglądanie od „Wieczoru z dziennikiem”. Tym razem zrobiłem odstępstwo od tej zasady i obejrzałem „Ekran z bratkiem”, zainteresowany premierą filmu „Józia” w reżyserii Wojciecha Fiwka.

Fiwek, od wielu lat związany z łódzką Wytwórnią Filmów Oświatowych, uprawia niełatwy gatunek filmu fabularnego dla dzieci i jednocześnie o dzieciach, gdyż główne role z reguły powierza małym artystom. Są to filmy proponujące młodej i najmłodszej widowni określone wzorce postaw i zachowań w sytuacjach zwykłych lub niezwykłych, stawiających przed nieletnim człowiekiem szczególne wymagania. Jeżeli reżyser pragnie przy tym oddziaływać wychowawczo na dzieci, sugerować im właściwe osądy, to stara się zawsze czynić to dyskretnie, nieapodyktycznie, pozwalając widzowi samemu wyciągać odpowiednie wnioski. To chyba podstawowy warunek, by film mógł być przez dzieci akceptowany.

Ta strona filmów Fiwka, adresowana przede wszystkim do dziecka, nie wyczerpuje jednak zakresu ich oddziaływania. Jeżeli bowiem na obejrzenie ich zdecyduje się człowiek dojrzały, posiadający własne dzieci czy też będący pedagogiem (w szerokim, nie tylko dosłownym sensie), łatwo może stać się odbiorcą innej warstwy tego samego filmu. Uzmysłowi nam ona pewne elementy delikatnej tkanki psychologicznej powstającej na styku: człowiek dorosły — dziecko.

Film „Józia” jest, jak sądzę, w stanie przestrzec nas przed szablonem w traktowaniu dziecka, przed niedocenianiem go jako człowieka zdolnego w szczególnych okolicznościach do podejmowania samodzielnie ważkich decyzji, a potem do mocowania się z wynikającymi z tego konsekwencjami. „Józię” zrealizował Fiwek już nie w WFO, ale w łódzkim Zespole Filmowym „Profil”, w koprodukcji z „Defą”, a z przeznaczeniem dla telewizji polskiej i NRD.

Scenariusz przygotował Niemiec Friedhold Bauer w oparciu o opowiadanie „Córka delegatki” pióra znakomitej dziś już sędziwej pisarki niemieckiej Anny Seghers. Akcja noweli rozgrywa się w 1929 roku w Łodzi i stąd idea koprodukcji.

Jak na temat filmu dla dzieci w opowiadaniu Seghers zbyt wiele jest chyba momentów politycznych. Łódź w okresie wielkiego kryzysu, szalejąca policja, aresztowania działaczy lewicowych, rozpędzanie manifestacji robotniczych, wreszcie wyjazd matki Józi — łódzkiej włókniarki — via Berlin na kongres związków zawodowych w Moskwie. Zdawałoby się, że tych treści nie jest w stanie udźwignąć film przeznaczony dla dzieci. A przecież Wojciechowi Fiwkowi udaje się wykorzystać te niełatwą sytuację wyjściową dla zbudowania filmu, w którym reżyser pozostaje w kręgu swej dotychczasowej twórczości, wierny jej formule. Wykorzystuje przy tym wszystkie doświadczenia i walory swojego warsztatu reżyserskiego.

Matka nie ma z kim pozostawić 9-letniej córeczki, gdyż wszystkie planowane rozwiązania w ostatniej chwili zawodzą. Jest już prawie zdecydowana zrezygnować z wyjazdu na kongres, gdy inicjatywę przejmuje sama dziewczynka, która postanawia spędzić 10 dni samotnie w zamkniętym mieszkaniu kryjąc się przed oczyma ciekawskich sąsiadów i policyjnych szpicli, którzy mogliby zainteresować się, dla jakich to ważnych przyczyn matka zostawia samo dziecko w domu i wyjeżdża.

Na tej ekspozycji kończą się problemy społeczno-polityczne, a rozpoczyna się film o małej Józi, która musi stawić czoła sytuacji przerastającej, zdawałoby się, siły i odporność psychiczną dziecka. Samotność, strach, dobiegające ze schodów i z podwórza odgłosy życia, na które nie wolno jej zareagować, tworzą ciśnienie, któremu Józia z najwyższym wysiłkiem może sprostać. Na jej dziecięcą miarę jest coś z heroizmu w zdecydowaniu i konsekwencji, z jaką dziewczynka przezwycięża własną słabość i trwa nieugięta w oczekiwaniu powrotu matki.

Reżyser znalazł idealną odtwórczynię roli Józi w niespełna 10-letniej Monice Alwasiak. Trzeba wielkiego doświadczenia w pracy z dzieckiem na planie filmowym, by poprowadzić je z takim mistrzostwem, jak to robi Fiwek. Nie wiem, w jaki sposób udało mu się wydobyć z małej Moniki te wszystkie niuanse interpretacyjne, skoro dziecko w tym wieku nie było przecież w stanie ogarnąć rozumowo wszystkie treści, jakie miało do przekazania. Faktem bezsprzecznym jest jednak, że dziewczynka nienagannie wczuła się w sytuację swej rówieśniczki Józi, odtwarzając klarownie funkcjonujący w filmie system dramatycznych napięć.

Nie, zdecydowanie nie mogłem oprzeć się pokusie, by podzielić się z Czytelnikami tą garścią wrażeń z obejrzenia nowego filmu Wojciecha Fiwka! Dlatego na tydzień odłożyć muszę omówienie znaczącej w programie telewizyjnym inscenizacji „Warszawianki” Wyspiańskiego.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stale współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

PRZYCINANIE ROZŁOGÓW

Rozmowa z TADEUSZEM PŁASKĄ, kierownikiem Wydziału Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej KŁ PZPR

Foto: W. Parys

„ODGŁOSY": — To województwo jest zbiorem wielu anomalii. Najmniejsza powierzchnia i najgęstsze zaludnienie, dwuzawodowcy i najmniejszy w kraju odsetek ludności rolniczej; liczne, poszatkowane rozłogi i słabe, przepuszczalne gleby. Na jednego mieszkańca przypada 9,5 ara, podczas gdy w kraju wielkość ta wynosi 55,5 ara. W tej sytuacji właściwa gospodarka ziemią musi nabierać szczególnego znaczenia.

TADEUSZ PŁASKA: — Dziwne maleństwo, ale chcemy, żeby coś z niego było. Bo sprawa dotyczy jednego: co i ile będziemy mogli zjeść. I dlatego na łódzkie rolnictwo musimy patrzeć poprzez stół. Ale pełnego stołu nie zapewnią nam same surowce i technika z traktorem i cudownymi kombajnami. Potrzebny jest ludzki zapał i dobry pomyślunek. No i właściwa gospodarka ziemią. Ponadto trzeba myśleć o ochronie środowiska, na która w pierwszym dwudziestoleciu nie zwracało się specjalnej uwagi.

— Tak groźna jest inwazja miasta?

— No, pewnie. Ale nie tylko. Denerwuje „dzika" rekreacja. Koneksje rodzinne, stare umowy i bałagan. Ludzie gnieżdżą się przez miesiąc w różnych budach na rozproszonych działkach. I nic tam konkretnie nie rośnie, bo poza urlopem nikt nie zajrzy na działki. Albo autostrady. Ta z Piotrkowa do Łodzi i „olimpijka" która pobiegnie przez północne rubieże województwa miejskiego. Poprzecinają rozłogi i zaraz namnożą się dziesiątki nowych właścicieli. My jeszcze nie mamy załatwionych tych spraw po rurociągu pilickim. To nie jest tylko sprawa wywłaszczeń, odszkodowań i kłopotów samych użytkowników, ale wielkie utrapienie dla gmin i geodetów.

— Według planów w tym ciasnym województwie mają powstać ośrodki wodno-rekreacyjne.

— To taka przymiarka, nie ma się czym przejmować. Teraz robi się szczegółowe plany dla gmin i być może wszystko się zmieni. Czeka nas natomiast budowa grupowej oczyszczalni ścieków i regulacja rzeki Bzury, łącznie z przekładaniem koryta. Zyskamy około 1000 ha łąk, ale kłopotów z ustalaniem granic działek też będzie niemało.

— Ale nie z winy rolników. Jak oni użytkują ziemię, mogą świadczyć wyniki kolejnego powszechnego przeglądu gmin.

— W bieżącej kontroli stwierdzono, że źle zagospodarowanych jest 569 ha gruntów, z czego 70 proc. to własność rolników indywidualnych. Naczelnicy wydali 224 decyzje zobowiązujące właścicieli 427 ha, aby w ciągu 14 dni poprawili zagospodarowanie poprzez nawożenie i lepszą uprawę. Wszczęto postępowanie o przejściu na rzecz Skarbu Państwa 142 ha, które zostaną przekazane jednostkom gospodarki uspołecznionej.

— Przed trzema laty też tak zrobiono. Niektórzy naczelnicy odbierali ziemie dzierżawione z PFZ wszystkim rolnikom, dobrym i złym, a nawet tym, dla których ziemia była jedynym źródłem utrzymania. I ta ziemia przez dwa lata leżała odłogiem. Dziś jej uprawa i uzyskiwane plony również budzą wątpliwości. Czyżby ten proces był nieodwracalny?

— Znam przykład, gdy naczelnik odebrał rolnikowi 20 arów i przekazał SKR. Jak to uprawiać? Cóż, póki co, trzeba naprawiać błędy! SKR-y nie potrafiły zagospodarować przejętej ziemi, a PGR-y broniły się przed przejęciem, jak diabeł przed wodą święconą. No, bo te działki daleko, porozrzucane, małe, nie sposób wjechać i uprawiać maszynowo. Ale proces jest odwracalny i ziemia wraca do dobrych, młodych rolników. W ubiegłym roku sprzedaliśmy im 600 ha. Tym niemniej pragniemy, aby do końca 1980 roku w sektorze uspołecznionym znalazło się 20 proc. areału gruntów uprawnych.

— Przejęcie ziemi przez państwo to surowa kara dla złego użytkownika.

— I ostateczna. Ale tylko w przypadkach nie rokujących poprawy gospodarowania. Innym właścicielom pomocy udziela służba rolna. Naczelnik, obciążając kosztami właściciela, może też wydać decyzję, aby SKR uprawiła i obsiała jego ziemię.

— Jakie są przyczyny złego zagospodarowania gruntów?

— Podeszły wiek właścicieli, wypadki losowe, niekorzystne warunki atmosferyczne, dwuzawodowość.

— Mówi się, że dwuzawodowi zawalają sprawę rozwoju łódzkiego rolnictwa.

— Tak? A czy tego problemu się nie wyolbrzymia?

— No, to ilu ich w końcu jest?

— A kto to wyliczy? Wielu pracuje sezonowo. W cukrowni, w gesie przy rozładunku, na murarce, w cegielni, albo w lesie. Często są to członkowie rodziny właściciela gospodarstwa. W tych gospodarstwach powyżej 0,5 ha będzie ich mniej więcej około 10 proc.

— Mówi się też, że dwuzawodowiec to jest facet do niczego...

— Na wsi go krytykują? To po cholerę chwalą go w fabryce? On jest takim robotnikiem, jaka jest organizacja pracy w zakładzie. A rolnictwo to żywy organizm, który, niestety, nie mówi. Na wsi nie ma majstra, bramy, portiera i wyznaczonych godzin, które można odbębnić w myśl zasady „czy się stoi, czy się leży". Uważam, że dwuzawodowych należy cenić.

— Tylko za to, że nie zabierają mieszkań w blokach?

— Za to również! Ale i za to, że nadwyżki z miasta lokują na wsi. Budują piękne domy, modernizują budynki inwentarskie, hodują zwierzęta i uprawiają warzywa. Zaspokajają potrzeby rodziny, nadwyżki zaś sprzedają w mieście.

— To w takich gospodarstwach są nadwyżki?

— Są! I to duże! Bo my przecież mamy około 10 tysięcy gospodarstw poniżej 0,5 ha.

— To wcale nie jest powód do radości.

— Pewno, że nie! Ale trzeba wiedzieć, że na tych małych gospodarstwach można manualnie, z udziałem całych rodzin, produkować dziesiątki ton warzyw. Jeżeli byśmy wykorzystali wszystkie możliwości, biorąc pod uwagę uprawy przyśpieszone, a w przyszłości kombinat ogrodniczy Janów, to jesteśmy w stanie całkowicie zaspokoić potrzeby na warzywa dla ponad milionowej aglomeracji. Tak duży potencjał tkwi w niedocenianych mini-gospodarstwach. A kwiaty? Przecież oni produkują kwiaty! Cmentarze, pamięć o przodkach, ukwiecanie balkonów. Cel estetyczny, kulturowy. Tego ludziom nikt nie odbierze. Tego nie da się upaństwowić i stworzyć gospodarki wielotowarowej, bo zaraz wylezie na wierzch biurokracja. Niech ci drobni producenci robią rozsadę kwiatów i handlują, byle zawsze było wokół nas pięknie, kolorowo. Trzeba ich widzieć i doceniać, bo jeśli są nadwyżki z działek pracowniczych, to czemu ma nie być z małych gospodarstw?

— Podobno w NRD na działkach pracowniczych obowiązuje hodowla drobiu i królików. U nas są one bardziej na pokaz.

— Ale za to wewnątrz nie są porozgradzane. Nie wiem, czy na działkach w centrum miasta należy hodować kury. Ale na obrzeżach? Czemu nie! Tylko, że tereny na działki zaczyna się uszczuplać. Ale jest inna sprawa. Mamy zalesić 40 ha w Łagiewnikach. Zaleśmy połowę, a na reszcie załóżmy działki. To przecież także pas zieleni! Należy też mieć pretensje do urbanistów, którzy utrudniają właściwe gospodarowanie ziemią. Wiele przedsiębiorstw wykupiło ziemie pod inwestycje, które następnie okrojono albo poważnie oddalono. Na 90 ha leżą graty i śmiecie. Czy nie warto pomyśleć o okresowych ogródkach działkowych? Jeśli w tej pięciolatce nie będzie inwestycji, niech rada zakładowa rozdzieli ziemię między pracowników. Na te trzy, cztery lata. Drzew owocowych nie posadzi i pałacyków nie postawi, ale można zasadzić maliny, porzeczki, agrest, uprawiać truskawki, warzywa, a w prowizorycznej budce trzymać kury i króliki. Dla siebie, rodziny i sąsiadów w bloku.

— Może wróćmy jednak do właściwego tematu. Złośliwcy twierdzą, że mamy więcej gospodarstw niż Stany Zjednoczone.

— Coś w tym jest. W województwie miejskim znajduje się około 32 tysiące gospodarstw. Najbardziej chyba rozdrobniona jest gmina Andrespol. Tam też co dziesiąty właściciel ziemi zajmuje się wyłącznie jej uprawą.

— Jedyna nadzieja w komasacji?

— Ale powoli, mądrze, żeby nie stwarzać sytuacji konfliktowych. Komasację prowadzimy już drugi rok. Wymiana, wykup dobrowolny i przymusowy. SKR w Brójcach ma już 200 ha w jednym kawałku. RSP w rejonie Kwilno — Lorenki — Władysławów w roku 1980 będzie mieć kompleks 1000 ha. W gminach prowadzimy prace przygotowawcze, bo do dalszej regulacji można przystąpić dopiero po żniwach. To jest proces stały, ponieważ co rok coś się zmienia. Zmienia się układ rodzinny, następuje przejście na rentę, rodzi się chęć opuszczenia gospodarki.

— Widzi się wyrobiska, np. po glinie, które zasypywane są od wielu, wielu lat. Strażnik nie wpuszcza samochodów „obcych", bo ktoś boi się, że w przyszłości zabraknie miejsca na śmieci. Mimo, że eksploatacja ustała, nie rekultywuje się kilku hektarów ziemi we wsi Gospodarz...

— Denerwuje mnie bezduszność eksploatatorów. Narobią dróg dojazdowych przez pola i potem to wszystko zarasta. Pole obsiane, a oni wchodzą i niszczą, bo mają forsę na wykup. Tu, mówią, będziemy kopać, bo mamy plan państwowy. Nie pozwól, naczelniku, bo każdy ma swój plan! Rolnictwo również. Łącznie w ostatnich przeglądach odnotowano 328 ha nieużytków naturalnych i gruntów zdewastowanych. W roku ubiegłym zrekultywowano 19 ha wyrobisk, w tym roku planem rekultywacji objęto 33 ha.

— Dość blisko leży bełchatowski torf...

— To wielka sprawa, ale nie ma kogo z tym ożenić. Forsa na rekultywację jest, brakuje natomiast ludzi i sprzętu. A na torfie ogórki rosną na pół metra. Trzeba będzie zmobilizować do działania SKR-y.

— Właściwa gospodarka ziemią to także specjalizacja. Ale widząc nowoczesną oborę, w której zdychają tonące po szyję w gnojówce byki, bo właściciel sam ledwie włóczy nogami, a syn balsamuje się gorzałką, odnosi się wrażenie, że coś tu jest robione na siłę.

— Bo tutaj również popełniono kilka błędów, wynikających, powiedzmy, z niedoświadczenia młodej służby rolnej. Ale to się nie powtórzy! Trzeba sobie zdawać sprawę, że nowoczesność w zagrodzie i karta gospodarstwa specjalistycznego to nie wszystko. Trzeba mieć na to oko, być tam na co dzień, kontrolować i doradzać. Gospodarstwa specjalistyczne są przyszłością rolnictwa. W roku 1980 będziemy mieć ich około 2,3 tys. Co dziesiąte gospodarstwo powyżej 0,5 ha będzie miało specjalizację.

— A więc i takie jedno — lub dwuhektarowe?

— A co, za małe? Nie można postawić szklarni? Nie można hodować drobiu, królików i uprawiać warzyw?

— Ale pod warunkiem, że będzie pomoc ze strony gminy i gospodarstw uspołecznionych. Mam na myśli stworzenie odpowiednich warunków do kooperacji.

— Racja! Jeden ma maszyny, drugi budynki, trzeci ziemię. Mogą współpracować. I należy biegunowo odwrócić kooperację z gospodarstwami państwowymi. Bo dotychczas było tak, że PGR brał od chłopa prosięta albo warchlaki, zapłacił i z głowy. A niech ten sam PGR da po dwa prosiaki do odchowania właścicielom drobnych gospodarstw. Oni zrobią z tego całe tony mięsa. Jak już z tego będą świnie, kooperant może sobie odliczyć wkład i wszyscy na tym dobrze wyjdą.

— Ziemia nabiera ceny. Kto może kupić całe gospodarstwo, albo kawałek ziemi?

— Jaki kawałek? Nie ma mowy o rozdrabnianiu! Albo całe gospodarstwo, albo część, jednak nie mniejszą niż trzy hektary. Jak ktoś ma sześć hektarów, może sprzedać tylko trzy. Kupujący musi okazać świadectwo ukończenia dwuletniego kursu kwalifikacyjnego, które otrzymuje po zdaniu egzaminu przed komisją państwową. Takie kursy prowadzi się w każdej gminie, ale słuchaczem może być tylko osobnik nie zatrudniony w przemyśle. Chyba, że pracuje okresowo i w przyszłości obejmie gospodarstwo po rodzicach.

— Świadectwa nie można kupić?

— Nie sądzę. Chociaż były już kupowane matury i dyplomy inżynierskie... Tak, niekiedy ludzie przywożą świadectwa ukończenia kursów z innych województw. Pachnie to omijaniem prawa, ale jak tych ludzi osądzić? To są faceci urodzeni na wsi, którzy z różnych przyczyn uczepili się państwowych posad. Tęsknią na stare lata za wsią. Pójdą na rentę, wezmą działkę ziemi i pogospodarują przez resztę życia. I na pewno ich działki będą pięknie plonować. A potem weźmie tę ziemię ktoś nowy, młody. I wszystko wróci do normy, ziemia nadal będzie rodzić. Bo ludzie odchodzą, a ziemia pozostaje...

Rozmawiał:

RYSZARD BINKOWSKI

HISTORYK JAKO PISARZ

Twórczość Karola Szajnochy z pewnością mniej interesuje współczesne pokolenie, aniżeli uprzednie generacje czytelników. Autor „Jadwigi i Jagiełły" należał niegdyś do najpoczytniejszych pisarzy historycznych w naszym kraju. Jego dzieła były wielokrotnie wznawiane, ukazywały się w masowych — jak na owe czasy — nakładach, należały do kanonu obowiązkowej literatury kulturalnego Polaka, interesującego się — bo jakże mogło być inaczej — ojczystą przeszłością. Dzisiaj powracamy do K. Szajnochy rzadko, z pewnością rzadziej nawet, niżby na to jego twórczość zasługiwała. Przypomniano jego najwybitniejsze dzieło: właśnie „Jadwigę i Jagiełłę", które w PIW-owskiej edycji odniosło niewątpliwy sukces. Wydano jego korespondencję, opublikowano o K. Szajnosze szereg rozpraw i artykułów naukowych. Z autora czytanego przez szerokie kręgi młodzieży i dorosłych, stał się jednak K. Szajnocha przede wszystkim autorem studiowanym przez uczonych, przedmiotem naukowych badań, nie zaś czytelniczych fascynacji.

Twórczość K. Szajnochy przypominamy najczęściej wtedy, kiedy raz po raz odnawia się dyskusja o współczesnym pisarstwie historycznym. Narzekając na jego hermetyczność, niezrozumiały język, nadużywanie neologizmów, obrońcy literackich walorów dziejopisarstwa chętnie przywodzą na pamięć historiografię, którą czytało się jak literaturę piękną. Nie zawsze jednak w uzasadnionym skądinąd ferworze polemicznym, w walce z najrozmaitszymi udziwnieniami czy zwyczajnym bełkotem — nie będącym zresztą przywilejem li tylko nauki historycznej, ale obecnymi również i we współczesnym pisarstwie literackim — obrońcy czytelności naukowych tekstów historycznych dostrzegają, że nowe przedmioty badań, nowe metody naukowe, wszystko to wymaga poszukiwania przez uczonych nowego języka. Celem dzieła historycznego jest przede wszystkim poznanie rzeczywistości, a skoro współczesne badania historyczne ogarnęły problematykę, o której dawnym historykom nawet się nie marzyło, nic dziwnego, że nie mogą dziś wystarczać stare, choćby najpiękniejsze kanony dziejopisarstwa. O przemianach struktury i dynamiki produkcji przemysłowej historyk musi pisać innym językiem, aniżeli o legendzie o Walgierzu Wdałym i na to nic się nie poradzi. Nie oznacza to oczywiście, by ów inny język musiał być koniecznie bełkotem, chociaż nie musi, a nieraz i nie może mieć wiele wspólnego z językiem literackiej prozy, skoro w historię wkracza dzisiaj już nie tylko ekonomia, ale matematyka z całym swym wyspecjalizowanym aparatem pojęciowym.

Karol Szajnocha — historyk nie posiada wprawdzie po dziś dzień obszerniejszej monografii, jednakowoż po pracach H. Barycza oraz innych badaczy jego życia i działalności nasza wiedza o autorze „Jadwigi i Jagiełły" jako dziejopisie jest już wcale obszerna. Do niedawna stosunkowo nikłym zainteresowaniem cieszyła się literacka działalność historyka. Dobrze więc, że poświęcił jej osobną monografię Jan Pacławski, autor opublikowanej przez krakowski oddział PAN książki „Twórczość literacka Karola Szajnochy" (Ossolineum 1978). Nie jest to dziełko, które zrewolucjonizuje nasze sądy o jego bohaterze, bowiem dorobek literacki historyka nie należy do szczytów naszej literatury romantycznej. J. Pacławskiemu nie chodzi też o rewolucjonizowanie czegokolwiek: celem jego pracy było zbadanie dorobku literackiego K. Szajnochy przede wszystkim jako „zwierciadła epoki", w którym odbijały się jej problemy. Z pewnością też autorowi udało się ten cel osiągnąć.

Twórczość literacka K. Szajnochy obejmowała poezję, prozę oraz dramat; ostatniemu przypadło w niej ważniejsze od innych miejsce. J. Pacławski nie wynosi dramatów historyka na Parnas wielkiej twórczości artystycznej. Powiada wprost — i słusznie — że nie stały się one „zjawiskiem o trwałej pozycji w literaturze polskiej. Niemniej jednak — zaznacza — z różnych względów stanowią spuściznę ważną w naszej tradycji kulturalnej, a niektóre ich fragmenty dostarczają przeżyć estetycznych także dzisiejszemu czytelnikowi". Podobnie było z utworami poetyckimi oraz prozatorskimi, posiadającymi „niewielkie walory artystyczne". Wszystko to prawda. Prawda jednak i to — jak podkreśla J. Pacławski — że „pisarz podejmował najważniejsze sprawy epoki, krzepił serca Polaków w trudnym okresie po Wiośnie Ludów, szerzył przywiązanie do rodzimych tradycji, ale równocześnie nie taił przed narodem jego błędów i złych nawyków, ucząc w ten sposób kolejne pokolenia rozumnego patriotyzmu". Te właśnie wartości literackiej spuścizny historyka sprawiły, że warto jej było poświęcić badawczą uwagę pomimo, że K. Szajnocha jako literat z całą pewnością nie sięgał szczytów.

ANDRZEJ F. GRABSKI

JERZY S. FELIKSIAK

W MAŁYM WIDNOKRĘGU

Niektórzy mają kamienny horyzont,
więc nie zobaczą lazurowych zatok.
Wybrali sobie tylko skrawek nieba,
pod którym wiszą sznury z bielizną,
w ulicach — szyldy, a przy stacji — wiadukt.

Wiedza — oparta na widoku z okna,
więc gwiazdy bliższe niż Wolter i Bergson.
Niektórym głowy ciążą jak kamienie,
ręce przywykły do gliny i łopat
i serca biją w małym widnokręgu.

BURZA

Nie tylko ptaki szarpane przez wiatr
spadają nagle spod chmury na ziemię.
Przed burzą młodzi uciekają z plaż,
zbłąkany szuka schronienia pod drzewem,
stary gospodarz cicho szepcze psalm.

Burza swym hakiem uderzyła w dąb
i strach rozwiesza na słupach i płotach.
Neuropaci tłumią drżenie rąk.
Rozsądni szybko zamykają okna.
Zbyt pewni siebie nagle tracą głos.

Ptak porażony przez drapieżny błysk
spada z gałęzi w ogień polnych ostów.
Strach dopadł serca, pulsuje we krwi.
Lekarz lek bierze, by ocalić spokój.
Siwa kobieta w oknie stawia krzyż.

HENRYK SKWARCZYŃSKI

WSPÓŁCZESNY DON KICHOT

historia cóż jest

pies się mieni w gwiazdach
jak sokół w umarłym strumieniu
woda smaku dodaje
jak smak wina w cierpieniu

bywałem admirałem i kapralem
chciałem w myśl praw wznosić
huty i cokoły pomników
ja kandydat na żywą torpedę
śmierć z asmodeuszem idzie w tanach
smugą światła i cienia
w kroplach rosy budzi się ziemia
wezbrana w wierszu i organach

z godnością tytularną człowieka
wezwany na świadectwo prawdy
protestowałem przeciwko
dyktatorom
a może i uzurpatorom
przestrzeni i czasu
w którym powtórzmy raz jeszcze
(to retoryczne ćwiczenie)
huczą dokoła piece
biją nowe medale
fala uderza o skałę

gdzie u skraju la manczy
wśród zaczarowanych wiatraków
pieśń nuci współczesny don kichot

RAFAŁ ORLEWSKI

ECHO

Jeśli w całości przeminę: gdy ciało
użyźni glebę dla korzeni kwiatów,
a moje pieśni darowane światu
zawisną w pętli rzuconej na gałąź;
jeśli się zetrze oddech mój, do twarzy
twojej przywarty, aby oczyszczona
na nowo brzmiała o poranku w dzwonach
wieży uczucia, co się wtórnie zdarzy —
będzie to pierwszy akt przeciwstawienia
temu, w co wierzy cała ludzka ziemia:
że można sobie utrwalić w pamięci.

I pamięć woli słuchać noworodka
chętniej od głosu jakiego nie spotka
nigdzie prócz echa, które tylko nęci.

HENRYK CZARNECKI

LESZEK W MINISTERSTWIE

— Diabelnie nam nie na rękę. Urlopy, nie ma kto jeździć...

— Chodzi o jeden dzień.

— Ja wiem, dla was tylko jeden dzień, a dla mnie...

— Ale ja muszę, panie kierowniku. Gardłowa sprawa.

— Prędzej już w sobotę, wraca Kaczmarek. Mielibyście od razu dwa dni pod rząd, no?

— Nie, nie. W sobotę nic nie załatwię.

— Ale, słowo wam daję, teraz nie mogę. Jakby się nie przymierzać, nie wychodzi. Spójrzcie sami na grafik.

— A jakbym był chory?

— To co innego.

— Znaczy, lepiej by było, gdybym symulował? Ja tam tego nie lubię. Mówię jak trzeba i tyle.

— Wpadnijcie jutro, spróbuje wykołować jakieś zastępstwo.

— Jutro rano muszę już jechać. Co będę w bawełnę owijał: jak pan mnie nie zwolni, to i tak jutro nie przyjdę. Nie mogę, rozumie pan?... Pan mi potem wypisze naganę, ja się będę tłumaczył, wyjaśnię albo i nie... potrzebne to komu?

— No, dobra, dobra... Siadaj i machnij zaraz podanko — podaje Leszkowi kartkę papieru. — I pisz, że w ważnych sprawach rodzinnych. Koniecznie musisz użyć tego słowa.

O świcie zerwał się z łóżka, przemył twarz wodą, ubrał się w lepszy garnitur, krawat zacisnął pod szyją, do teczki włożył przygotowane śniadanie. I tak by nic przecież nie przełknął. Sprawdził jeszcze czy koperta z podaniem w kieszeni i wybiegł z mieszkania.

Od furtki zawrócił, otworzył szafę i z roboczych spodni wyciągnął zwitek banknotów... Było nie było: podjedzie na dworzec taksówką — a nuż coś z tramwajem wyskoczy, prądu zabraknie? Pociąg odszedł punktualnie, tramwaje kursowały normalnie, zjawił się więc w ministerstwie od rana.

— Pan w jakiej sprawie?

— Chciałbym się widzieć z panem dyrektorem.

— Pytam, w jakiej sprawie?

No, właśnie, już się zaczęło! Trudno przecież wyłuszczać przed sekretarką swoje argumenty. Dla niego sprawa życia lub śmierci, fakt, ale tutaj, gdy ma sufit pół kilometra nad głową i ledwie nad podłogę wystaje? Speszyły go dodatkowo jej pierścionki na wszystkich chyba palcach. A zwłaszcza jeden, z kołem na wierzchu, jak dziesięciozłotówka. Gdzież takiej damie mówić o swoich kłopotach. W dodatku i tak nie poradzi przecież.

— Mówili mi w kuratorium, że tylko tutaj mogę sprawę załatwić, no to przyszedłem. Przyjechałem — poprawia się szybko. — Z Łodzi. Na dole powiedzieli, że właśnie tutaj...

Przerwał, popatrzył na nią.

— Słucham pana.

— Chcę składać egzamin od razu do drugiej klasy.

— Niech pan złoży podanie.

— Ja już składałem... i dostałem odpowiedź, że nie.

— Cóż więc mogę panu poradzić?

— No tak, ale... właśnie w tej sprawie muszę rozmawiać z panem dyrektorem... Muszę wszystko dokładnie wyłożyć, wyjaśnić, bo, wie pani, to jest bardzo ważne dla mnie. A na piśmie się nie da.

Zastanawia się, czy powinien przed nią otworzyć serce, czy też mówić wszystko dopiero w tamtym pokoju. Ważne jednak, że już się zawziął i nie da odprawić z kwitkiem.

— W kuratorium nie mogli tego załatwić? — zapytała życzliwie.

— Nie, bo ja skończyłem tylko siedem oddziałów. Ale przerobiłem już wszystko, całą tę pierwszą klasę i... — mówi podniecony, pełen nadziei połączonej z rozpaczą.

— No, dobrze.

Odetchnął.

— Dziękuję pani.

— Spróbuję załatwić panu rozmowę z dyrektorem. Niech pan zgłosi się jutro. Koniecznie od rana.

— No, tak, ale... ja jestem z Łodzi i...

— Dyrektora dziś nie ma.

— To ja poczekam!

— Dyrektora dzisiaj w ministerstwie nie będzie.

Opuścił ministerstwo pełen nadziei. Obejrzał witryny sklepów, poszedł nad Wisłę, na Stare Miasto, które oglądał w kinie, na wszelki wypadek dobrze zobaczyć na własne oczy, sprawdzić, czy z bliska będzie też takie. Jak już w stolicy jest, nie przepuści. Im więcej zobaczy, tym taniej wypadnie. Podzielił sobie koszty podróży przez zabytki i już mu po dziesięć złotych wypada, a do wieczora jeszcze daleko. Jak się uwinie, to pół Warszawy obleci. Człowiek czuje się jakoś swobodnie, prawie jak na odpuście, co rusz kawałek zacisznego miejsca się znajdzie, można usiąść, wyciągnąć z teczki kanapki, pojeść i nikt się człowiekowi pomiędzy zęby nie gapi. Ludzie przyjemni: wystarczy, że się o drogę zapyta, to mu tak dokładnie do głowy nakładą, że i tyłem by trafił. Tylko w hotelach ludzie jakby nie z tej parafii — nie mógł się z nimi dogadać.

Zraził się do Warszawy. Od samego początku poszło mu wszystko odwrotnie.

Teraz już nic nie wymyśli. Najlepiej wrócić do komisariatu, poprosić starych znajomych — niech do jutra go zamkną. Albo niechże mu taki park wyznaczą, żeby go w nocy już nikt nie budził. Do Łodzi nie opłaci się jechać. A tymczasem, póki co, znów zacznie zwiedzać stolicę. Przemaszeruje pieszo z jednego końca Warszawy na drugi, a co po drodze zobaczy, to jego. Spacerował, zwiedzał, jadł w tanich barach, przenocował spokojnie nad Wisłą.

Już o siódmej rano czatował przy ministerstwie. Teraz już nie przepuści. Zbyt wiele nerwów go ta sprawa kosztowała, by dał odprawić się z kwitkiem. Powiększone o ciężar minionych dwóch dni jego problemy nie wydają się już takie niegodne powagi ministerialnych murów. Ostatecznie sekretarka też pije tutaj herbatę i bułka przegryza zupełnie jak u niego na wsi w gospodzie. I marcepanów nie ma. Pełna demokracja, to i on tu kolanami dygotać nie będzie. Sekretarka przywitała go uśmiechem, herbaty jeszcze nie piła.

— Dyrektor jest akurat wolny, niech pan wejdzie.

Otarł pot z czoła, wszedł do gabinetu, położył podanie na biurku, przed dyrektorem.

— Powiem panu szczerze i po kolei... Może pan się będzie śmiał, ale... Ja tu byłem przedwczoraj, byłem wczoraj, jak będzie trzeba, przyjdę jeszcze jutro i pojutrze. Po prostu jest to dla mnie bardzo ważna sprawa. Chodzi o to... Moja dziewczyna jest studentką... Aha, bo ja jestem ze wsi... — mówi szybko, nerwowo, coraz bardziej chaotycznie. — Kiedy się poznaliśmy, była dopiero po maturze, teraz już jest na trzecim roku. A ja jestem ciągle w tym samym miejscu. Mam zrobioną szkołę podstawową. Chcemy się pobrać... To znaczy, proszę, żeby pan źle nie zrozumiał. Moje, to znaczy nasze małżeństwo nie jest głównym powodem, dla którego chcę pójść do szkoły, chociaż jest powodem ważnym. Po prostu zdaję sobie sprawę z tego, że zmarnowałem kilka lat i chcę to jak najszybciej nadrobić. Zbierałem się do tego już wcześniej, ale musiałem odsłużyć wojsko... Ja za rok byłbym już w trzeciej klasie! — mówi coraz gwałtowniej. — Naprawdę ja to wszystko umiem, cały materiał pierwszej klasy przerobiłem. Sam. Nie chcę tracić kolejnego roku. Chcę się uczyć i dotychczas nikt nie raczył mi w tym pomóc!... Pan musi!

Dyrektor podniósł głowę, wlepił w Leszka oczy, zrobił ruch jakby je przeciera...

— Tak, tak, panie dyrektorze! Ja inaczej stąd nie wyjdę.

Dyrektor wziął znowu do ręki podanie, wyciągnął powoli wieczne pióro z kieszeni, odkręcił, zaczął coś pisać. Podpisał się pod tym, podał Leszkowi.

— Sekretarka przystawi panu pieczątkę.

— Dziękuję bardzo.

— Widzę, że pan naprawdę czegoś chce... To dobrze, powodzenia.

Wyciągnął rękę do Leszka który dopiero w tym momencie zauważył, że dyrektor, to swój chłop.

Prosto z pociągu pobiegł do zajezdni. Rozradowany wpadł do kierownika.

— Najważniejsze mam z głowy. Załatwione! Ale miałem kłopotów, nie ma pan pojęcia.

Kierownik osadził go spojrzeniem na miejscu.

Mam pójść. Milicja tu była... Ładnie musieliście narozrabiać w stolicy.

— Co pan — Leszek próbuje się uśmiechnąć.

— Wszyscy w zakładzie już wiedzą.

Leszek spoważniał.

— Zapomniałem dowodu wziąć z sobą i tyle.

Kierownik ironicznie potrząsnął głową.

— Tak, tak. Przez kieszeń zauważyli, że nie mieliście dowodu i dlatego zaraz kazali okazać. Możecie w przedszkolu bajeczki zasuwać.

— Jak Boga kocham! — przeraził się Leszek.

— Siadajcie, Górecki. Nie moja sprawa, niech o to milicja się martwi... Na wtorek was zwolniłem, we środę i czwartek nawaliliście. Bez uprzedzenia. I co? Jeden autobus nie wyjechał na miasto... Trzy dni was w pudle trzymali?

— Nie. Przez parę godzin. Do wyjaśnienia.

— No to nie mamy już o czym gadać.

— Ja wszystko odrobię. Dziś choćby i na trzy zmiany siądę za kółkiem. Najważniejsze, że tamto mam z głowy, załatwione. Teraz już mogę bez nerwów.

Kierownik wstał, zaczął chodzić przed Leszkiem tam i z powrotem.

— Człowiek mu poszedł na rękę, a on... takie świństwo miejskiej komunikacji zrobić. Ale trafiła kosa na kamień, już ja się na was odegram. Nie mówię o premii, to się samo przez się rozumie, przepadła, do akt wam się zaraz wpisze naganę i z dyrektorem także się pogada. Niech wie, komu szykować podwyżkę, porządnym kierowcom a nie chuliganom.

— Ale tu chodzi o szkołę, rozumie pan?

Kierownik puka palcem w dłoń.

— O, tutaj, widzicie, prędzej mi kaktus wyrośnie, niż dostaniecie skierowanie do szkoły.

— A dlaczego miałbym nie dostać? — pyta Leszek zaczepnie.

— Bo nie.

Podchodzi wolno do niego, pochyla się nad nim i mówi złośliwie:

— Dlatego, że szkoła jest dla zakładu szkodliwa — wypina brzuch. — Mamy już zresztą czterech pracowników, którzy się uczą i nie ma kto jeździć na zmianę, wystarczy? Wystarczy.

Leszek zbuntował się nagle.

— Mógłbym wynająć jaki pokój do jutra? — pytał grzecznie.

— Wolnych pokoi nie mamy.

— Może jakieś łóżko w zbiorowym?

— Panie, to porządny hotel, a nie koszary.

— A może pan wie, gdzie mógłbym dostać nocleg. Już trzeci hotel odwiedzam i nigdzie nie ma miejsca.

— Bo to Warszawa, dlatego nie ma.

Może i lepiej? Diabli wiedzą, ile by trzeba zapłacić, a tu już kawał nocy zleciało. Ciepło, padać nie będzie, lepiej o drogę do parku zapytać. Nim pieszo dojdzie, też jeszcze kwadranse popłyną, a za trzy, cztery godziny wzejdzie słońce. Przynajmniej nie zaśpi, nie spóźni się do ministerstwa. Powędrował do parku.

No i właśnie: ławka jak trzeba, z wgłębieniem, sama człowieka obtuli, tylko nogi wyciągnąć, oczy zacisnąć... chociaż nawet nie trzeba, powieki same opadają, ale najlepiej jest nogom — teraz dopiero poczuł, ile ważyły. Śniła mu się ich lekkość.

Oślepił go blask latarki.

— Co tu robicie?

Z trudem rozpoznał sylwetki dwóch milicjantów.

— Śpię — rozbrajająco odpowiada im Leszek.

— No, jak? — drugi milicjant pyta pierwszego. — Zbieramy gościa do izby wytrzeźwień?

Leszek przeraził się nie na żarty. Usiadł na ławce.

— Ależ, panowie! Kielicha w ustach nie miałem! Przyjechałem do ministerstwa załatwić sprawę, dyrektora dzisiaj nie było, kazali przyjść jutro, więc co miałem robić?

Zostawili go w areszcie i niczego nie wyjaśniali. Od rana czekał na rozmowę z komendantem. Przyjął go w południe, wysłuchał uważnie, świadectwo przestudiował.

— No to pryskajcie już i załatwiajcie szybko swoją sprawę.

Leszek spojrzał na zegarek: minęła trzynasta. Żeby tylko z tych feralnych nie była.

Pobiegł do ministerstwa. Sekretarka rozłożyła ręce:

— Przecież wyraźnie panu mówiłam, że trzeba przyjść o ósmej. A teraz już czternasta. Cóż ja panu poradzę?

— No tak, ale...

— Pana dyrektora już nie ma. I dzisiaj nie będzie.

Leszek załamał się.

— Mogę przyjść jutro?

— Niech pan spróbuje, ale za nic ręczyć nie mogę. Tylko o ósmej, nie tak jak dzisiaj. Proszę pamiętać.

— Dyrektorem niech mnie pan tutaj nie straszy. Z samym ministrem gadałem — mówi na wyrost — mogę i z dyrektorem. Dyrektor też człowiek, zrozumie. A co do szkoły, to sprawa inna. Klękać przed panem nie będę. Nie da pan skierowania, znajdę inną robotę. Było gorzej i poradziłem sobie, to i teraz poradzę. No, jak będzie z nami?

— Nie dam.

— Poproszę o kartkę papieru.

— A po co?

— Żeby wymówienie napisać. Dla mnie szkoła ważniejsza.

Kierownik zawahał się przez chwilę, potem wyjął papier z szuflady, rzucił Leszkowi na biurko.

— Pisz!

Leszek wyciągnął długopis, szybko zaczął zapełniać arkusik starannym pismem, od razu na czysto. Kierownik obserwował go chwilę kątem oka, zrozumiał, że Leszek nie blefuje, wyszarpnął mu papier spod pióra i wrzucił do kosza.

— Wiesz, gdzie mnie możesz pocałować? Człowiek go traktuje jak brata, a ten zaraz do wymówienia się bierze. Na co czekasz? Bierz siedemnastkę i pryskaj na trasę. A po skierowanie zgłosisz się jutro, z rękawa przecie nie wytrząsnę.

(Fragment powieści „Daleko od szosy").

Eugeniusz Niewiakin

bunt na kamczatce

Foto: Archiwum

Beniowski zamieszkał u Chruszczowa. I bardzo szybko się zaprzyjaźnili.

Chruszczow okazał się dość wykształconym człowiekiem, zgromadził dużą bibliotekę. Były porucznik gwardii już od kilku lat sposobił się do ucieczki. Studiował pobliskie wyspy na Oceanie Spokojnym, zaznajamiał się z nimi poprzez liczne opisy geograficzne. Chruszczow upodobał sobie szczególnie dzieło o podróży dookoła świata Anglika, lorda Ansona. Bardzo go interesowała jedna z wysp Archipelagu Mariańskiego — Tinian, wspaniale opisana przez Ansona. Chruszczow marzył o tym, aby właśnie tam się osiedlić.

Beniowski podzielił się swymi planami z nowym towarzyszem. Odtąd wspólnie przygotowywali się do ucieczki.

Beniowski wiele podróżował po półwyspie, nawet organizował ekspedycję na Kluczewską Sopkę [1]. I szybko stał się w Bolszeriecku ogromnie popularnym człowiekiem. Rzecz w tym, że liczni mieszkańcy Kamczatki pasjonowali się w tym czasie grą w szachy. A Beniowski, który miejscowym obywatelom przedstawiał się to jako baron Bejnosek, to Bejnak, był jednym z najlepszych szachistów swojej epoki. Nikt w Bolszeriecku nie potrafił wygrać z baronem, a ilekroć grywano na pieniądze, udawało mu się wygrywać duże sumy. Niezwykła umiejętność gry w szachy o mało nie skończyła się tragicznie dla Beniowskiego i jego przyjaciół.

Pewnego razu kupiec Kazarinow, z którym Beniowski często siadał nad szachownicą, podarował mu dwie głowy cukru. Na głodującej Kamczatce cukier był czymś rzadkim. Maurycy zaprosił przyjaciół na herbatę. Nagle wszyscy poczuli jakieś niepojęte ssanie w żołądku i ból głowy. Beniowski zmusił gości do wypicia najpierw wielorybiego tranu, a potem reniferowego mleka. Pomogło. Wówczas Maurycy dał po kawałeczku cukru psu i kotu. Po upływie pół godziny zwierzęta zdechły.

Zrozumiawszy wszystko Maurycy udał się z tym cukrem do Niłowa i opowiedział mu o zajściu.

Naczelnik rozkazał wezwać do siebie Kazarinowa i jeszcze dwóch kupców, a kiedy tamci przyszli, zaproponował im wypicie herbatki.

— Właśnie baron przyniósł mi cukru, zaraz nastawimy samowar, posiedzimy sobie, pogwarzymy.

Kazarinow pobladł, wymawiał się od poczęstunku, a potem przyznał się do wszystkiego.

— Zmiłuj się, ojczulku! Przecież chciałem tego Bejnoska dlatego otruć, że on przeciw waszej miłości spiskuje, mąci w głowach zesłańców, myśli o ucieczce!

Niłow nie uwierzył kupcowi. Beniowski bardzo mu się podobał — wykształcony, uczciwy, a nawet gotów zawsze pomagać w kancelarii. I zamiast aresztować barona, chciał surowo ukarać Kazarinowa. A Beniowskiemu zaproponował zajęcie guwernera swego syna, nauczania go języków i arytmetyki. Maurycy ubłagał kapitana o litość dla kupca i ostatecznie tamtego po prostu wysiedlono z Bolszeriecka.

Naczelnik Kamczatki nawet nie podejrzewał, że Kazarinow mówił prawdę. Zesłańcy już od dawna przygotowywali się do ucieczki. Został sporządzony plan zawładnięcia jakimkolwiek niewielkim statkiem, którym można by zbiec za granicę. Beniowski i Chruszczow narysowali mapę Wysp Kurylskich i Aleutów oraz wybrzeży Morza Ochockiego.

W spisku brali udział wszyscy zesłańcy. Nieoczekiwanie przyłączyli się do nich pracownicy kupca Chołodiłowa z subiektem Aleksiejem Czułosznikowem na czele — sprzykrzyło im się głodowanie i brutalność chlebodawcy. Do spiskowców dołączyli także dowódcy dwóch galiotów [2], stojących w czekawińskiej przystani: „Świętego Piotra" i „Świętej Katarzyny" — Maksym Czurin i Dmitrij Boczarow. Liczba spiskowców rosła. Byli wśród nich: żołnierze, kozacy, kupcy, a także ludzie różnych narodowości zamieszkujący Kamczatkę — Rosjanie, Koriak Brechow, Aleut Zachar Popow, Kamczadałowie Sidor Krasilnikow, Efrem Iwanow i Paranczin. Do ucieczki przygotowywało się nawet siedem kobiet: dwie pracownice nawigatora Maksyma Czurina, jego żona, żona Boczarowa, żona marynarza Andrejanowa, żona kancelisty Rumina i żona Kamczadała Paranczina:

Najmłodszym uczestnikiem spisku był syn popa z parafii uczińskiej, trzynastoletni Wania Ustużaninow. Bardzo przywiązał się do Beniowskiego, który opowiadał mu o dalekich krajach i zamieszkujących je zadziwiających ludziach. Od tej chwili Wasia został na całe życie wiernym przyjacielem i pomocnikiem Beniowskiego.

Spośród zesłańców tylko Guriew odmówił przystąpienia do spisku. Beniowski i Winblan próbowali go przekonać, ale Guriew sprzeciwił się stanowczo i nawet doniósł Niłowowi na współtowarzyszy. Ten chciał aresztować buntowników, ale było już za późno. Uzbrojeni w muszkiety, szable, pistolety i noże spiskowcy wystąpili z własnej woli. Późnym wieczorem dwudziestego szóstego kwietnia 1771 roku okrążyli kancelarię w Bolszeriecku. Wymiana ognia nastąpiła tylko obok budynku naczelnika. Niłow odmówił złożenia broni i prowadził ogień nawet wówczas, gdy wyłamano drzwi jego domu. Beniowski ze szpadą w jednej ręce i z pistoletem w drugiej pierwszy wtargnął do mieszkania. Niłow wycelował do niego z muszkietu i chciał strzelić. Ale wyprzedził go Panwow. Kulą z jego pistoletu położyła kapitana trupem.

Beniowski bardzo żałował, że zginął ten „nieszkodliwy starzec". Rozkazał uroczyście pochować Niłowa. Potem posadził w kantorze kancelistów Spirydona Cudejkina, Iwana Rumina oraz trzech praktykantów nawigacyjnych i polecił im rozdać ludności ze skarbca pieniądze i różnorodne zapasy. Wielu mieszkańców Bolszeriecka mogło to ocalić od śmierci głodowej. Potem Beniowski wydał rozkaz przygotowania tratew i łodzi. Przewieziono na nich trzy armaty, moździerz, proch, ołów, broń, topory, narzędzia stolarskie i ślusarskie, tkaniny, całe posiadane żelazo, futra, żywność. W ten sposób wyposażono statek w ekwipunek na dwuletnią wyprawę.

Na tratwach buntownicy przeprawili się rzeką Bystrą do czekawińskiej przystani. Tam, w ujściu rzeki Bolszej zimowały statki, na brzegu przystani stały dwie chaty i skład przechowywanych towarów, które dostarczano z Ochocka.

Beniowski i Chruszczow mieli początkowo zamiar zbiec kilkoma niewielkimi łodziami wzdłuż Kurylów. Ale kiedy przyłączyła się do nich spora gromada ludzi obeznanych z żeglugą, zdecydowali posłużyć się stojącym w porcie państwowym galiotem „Święty Piotr".

Galiot do niewielki okręt wojenny, żaglowiec o wyporności 200—300 ton. Jego długość — około 17 metrów, szerokość — 6 metrów. „Święty Piotr" został zwodowany w 1768 roku i należał do Syberyjskiej Floty Wojennej, ale był wykorzystywany przede wszystkim jako statek towarowy.

Galiot tkwił jeszcze w lodach, które trzeba było odłupywać. 2 maja 1771 roku okręt opuścił port.

Po przysposobieniu statku Beniowski podniósł na „Świętym Piotrze" własną flagę i nakłonił wszystkich do przysięgi, że będą bronić tej bandery. Sam ślubował zawsze i wszędzie troszczyć się o podwładnych. Na dziesięciu dużych arkuszach sporządzono „Oświadczenie dla senatu rosyjskiego", w którym buntownicy określili swój stosunek do porządków panujących w Rosji carskiej.

Po raz pierwszy w Rosji otwarcie mówiło się o samowoli carskiego panowania, o sprzedajności urzędników uciskających lud.

„A w Rosji naczelnicy posiadają jedno tylko prawo, wyrządzania ludziom krzywdy, ale pomóc biednemu człowiekowi nie posiadają już prawa... nieuczciwe ustawy i samowładztwo... Lud rosyjski cierpi wyłącznie tyranię..."

„Oto przyczyny niewolnictwa: kto jest bogaty, posiada możliwość uciskania biednych; jeżeli nawet prawie nie zna ustaw, to sędzia pomoże mu za pieniądze... a mówimy to teraz, gdy słabo uświadomiona szlachta nie posiada sił, aby troszczyć się o swoją ojczyznę. A każdy dba tylko o to... w haniebny sposób łaskę od naczelnika i zdobyć urząd. A jego uzyskanie wyrządza szkodę ludowi... lud ograbia się, a samemu bogaci ze wspólnego skarbu".

W „Oświadczeniu" buntownicy wyrażają swój stosunek do grabieżczej polityki carskich rządów: „Narodowi polskiemu zabiera się wolność, która dla Rosji nie jest tylko szkodliwa, ale niezbędna". W posłaniu do senatu rosyjskiego w ogóle poddawano w wątpliwość legalność panowania Katarzyny II. „Oświadczenie" w wielu sprawach wyprzedziło przyszłe manifesty Pugaczowa, a samodzierżawie demaskowało nawet silniej niż dokumenty napisane pięćdziesiąt lat później przez dekabrystów.

To posłanie podpisali wszyscy uczestnicy buntu, za tych, którzy nie potrafili, podpisali się ich współtowarzysze.

Przed wyjściem „Świętego Piotra" w morze bosman Sierogorodow zawiózł „Posłanie" do Bolszeriecka, aby wysłać je zgodnie z przeznaczeniem. Rząd carski postarał się, aby nikt nie dowiedział się o istnieniu tego dokumentu. Na rozkaz Katarzyny II generał-prokurator Wiazemski napisał na przesyłce z Kamczatki: „Tę paczkę przechowywać w sekretnej ekspedycji i bez rozkazu Jej Majestatu nie otwierać".

Bunt na Kamczatce wywołał popłoch w Petersburgu. Pierwsza instrukcja, którą otrzymał pułkownik Zubrycki, wyznaczony do prowadzenia dochodzenia w sprawie okoliczności Bolszerieckiego buntu, głosiła: od wszystkich osób, mieszkających w Ochocku i na Kamczatce, „które posiadają wiadomości o buncie, uzyskać zobowiązanie, że przyrzekają sprawę tę zachować w najgłębszej tajemnicy". Na zawsze zabroniono kierowania zesłańców na Kamczatkę. A za ujęcie i dostarczenie każdego buntownika, żywego czy umarłego, wyznaczono wielkie nagrody pieniężne.

Ale „Święty Piotr", który 12 maja 1771 roku odbił od brzegów Kamczatki z siedemdziesięcioosobową załogą, był już daleko. Prawie połowa mieszkańców Bolszeriecka zdecydowała się porzucić swoje domy, dobytek, ażeby uwolnić się od ucisku carskich czynowników. W czekawińskiej przystani pozostał tylko pełny spis państwowego mienia, które buntownicy rozdali ludziom, albo zabrali ze sobą na morze. Podpisał go Maurycy Beniowski. Chciał, żeby wszelka odpowiedzialność za wypadki spadła tylko na niego.

Na zbiegów czekały pełne niebezpieczeństw dalekie południowe morza; Japonia, Chiny, wreszcie Francja. Niektórzy z nich przebywali na egzotycznym Madagaskarze, z którego mieszkańcami będą walczyć przeciw francuskim kolonizatorom. A jeszcze inni wraz z Beniowskim wyprawili się do Ameryki, aby pomóc tworzącym się Stanom Zjednoczonym Ameryki Północnej w uzyskaniu niepodległości.

Na pokładzie „Świętego Piotra" znaleźli się ludzie, którzy trzydzieści pięć lat przed ekspedycją Kruzensztern i Lisiańskiego jako pierwsi Rosjanie opłynęli dookoła ziemię.

Przełożył:
KONRAD FREJDLICH

1) Najwyższy stożek wulkaniczny Kamczatki (przyp. tłum.).

2) To samo, co galeon. Dane techniczne „Świętego Piotra" dalej w tekście (przyp. tłum.)

POSZUKIWANIE INKLUZA

W PIW-owskiej serii polskiej prozy współczesnej wznowienia stanowią raczej niewielki margines. Tym większy sukces niedawnego debiutanta („W miasteczku, które jak ogród Andersena" — 1975) Zbigniewa Brzozowskiego, że jego drugi zbiór opowiadań „Dycha z Kopernikiem" doczekał się szybkiego wznowienia, jako jedyny zresztą przypadek w tegorocznej, dość skromnej, edycji tej interesującej na ogół serii.

Na tomik składają się krótkie opowiadania, półbaśnie — półgroteski — jak je sam autor określa. Ich wspólnota jest wyjątkowo spójna. Bohaterami są dzieci, w zdecydowanej większości mieszkańcy Domu Dziecka. Autor jest notabene pracownikiem takiego domu i książkę swą zadedykował wszystkim wychowankom.

W realia życia Domu Dziecka wkraczają w prozie Brzozowskiego motywy baśniowe. W życie codzienne kilku — i kilkunastoletnich chłopców wkracza nagle cudowność. Swobodnie, bez żadnego skrępowania przekraczają oni granice między światem realnym a sferą działania sił nadprzyrodzonych. Siły te, niemal bez wyjątku, są chłopcom przyjazne, pomagają im w trudnych sytuacjach, urozmaicają zbyt monotonny rozkład zajęć. Półbaśnie-półgroteski Brzozowskiego mają wiele wspólnego ze zwykłymi baśniami: w liryczny sposób przedstawiają wiarę w ingerencję sił nadprzyrodzonych jako rodzaj poszukiwania rekompensaty za brak ciepła rodzinnego, wiarę w przestrzeganie sprawiedliwych zachowań indywidualnych i społecznych, wiarę w konieczność istnienia i przestrzegania kanonów moralnych. Opowiadania z tomu „Dycha z Kopernikiem" cechuje wyjątkowa plastyczność. Zawdzięcza ją autor antropomorficznej wizji świata otaczającego dzieci, jak również poszukiwaniu i znajdowaniu inkluzów, to jest dobroczynnych sił, zawartych w przedmiotach bądź amuletach. Taką monetą-inkluzem jest na przykład dziesięciozłotówka z opowiadania tytułowego.

Książka Zbigniewa Brzozowskiego świadczy o potrzebie stałej obecności fantazji w świecie nie tylko dzieci, lecz również w świecie dorosłych. Potwierdza starą prawdę, że wyobraźnia jest istotnym elementem jeśli nie korygującym, to na pewno wzbogacającym zwykłą codzienność. Silną stroną historyjek zebranych w tomie „Dycha z Kopernikiem" jest niezwykle dyskretny, i przez to chyba skuteczniejszy, dydaktyzm. Półbaśnie-półgroteski Brzozowskiego mają zaledwie zarysowaną fabułę, przedstawione sytuacje układają się we wstępny dopiero szkic. Lecz właśnie ważna okazuje się nie fabuła, a same sytuacje jako przykłady uniwersalnych postaw. Świat przedstawiony opowiadań pokazuje zawsze zwycięstwo pozytywnych postaw życiowych: sukcesy odnosi nie silniejszy, ale sprawiedliwy, zwycięża nie egoizm, lecz koleżeństwo i przyjaźń.

Proza Brzozowskiego przeznaczona jest nie tylko dla młodego czytelnika. Sądzę, że właśnie dorośli mogą się z niej wiele nauczyć, bo przecież na naukę nigdy nie jest za późno. Podobnie nigdy nie jest za późno na poszukiwanie własnego inkluza.

T.B.

Zbigniew Brzozowski, Dycha z Kopernikiem, PIW, Warszawa 1978, nakład 10 150 egz., s. 113, cena zł 16.—

ZBIGNIEW S. NOWAK

CZARODZIEJ

Czarodziej handluje wyobraźnią! Może to brzmi nieprawdopodobnie, ale to najprawdziwsza prawda. Czarodziej mianowicie sprzedaje pomysły — przeróżne i przedziwne płody swej wybujałej ponad wszelką miarę fantazji i niebywale twórczego intelektu. Sprzedaje za ciężkie pieniądze. Jego szczególna praca, bardzo wysoko oceniana przez ludzi z branży, stanowi swoisty rodzaj sztuki. Czarodziej właśnie uprawia szczególny rodzaj sztuki. Dlatego uważa się za artystę. Inni zresztą też go za takiego uważają.

Oprócz tego Czarodziej jest milionerem. Nie takim „totolotkowym", lecz autentycznym. Swoje grube miliony sam zarobił w ciągu kilkunastu zaledwie lat. To też sztuka. W przypadku Czarodzieja musi to być sztuka na bardzo wysokim poziomie, skoro w ciągu tych paru lat przysporzyła mu tyle „szmalu" w złotówkach i innych światowych walutach. Inaczej być nie może.

Kim jest Czarodziej i czym się zajmuje? Otóż Czarodziej jest wysokim, szczupłym, przystojnym brunetem w średnim wieku — rysopis dość banalny. Mieszka w Łodzi, w najszykowniejszej chyba willi na przedmieściu. Żonaty, dwoje dzieci. Do tego oczywiście posiada elegancki samochód rzadkiej u nas zachodniej marki oraz pięknego psa spaniela. Tudzież „daczę" gdzieś w górach i jacht na Mazurach. Jak na artystę i milionera przystało.

A czym się Czarodziej zajmuje? Hm, jakby to rzec... — Czarodziej „robi" w kontrabandzie. A właściwie to on tylko kombinuje przeróżne sposoby przemytu przez strzeżone granice wszystkich chyba krajów wszystkiego, co się da i co się opłaca przemycać. Od długopisów i zapalniczek poprzez kosmetyki, zegarki, mechanikę precyzyjną, elektroniczne „ustrojstwa", wyroby jubilerskie, waluty wymienialne, dzieła sztuki, antyki... aż do samochodów. Może to brzmi nieprawdopodobnie, ale to najprawdziwsza prawda. Taki z niego artysta. Taki magik do wynajęcia.

Czarodziej dzięki swoim wyjątkowym talentom wymyśla tak wyszukane i perfidne sposoby szmuglu różnych różności, że nie przyśniłyby się one nawet najbardziej podejrzliwym i nieufnym celnikom. Nawet naszym, pono najbardziej dociekliwym. Oto kilka ostatnich, znanych wtajemniczonym, „numerów" Czarodzieja.

Do Austrii wywieziono niedawno dwa cenne obrazy, Siemiradzkiego i Rapackiego. Przeszmuglowano je w samochodzie, w podwójnych gumowych wycieraczkach podłogowych. Czescy celnicy, którzy chyba „dostali cynk" o kontrabandzie, na wszystkie możliwe strony przetrząsnęli samochód „konwojenta", na wycieraczki jednak nie wpadli. Nie wiedzieli, gdzie szukać, bo widocznie nie wiedzieli — czego.

Tranzytowa ciężarówka przewiozła z Berlina Zachodniego do Polski 5 tysięcy naręcznych zegarków elektronicznych w zaplombowanych „urzędowo" pojemnikach. Tutaj Czarodziej wpadł na pomysł, by grawerzy dorobili "lewe" sztance do plombowania. Grawerzy okazali się wyjątkowo zdolni.

Do USA na „Batorym" popłynęły cztery przepiękne brylanty, udające znakomicie zwykłe szkiełka na wyszywanym cekinami serdaku lalki-krakowianki, wiezionej w podarunku dla rodaków na obczyźnie. Kto by podejrzewał ludową lalkę o taki szyk?

Do Monachium został wywieziony XVII-wieczny cenny obraz nieznanego malarza. Podróż odbył zrolowany i umieszczony w wydrążonym porożu jelenia, ustrzelonego w Polsce przez pewnego zachodnioniemieckiego „dewizowego myśliwca".

Do Bazylei pojechała XVI-wieczna ikona, ucharakteryzowana zręcznie na niewinną cepeliowską deseczkę do krojenia warzyw, wśród innych „statków" ludowych.

Z Austrii do Polski przerzucono 4 kilogramy syntetycznych rubinów, sprytnie zatopionych w odpowiednio spreparowanych oponach samochodowych.

Do Hamburga przemycono cenną serię starych znaczków pocztowych, wklejonych misternie w okładki paszportu! To już była absolutna szmuglerska bezczelność. Ale komu też przyszłoby do głowy drzeć paszport na kawałeczki w poszukiwaniu kontrabandy?

To wszystko to zaledwie parę drobiazgów. Celnicy znają o wiele grubsze „numery" Czarodzieja i o wiele więcej. Wtajemniczeni zaś wspominają niekiedy o takich „szpasach" że dech zapiera. O wszystkim jednak się nie mówi, ponieważ wszystkiego do końca nikt nie wie. Oprócz Czarodzieja oczywiście. Ale on nie ma zwyczaju spowiadać się komukolwiek ze swoich wyczynów. Jest tajemniczy. We własnym interesie. Z jego strony to przecież zupełnie zrozumiałe „zachowanie tajemnicy zawodowej".

Czarodziejowi nie zdarzyła się jeszcze ani jedna wpadka. Bo też niemal za każdym razem, nawet jeśli towar bywa taki sam, Czarodziej wymyśla coraz to nowe sposoby kontrabandy, stosownie do zmieniających się okoliczności. Dzięki temu udaje mu się unikać ryzyka.

Korzystające z usług Czarodzieja gangi przemytnicze także raczej nie ryzykują wsypy. Przynajmniej dotąd nikt o czymś takim nie słyszał. Dlatego chętnych jest wielu. Podobno nie tylko na krajowym „rynku", bowiem fama o Czarodzieju rozeszła się szeroko po świecie, oczywiście tym bardziej przestępczym. Tak więc kombinatorzy wszelkich nacji, maści i kalibrów ciągną do Czarodzieja niczym wierni do Mekki. Zwłaszcza ci więksi, bo drobnych spraw Czarodziej raczej nie załatwia. Nie opłaca mu się. I tak ma zresztą mnóstwo roboty, nawet jeśliby sądzić o tym tylko z liczby samochodów na obcych rejestracjach przewijających się koło jego willi. Czarodziej więc dużo pracuje i dużo zarabia. Zbija gruby „szmal". Tak już od lat.

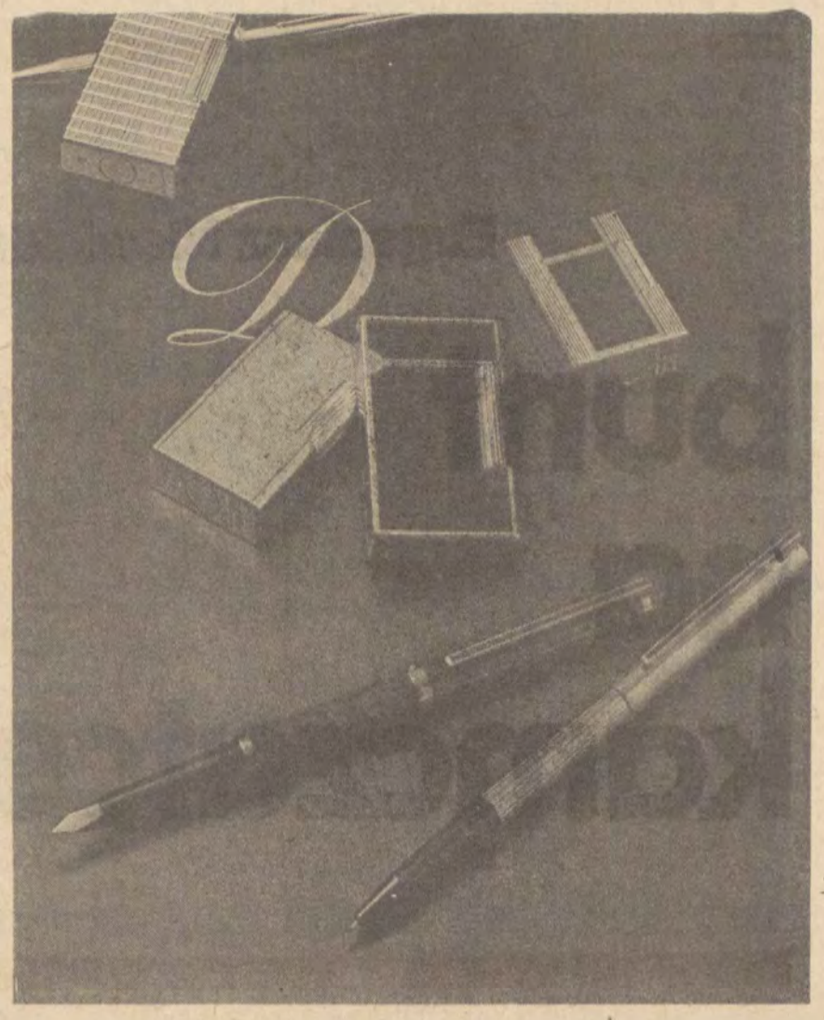

Foto: Archiwum

Celnicy i inni „łapacze" marzą o tym, by kiedyś wreszcie „przyciąć" na czymś tego szczególnego „artystę". Czekają na jakieś potknięcie Czarodzieja, ciągle czekają. Czarodziej wie o tym doskonale i mówi, że mogą tak sobie czekać do usranej śmierci. On nie jest frajer.

Czarodziej jest ostrożny i sam nie bawi się w przemyt. Co to, to nie. On tylko oferuje swoje szczególne usługi innym chętnym, oczywiście za odpowiednio wysokim wynagrodzeniem. Najlepiej za obcą walutę, przesyłaną z zagranicy, niby że od dobrego wujaszka. W ten sposób nie ryzykuje wpadki, a forsę ma i wydaje najzupełniej legalnie.

Jak dotąd więc, Czarodziej jest nieuchwytny dla stróżów prawa i porządku. Działa absolutnie bezkarnie. Klientów mu nie brakuje, pieniędzy też. Powodzi mu się coraz lepiej i poczyna sobie coraz śmielej, ku radości „kooperantów" i czarnej rozpaczy braci celnej. W tym miejscu nasuwa się pytanie, które przecież wreszcie paść musi:

Jak mu się to wszystko tak długo udaje? No właśnie!

A może Czarodzieja w ogóle nie ma? Hm...

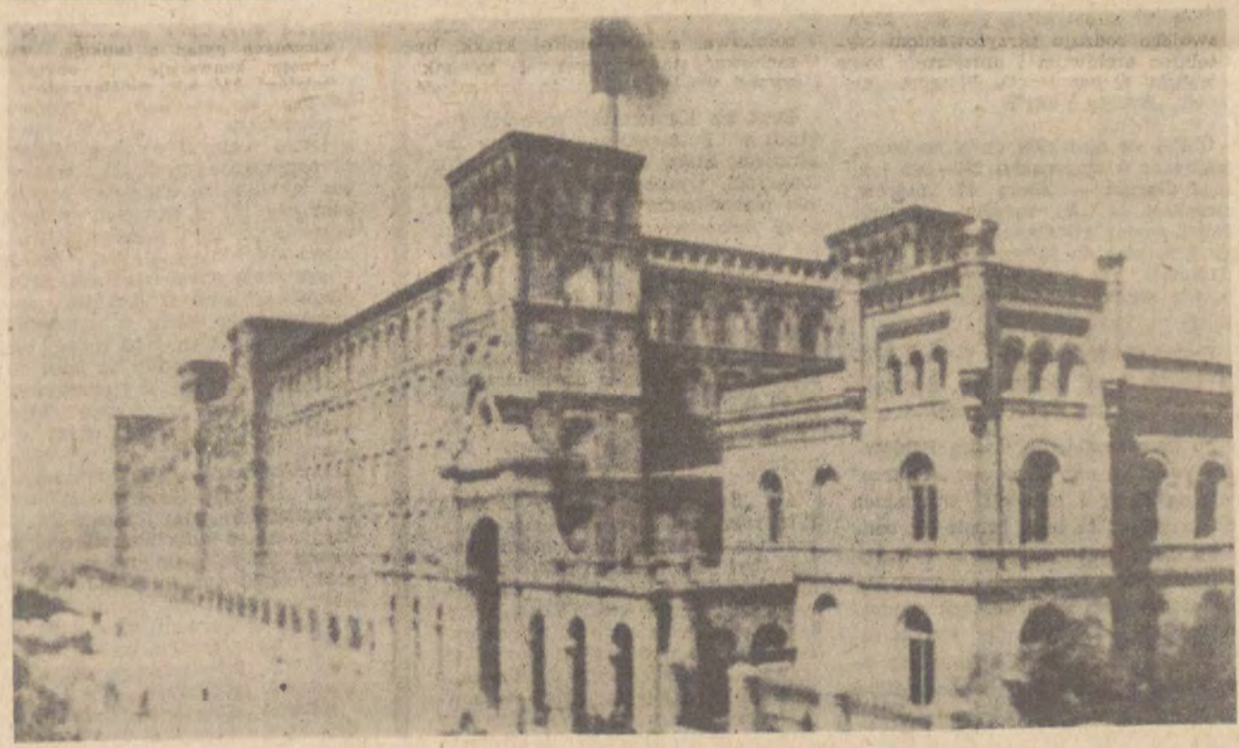

Foto: Archiwum

WACŁAW PAWLAK

W ATELIER ZAJĄCZKOWSKIEGO I GDZIE INDZIEJ

Na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku fotografia w Łodzi, podobnie jak w całym kraju, była jeszcze mało rozpowszechniona, do tego dość kosztowna i raczej dostępna zamożniejszym warstwom społeczeństwa. Większe zainteresowanie obrazami rysowanymi światłem nastąpiło w okresie powstania styczniowego, kiedy to przed wyruszeniem w pole wielu młodych partyzantów fotografowało się pojedyńczo lub w grupach. Niekiedy partyzant, mając na sercu podobiznę swej wybranki, walczył z wrogiem, jak ongiś rycerz średniowieczny, przepasany szarfą przez swą damę.

Ówcześni fotografowie byli przeważnie ludźmi o znacznych zainteresowaniach artystycznych, przy tym często biorącymi czynny udział w życiu społecznym oraz w walce z caratem. Do takich właśnie należał pierwszy fotograf łódzki Józef Zajączkowski.

Zajączkowski pochodził z Krakowa. Praktykę fotograficzną odbył w Warszawie, w znanym zakładzie Karola Beyera. W 1859 roku osiedlił się w Zgierzu i tu, wsparty finansowo przez przyjaciół, otworzył atelier fotograficzne. Po trzech latach Zajączkowski przeniósł się do Łodzi, która stwarzała większe możliwości prowadzenia zakładu aniżeli Zgierz.

Łódź, chociaż już wtedy była największym po Warszawie miastem w Królestwie Kongresowym, dotąd nie posiadała fotografa. Pracownia Zajączkowskiego stała się więc obiektem żywego zainteresowania łodzian. Klientela była spora: fabrykanci, kupcy, okoliczni ziemianie. Atelier fotograficzne początkowo mieściło się przy Nowym Rynku nr 8 (plac Wolności), później zaś zostało ono przeniesione na ul. Konstantynowską nr 5 (Obrońców Stalingradu).

Był to czas powstania styczniowego. Zajączkowski, z dawna zaangażowany w ruchu wyzwoleńczym, na początku 1863 roku objął po Ignacym Radziejowskim trudne i odpowiedzialne stanowisko narodowego naczelnika Łodzi. Pracownia jego, dogodnie położona w środku miasta, odtąd stała się miejscem narad kierownictwa łódzkiej organizacji powstańczej.

W sierpniu 1863 roku Józef Zajączkowski zmuszony był do opuszczenia Łodzi. Zagrożony aresztowaniem za udział w powstaniu, uszedł za kordon graniczny do rodzinnego Krakowa, zaś władze carskie zamknęły jego zakład. Po wielu latach pierwszy fotograf łódzki opisał swoje wspomnienia z pobytu w Łodzi. Ukazały się one w zbiorze pamiętników z czasów powstania styczniowego, opracowanym przez Stefana Kieniewicza, pt. „Spiskowcy i partyzanci".

W tymże 1863 roku powstał w Łodzi drugi zakład fotograficzny Dominika Zonera. Mieścił się on przy ul. Konstantynowskiej nr 3 (Obrońców Stalingradu). Właściciel wspomnianego zakładu uprzednio był wędrownym fotografem. Pod koniec lat czterdziestych przebywał w Krakowie, a do Łodzi przybył z paszportem austriackim wydanym we Lwowie.

Anonsy drukowane w łódzkiej gazecie „Lodzer Zeitung" informowały, że atelier Zonera posiada „najdoskonalsze przyrządy fotograficzne i jest w możności wykonać fotografie w największych rozmiarach, które nie tylko nie ustępują najlepszym olejnym portretom, lecz co do podobieństwa takowe nawet przewyższają".

W 1871 roku osiadł w Łodzi fotograf, Eliasz Sztuman, który trudnił się swoim zawodem już od 1855 roku. Zakład jego mieścił się przy ul. Piotrkowskiej nr 20.

Wybitną postacią wśród łódzkich fotografów był Bronisław Wilkoszewski. Około 1888 roku otworzył on pracownię fotograficzną przy Pasażu Meyera nr 5 (Moniuszki). Ogłaszając się w miejscowej prasie pisał o swoim zakładzie: „Urządzony elegancko i według najnowszych wymagań sztuki fotograficznej. Zdjęcia wykonywa sposobem momentalnym. Przyjmuje zamówienia na portrety olejne podług fotografii, gwarantując dobre wykończenie i podobieństwo".

W 1896 roku Wilkoszewski wydał ozdobny album pod tytułem: „Widoki miasta Łodzi", zawierający 39 artystycznych fotogramów. Album ten, stanowiący dzisiaj cenny dokument, obrazujący Łódź z końca XIX wieku, ukazał się w nakładzie 2500 egzemplarzy i był do nabycia we wszystkich łódzkich księgarniach. Fotogramy Wilkoszewskiego świadczą, że był on znakomitym artystą i fachowcem.

Należy tu nadmienić, że pierwsze fotograficzne zdjęcia Łodzi zamieszczone zostały w „Albumie kolei żelaznej fabryczno-łódzkiej", sporządzonym przez wymienionego na wstępie fotografa warszawskiego, Karola Beyera. Wśród dziesięciu fotogramów znalazły się dwa łódzkie widoki: Nowego Rynku (plac Wolności) i fabryki Scheiblera.

Bronisław Wilkoszewski brał szeroki udział w organizowaniu życia kulturalnego w ówczesnej Łodzi. Udostępniał swój lokal w willi „Trianon" dla wszelkich imprez artystycznych. Był on również jednym z założycieli wielce zasłużonego dla rozwoju kultury polskiej w „bawełnianym grodzie" Towarzystwa Śpiewaczego „Lutnia".

Oprócz wymienionych już fotografów do znaczniejszych w Łodzi zaliczał się także „nadworny fotograf" Jan Tyraspolski, mający swoją pracownię przy ul. Piotrkowskiej nr 76, jak również Stanisław Piotrowicz, którego zakład znajdował się początkowo przy Nowym Rynku nr 6 (plac Wolności), przeniesiony później na ul. Piotrkowską nr 103. Piotrowicz spokrewniony był z bohaterskimi uczestnikami bitwy pod Dobrą w 1863 roku, Marią i Konstantym Piotrowiczami.

Pod koniec XIX stulecia Łódź posiadała już osiem zakładów fotograficznych. W mieście znajdował się także sklep z materiałami fotograficznymi należący do Franciszka Postieba.

W 1904 roku urządzono w Łodzi w miejscowym „Salonie Artystycznym" pierwszą wystawę fotograficzną, na której zgromadzono pokaźną liczbę 150 fotogramów. Uzyskała ona przychylną opinię prasy. Odwiedzali ją tłumnie łodzianie, a także goście z Warszawy i całego kraju. Następne wystawy fotograficzne odbyły się w latach 1906 i 1916. Pierwsza z nich, urządzona przez „Nową Gazetę Łódzką", miała charakter wybitnie amatorski, druga zaś zawdzięczała swe istnienie staraniom zasłużonych miłośników fotografii, inżynierów Edwarda Wagnera i Daszewskiego.

Fotografią amatorską zajmowało się w Łodzi spore grono osób, a jednym z pierwszych fotografów-amatorów był znany przemysłowiec łódzki Henryk Grohman. Działali oni wszakże w rozproszeniu. Dopiero pod koniec 1916 roku zrzeszyli się, zakładając Łódzki Klub Miłośników Fotografii. Znalazło się w nim około 60 fotografów, zarówno amatorów jak i zawodowców.

PAN JULIUSZ

Dalszy ciąg ze str. 1

riały historyczne z okresu wojny, dokumenty zbrodni, spisuje skrzętnie wspomnienia tamtych dramatycznych wydarzeń, niektóre z nich utrwala na taśmie magnetofonowej. Chciałby opracować coś w rodzaju regionalnego „folderu miejsc walki i straceń", nie wie jednak, czy znajdzie wydawcę, bo pracę swoją traktuje bardzo „po swojemu", a i w tym zakresie obowiązuje u nas, niestety, pewien schemat.

— Interesują mnie przede wszystkim losy ludzkie, ich wzajemne związki i powikłania, zadziwiające zbiegi okoliczności. Nie potrafię poprzestać na suchych faktach, za każdym z nich kryje się przecież jakiś człowiek. Czasem jakiś drobny szczegół pociąga za sobą jak kamyk całą lawinę wspomnień. Chodzi to wszystko za mną, nie daje mi spokoju.

Parę lat temu zainteresowałem się losami nauczyciela wiejskiego Sadowskiego, który został rozstrzelany 18 sierpnia 1941 roku w tej samej osadzie nad Narwią, gdzie mnie spotkała później tamta „wojenna przygoda". Razem z nim zginęło dwanaście osób, w tym dwie Rosjanki, przy czym historia jednej z nich, jej życia, miłości, a szczególnie śmierci — ma w sobie znamiona niezwykłości.

Nikt nie wiedział, gdzie została pochowana. Jeździłem kilka razy do tej wsi, któryś raz przy okazji tzw. dziadów, przypadających w kilka dni po prawosławnej Wielkanocy. To ciekawy obrzęd, któremu towarzyszy przynoszenie na groby różnych wiktuałów, święconych jajek itp. (notabene, często później „rekwirowanych" przez osobników poszukujących darmowej zakąski). W ten właśnie dzień, przy pomocy miejscowej ludności, odnalazłem poszukiwany grób. Spisałem tę całą historię jako jedną z „powieści zasłyszanych", bo pobudziła ona moją wyobraźnię skojarzyła mi się z postaciami znanymi mi dobrze z lektury. Oto fragment tej opowieści:

„Dwie Rosjanki, które zginęły razem z Sadowskim, to położna i felczerka, młode dziewczyny, skierowane po skończonej nauce do wsi Łuka, na tzw. med.-punkt. Wieś na uboczu z dala od głównych dróg, więc w czasie odwrotu wojsk radzieckich nikt o nich nie pomyślał i pozostały we wsi, w której i pracy przybyło..

Dzięki szczególnemu zbiegowi okoliczności nie musimy domyślać się, jaki był przebieg wydarzeń, ponieważ na skutek pomylenia imion na liście jednemu z aresztowanych kazano wracać do domu. Był to człowiek odważny, więc kiedy znalazł się poza zasięgiem wzroku oprawców wszedł na drzewo i stamtąd wszystko obserwował. To, co opowiadał, znalazło potwierdzenie w czasie ekshumacji: nie wszyscy zostali zastrzeleni, niektórych zabito kołkami, wyłamanymi z jakiegoś ogrodzenia, które owinięte drutem kolczastym, służyły jako maczugi. Te kołki ze strzępami odzieży i ludzkich ciał zostały wrzucone do wspólnej mogiły.

Na pewno nie dlatego, że lekarz na wojnie powinien być osobą nietykalną, dowódca niemieckiego oddziału pacyfikacyjnego traktował jedną z Rosjanek wyjątkowo inaczej. Czy on znał rosyjski, czy ona niemiecki — trudno wiedzieć, ale rozmawiali bez tłumacza, już na wiejskiej ulicy. O czymś ją przekonywał, do czegoś namawiał. Sprzeciwiała się i po przywiezieniu na miejsce kaźni, więc kazał jej patrzeć na śmierć tych, którzy byli już nad dołem. Spokojnie czekał na odpowiedź, na jej decyzję i doczekał się jej: sama dobiegła do oprawców.

Jej gospodyni, która w nocy ubierała ją do trumny wspomina, że miała połamane ręce, nogi, była w straszliwy sposób znasakrowana. Została wraz z koleżanką pochowana na pobliskim cmentarzu w Różnym Borku. Nikt jej kopca nie usypał. Ten, który ją pochował, otrzymał od niej pamiętnego dnia 22 lipca 1941 roku fotografię z dedykacją: Na długą pamięć". Nazywała się Raisa Szewczenko, jej koleżanka — Zinaida Mleczko.

Nie byłem na filmie „Krzyżacy". Nie chciałem zniszczyć istniejących w mej wyobraźni, a stworzonych przez Sienkiewicza „moich" postaci. Co prawda w lipcu 1946 roku byłem na zamku w Malborku, ale ta konfrontacja z ruinami zamczyska nie zmieniła moich wyobrażeń. Następna nastąpiła nieoczekiwanie, przed paroma laty, gdy szukając dokładniejszych śladów Raisy dotarłem w piękny jesienny dzień do wsi Bołtryki, leżącej już po drugiej stronie Narwi, a więc wsi, która nie była wysiedlana ani palona.

Już wejście w obręb starych drewnianych zabudowań, stanięcie przed drzwiami prawie metrowej szerokości, a wykonanych z jednego bierwiona przeniosło mnie tam, gdzie mieszkał mój Jurand. Jaki będzie ten? Czy w ogóle może być do Juranda podobny? Wiedziałem, że jest to człowiek stary, który wiele przeżył, ale bałem się rozczarowania. Nie myślałem o celu przyjazdu, czekałem tylko na otwarcie drzwi...

Wyszedł do mnie nie z domu, lecz od strony zabudowań gospodarczych. To był on. Tyle, że nie był ślepcem. Spojrzenie jego, wyraz twarzy były idealnie spokojne.

Zza szkła świętego obrazu wydobył zdjęcie z dedykacją, potwierdził, że Raisa i jego syn Leon mieli się ku sobie, że może i dlatego nie uciekała na wschód. Po śmierci ukochanej i jej koleżanki Leon obie trumny przewiózł nocą na cmentarz i nawet jemu nie powiedział, gdzie są pochowane. Pozostał w domu — był łącznikiem oddziału, który zorganizował jego drugi syn. W jakiś czas potem, osaczony przez Niemców, broniąc się zginął i spłonął razem z budynkiem, do którego się schronił.

— Czyżby ktoś go zdradził? — zapytałem.

— Tak, doniósł Niemcom jeden tutejszy. Leon mówił mi, kto jest niepewny. Sprawdziłem, to on.

— Kto to był? Czy spotkała go kara?

Stary popatrzył mi w oczy. Zacząłem domyślać się czegoś strasznego, a jednocześnie zapomniałem o celu rozmowy... Zobaczyłem Juranda, gdy rzucał Danveldem o posadzkę.. Dopiero powoli wymawiane sylaby przywołały mnie do rzeczywistości, ale i zdumiały niezmiernie. Usłyszałem:

— Nie, on żyje. Niech się sam zamęczy...

Nie wiem, czy mój rozmówca, stary Bołtryk, tak odczytał intencje sienkiewiczowskiego Juranda, czy tamten Jurand był aż tak przewidujący, puszczając wolno Zygfryda..."

3.

W wydanej po wojnie książce Orłowskiego i Ostrowicza „Erich Koch przed polskim sądem" czytamy na stronie 110:

„Nauczyciel Juliusz Ojrzanowski mieszkał podczas okupacji w Hajnówce. — Jak tylko gauleiter Koch objął władzę — mówi Ojrzanowski — zaraz rozpoczęły się wysiedlania ze wsi w Puszczy Białowieskiej, aby przygotować tereny łowieckie dla Göringa. Jako pierwszych wyrzucono z rodzinnych domów mieszkańców Bud, Pogorzelca i Terenisk. Świadek pokazuje sądowi pieczołowicie przechowywany dokument nakazujący opuszczenie wsi w ciągu dwóch godzin. Kto się spóźnił lub wrócił po rzeczy, był rozstrzelany. Dokumentów takich świadek przywiózł ze sobą więcej. Między innymi pokazał sądowi niemiecką gadzinówkę „Bialystoker Zeitung" z 21.IV.1944 r. Na pierwszej stronie jest tam umieszczone przemówienie Kocha, zatytułowane „Gauleiter Koch do matek żołnierzy", wygłoszone z okazji urodzin Hitlera, w którym oskarżony zachłystuje się posłannictwem „führera".

Świadek obszernie mówi o tym „posłannictwie". Wymienia dziesiątki wsi ewakuowanych, palonych i równanych z ziemią, podaje nazwiska zamordowanych Polaków, opowiada o licznych egzekucjach w Puszczy Białowieskiej, o mordowaniu dzieci i ciężarnych kobiet wywlekanych siłą ze szpitala. Przypomina o rabunkach dokonywanych przez oficerów niemieckich i hitlerowskich dostojników."

— Koch zachowywał się przed sądem prowokacyjnie, był butny i pewny siebie, podważał wiarygodność wielu zeznań — wspomina pan Juliusz. — Gdy świadkowie mówili w swych zeznaniach o partyzantach, on, mimo, iż znał język polski, posługiwał się tłumaczem i kazał mu prostować, że to nie partyzanci, a bandyci. Kiedy jednak ja zeznawałem, nie odezwał się ani słowem. Po prostu przygwoździłem go faktami i datami, gdzie i kiedy bywał w czasie okupacji, co mówił, jakimi akcjami kierował.

— Jak widzę, ma pan doskonałą pamięć...

— Nie mogę narzekać, ale to nie tylko to. Miałem zlecone z ramienia AK obserwowanie Niemców, to było moje „bojowe zadanie". Robiłem dzień po dniu notatki, zajmowałem się nasłuchem radiowym do planu „Burza", a ponieważ jeździłem służbowo przynajmniej raz w tygodniu do Bielska Podlaskiego, przekazywałem tam owe wiadomości.

Zbierałem też materiały dotyczące zbrodni niemieckich na naszym terenie, niemieckie rozkazy, odezwy plakaty, ogłoszenia o egzekucjach dokonywanych na miejscowej ludności. Żaden z tych dokumentów przedstawionych na procesie Kocha nie został zakwestionowany.

4.

Nieduży pokój pana Juliusza jest swojego rodzaju skrzyżowaniem czytelni z archiwum i muzeum, i to w trakcie reorganizacji. Wszędzie piętrzą się sterty książek, gazet, wycinków prasowych, zapisanych szpargałów, spośród których wyziera tu i ówdzie taśma magnetofonowa.

Na jednej ze ścian ekspozycja pamiątek rodzinnych, które obejmują życie trzech braci. Sporo tu różnych odznaczeń, przy czym odznaczenia pana Juliusza zostały umiejscowione na samym dole (Srebrny Krzyż Zasługi, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złota Odznaka Związku Nauczycielstwa Polskiego). Za to wyeksponowane są odznaczenia brata-lotnika, który zginął przed wojną w zawodach szybowcowych. Pośrodku jego portret, niżej kord, odznaka korpusu kadetów, honorowa odznaka „Rumuńskiego Pilota", którą brat otrzymał po zawodach sportowych w Rumunii.

— Brat był wielkim miłośnikiem literatury — mówi pan Juliusz — sam też pisywał wiersze. Mam jego wiersz, w którym przewidział swoją śmierć lotnika.

Rozmowa schodzi na osobę innego lotnika z Hajnówki, który zasłynął w okresie drugiej wojny światowej. Dowiaduję się o biografii sierżanta Popka, jednego z asów lotnictwa polskiego.

— Był synem hajnowskiego brukarza, sam też pracował za młodu jako brukarz. Kiedyś kładli z ojcem drogę w pobliżu lotniska, i tak to się zaczęło. Chłopak wkręcił się do aeroklubu, tam zdobył pierwsze ostrogi pilota, a gdy poszedł w rekruty, wzięli go do lotnictwa. Walczył jako pilot-myśliwiec w roku 1939, potem brał udział w bitwie o Anglię, najprzód w eskadrach angielskich, później w tzw. Cyrku Skalskiego. Zginął w jednej z bitew powietrznych w roku 1944. Zbieram materiały do jego życiorysu, bardzo to leży mi na sercu.

5.

Pan Juliusz nazywa sam siebie dziwakiem, może chcąc w ten sposób wytrącić innym argument z ręki. Spisał już około pół tysiąca życiorysów ludzi, przeważnie samouków którzy obok wykonywanej pracy mieli jakąś swoją idee-fixe. Poczucie duchowego pokrewieństwa? Bardzo to możliwe.

— Zawsze miałem podziw dla ludzkiej dociekliwości, interesowali mnie pasjonaci, którzy całymi latami konstruowali coś na pozór bezużytecznego, rozgryzali jakiś problem. Na jednym biegunie będzie tu na przykład rzemieślnik, półanalfabeta, który skonstruował na swój wyłącznie użytek zegar słoneczny, na drugim — również związany przez całe lata z Hajnówką, dr Tadeusz Rakowiecki, który w przerwach między przyjmowaniem pacjentów zgłębiał zagadnienia astronomiczne, aż sam napisał potem kilka dzieł z tego zakresu które przyniosły mu rozgłos światowy.

Takie to są psychologiczno-historyczne pasje pana Juliusza. Znamienna rzecz: historia jest dla niego tylko pomostem do teraźniejszości. Dlatego z równym zacięciem gromadzi materiały do dziejów najnowszych, spisuje sylwetki ludzi, którzy kładli fundament pod te dzieje. Niepoślednie miejsce zajmują tu robotnicy, którzy po ucieczce Niemców podążali za nimi trop w trop, pilnowali wagonów z wywożonymi maszynami i urządzeniami, nocowali na dworcach kolejowych, wreszcie ściągnęli te urządzenia z powrotem do Hajnówki. Tak uruchomiono na przykład w Hajnówce elektrownię, która użyczyła swojej energii zniszczonemu wojną Białemustokowi.

A przeobrażenia dzisiejsze? Składają się na nie tak wielkie reformy, jak i drobne fakty. Może to kogoś śmieszyć, ale pan Juliusz ma zwyczaj odwiedzać środowe targi w Hajnówce i zapisywać, jaka jest na nich proporcja „żeleźniaków" w stosunku do wozów ogumionych. „Tak wykłada się jednostkowy postęp w komunikacji" — orzeka pół żartem.

Notatki, sterty notatek, próby układania ich w tematyczne całości. W jakich warunkach uczyli się rodzice, a w jakich uczą się jego uczniowie? Jak i przy pomocy jakich urządzeń pracowali dawniej robotnicy leśni, jak odbywała się obróbka i wywózka drewna, a jak odbywa się dzisiaj? Jest to, być może, nawyk z okupacji, owa notatkomania. Ale służy dziś przecież zgoła innym celom. Nie wszyscy to jednak rozumieją. Niektórzy zachodzą w głowę, o co właściwie temu człowiekowi chodzi? Z jednej strony chwali architektów białostockich, że, wytyczając w Hajnówce nowe ulice, zaplanowali je wzdłuż dawnych traktów, z drugiej zaś gani, że nie oszczędzili starego drzewostanu. Jest niby za postępem, za nowym budownictwem (dosłownie i przenośnie), a chciałby zachować dawne „trociniaki", w których mieszkali kiedyś robotnicy tartaczni. Protestował, gdy rozbierano stary dom dróżnika, że to niby „rzadko spotykana ciesiółka". A co nie wyrabiał, by ratować — w epoce mechanicznych młynów — stare wiatraki. Jest gorszy od Don Kichota, bo tamten atakował wiatraki (należy przypuszczać, że w imię postępu), a on ich broni. Propaguje się wszędzie mechanizację rolnictwa, a on podniósł krzyk, by zachować stary kierat, i to jaki sprzed stu lat! A cóż dopiero mówić o przechowywaniu w szkole takich rupieci z minionej epoki jak drewniane brony, sochy, jarzma, w które zaprzęgano woły przy kolejkach leśnych.

Dziwny to, zaiste, człowiek, zawsze coś chciałby zmienić, zawsze z czegoś niezadowolony. A do tego ma pociąg do pióra. W tej części kraju zwykło się przyglądać takim ludziom szczególnie uważnie. W ogóle jest bardzo kłopotliwy: dochodzi do tego, że kiedy trzeba wyciąć jakieś stare drzewo, robotnicy muszą to robić pod jego nieobecność, a czasem nawet w nocy...

Pan Juliusz opowiadał mi, jak pewnego razu w szpitalu, po operacji nogi, miał niezwykły sen (chodzi już od dłuższego czasu o kulach, trzeba o tym wiedzieć, by zrozumieć psychiczne motywy jego postępowania, by docenić jego pogodne usposobienie, hart ducha, a także — wagę tego wszystkiego, czym się zajmuje). Śniło mu się mianowicie, że szedł ulicą, którą zawsze chodził do szkoły i w pewnej chwili zwaliła się na niego olbrzymia topola. Gdy w kilka dni później odwiedził go w szpitalu kolega, okazało się, że właśnie w tamtym czasie wycięto topolę przy tej ulicy...

Dajmy jednak spokój metafizyce, spójrzmy na te sprawy realnie. Drzewa w Hajnówce i jej okolicy, wiekowe dęby, topole — to ostatni już świadkowie dawnej puszczy warto więc chyba je ocalić. Dawne urządzenia zakładów drzewnych, drewniane narzędzia gospodarcze, które dziś już wychodzą z użycia przemyślne wyroby z drewna na użytek domowy, nieznane w innych dzielnicach Polski — to niewątpliwie przedmioty o wartości muzealnej, które mają szansę stać się ciekawymi eksponatami w wymarzonym przez pana Juliusza Muzeum Przemysłu Drzewnego. Hajnówka to przecież stolica przemysłu drzewnego, a muzeum takie, umiejscowione w niej lub w sąsiedniej Białowieży, mogłoby stać się jeszcze jedną atrakcją turystyczną, a zarazem ciekawym dokumentem dawnej kultury materialnej. Nie bez znaczenia jest tu i skala porównawcza, wyznaczniki postępu, rozwoju myśli ludzkiej — idzie więc znów o zachowanie reliktów przeszłości w imię dnia dzisiejszego.

TADEUSZ GICGIER

NIE PRZEOCZMY TEGO FILMU!

Po długiej przerwie mamy znów możność obejrzeć film, który przypomina najlepsze lata czechosłowackiego kina. Rekomendacją wstępną „GRY o JABŁKO" jest nazwisko Very Chytilowej, której film „O czymś innym" wraz z „Czarnym Piotrusiem" Milosza Formana otworzył w 1963 roku wspaniały rozdział światowego kina. Vera Chytilowa jako jedna z pierwszych odkrywała nowe możliwości filmu fabularnego, tkwiące w metodzie wprowadzenia weń poetyki dokumentu. Na metodzie rzecz się nie kończyła, pozwoliła ona stworzyć film pytań egzystencjalnych, wyrastających z realiów podpatrywanego życia dwóch kobiet. Ten pozornie bardzo „kobiecy" film nie pozwolił sprowadzić się przez interpretatorów jedynie do przykładu tzw. kobiecego kina. W nowelowym filmie „Perły na dnie" (1964) zachwyciła Chytilowa sposobem przełożenia na obrazy opowiadania Hrabala pt. „Bar-Automat", a rok później zaskoczyła filmem „Stokrotki", który ujmował nie tyle klarownością intelektualnego wywodu, co swobodą i bogactwem obrazowej fantazji, koloru i surrealistycznej stylizacji. Po tym filmie, trafnie przez kogoś nazwanym „nekrologiem lekkomyślnego życia", zrealizowała Chytilowa „Owoce z rajskich drzew", które potwierdziły powolne odchodzenie autorki od reprezentowanej w „O czymś innym" metody na rzecz poetyckiego sposobu widzenia i interpretowania świata.

A teraz mamy „Grę o jabłko" — film, w którym Vera Chytilowa wykorzystuje dwa kierunki swych doświadczeń, upodobań i twórczej postawy. W latach swego debiutu miała Vera Chytilowa właściwie jedną poważną partnerkę trudów przebicia się przez mur niechęci narosły wobec problemu kobiety za kamerą. Była nią na terenie filmu fabularnego, bo o nim tu mowa, Agnes Varda. Dziś panie wkraczają do atelier w roli reżyserów częściej. Skutki tej odwagi, tak zresztą jak w świecie panów, bywają różne. Wszystkim podkpiwającym i wytykającym rozmaite obsesje „kobiecego kina" wystarczy jednakże przypomnieć nazwisko Larissy Szepitko, by ton całej dyskusji zmienić diametralnie.

Wspominam tę sprawę dlatego, że skłania do temu przedstawiany tu film, którego tematem głównym jest refleksja dotycząca partnerskich układów między światem kobiet i mężczyzn, owej „gry o jabłko", czyli odwiecznych pytań o funkcje, współzależności, konwencje i obyczaje obu światów, których współegzystencja jest i koniecznością, i wyborem.

W tej dziwnej komedii, w której naturalizm, groteska i liryka tworzą, zdawałoby się nieosiągalną, spójność, pada nienowa przecież konstatacja (ileż o tym powiedział już Bergman czy Antonioni) o nieprzenikalności tych światów, o istnieniu biologicznych i psychicznych barier, których żadna ze stron nie zdoła pokonać. Na tej konstatacji „Gra o jabłko" nie poprzestaje jednakże. Vera Chytilowa, zgodnie z jedną stroną swego twórczego temperamentu, tropi te współczesne realia życia, które sprawiają, że odmienność i obcość tych światów staje się coraz bardziej wyraźna. Dzieje się to, o paradoksie, wówczas, gdy kobiety wkraczają w rejony życia przez wieki zawarowane przez mężczyzn, gdy w grze obyczajów zmieniają się, a przynajmniej wyrównują, role, gdy silny mężczyzna okazuje się tak słaby, gdy dominacja kobiet w jego życiu nie kończy się wraz z wyjściem z czasu dzieciństwa. W obrazie tych przemian, gdzie wszelkie zmiany ról są możliwe, Chytilowa posługuje się żartem i kpiną osiągającą często wymiar groteski. Nie jest tu właściwie łaskawa wobec żadnej z zainteresowanych sprawą stron.

Zmienia się tonacja jej filmu, gdy sięga źródeł całego problemu. Tą tonacją zaczyna się film, którego poetyckim leitmotivem jest sad i dojrzewające w nim jabłka, a naturalistycznym leitmotivem — obrazy z położniczej kliniki. To milczące, tajemnicze drzewa rodzą jabłka, potem przychodzą ci, co je zbierają. To kobiety noszą tajemnicę życia i one rodzą dzieci — bohater filmu, położnik doktor Jon, dzieci te odbiera. Tak, ale on także zostanie ojcem, choć tego nie chce. Musiał być w życiu szalonej Anny, by mogła zostać matką — i to już wszystko. Reszta zależy od niej i należy do niej. Anna już nie chce grać o jabłko, gra jest zabawą czy konwencją tylko do czasu. Świat kobiety może już potem być światem bez mężczyzny, chyba, że grę będzie się chciało podjąć na nowo.

Można sens tego filmu rozumieć tak, można i inaczej — wielość interpretacji była zawsze wpisana w filmy Very Chytilowej. Jedno jest jednak pewne — film ten, przy wszystkich walorach wspaniałej komedii, niesie refleksje dalekie zewnętrznej tonacji filmu. Z powagą rozważa problemy tajemnicy życia oraz kobiecego instynktu życia, z humorem i z zadumą mówi o nieprostych związkach i konfliktach świata kobiet i mężczyzn toczących wieczną, przez naturę wymyśloną „grę o jabłko". Film Very Chytilowej przypomina jak bardzo czeskie kino da się lubić.

EWA NURCZYŃSKA

ANDRZEJ MAKOWIECKI

DWIE GODZINY OD ŚRÓDMIEŚCIA

Tablica na jednym z domów przy ulicy Thälmanna, która w 1972 roku otworzyła historię Retkini, informuje, że będzie to dzielnica dla stu dziesięciu tysięcy mieszkańców, ale dzisiaj przebąkuje się raczej o siedemdziesięciu tysiącach i o tym, że najwyższy czas zamknąć budowę.

Retkinia jest ogromna, chwilami wydaje się, że to całkiem odrębne, samodzielne miasto, a chwilami, że to pustynna wieś. Retkinia nie jest zwartym organizmem, zdążyła się już podzielić — są rejony ładne i rejony brzydkie, dobrze zaopatrzone, źle zaopatrzone i nie zaopatrzone w ogóle, do jednych docierają tramwaje i autobusy, do innych nie dojedziesz nawet samochodem na gąsienicach.

Najładniejszą i najwygodniejszą poddzielnicą Retkini są bez wątpienia Zagrodniki. Znajdziesz tu szkoły, żłobki, boiska i place zabaw, znajdziesz sklepy, biblioteki i świetlice. Panuje tu wzorowy porządek, ludzie zrobili sporo we własnym zakresie — tu i ówdzie posadzili drzewa, tam i sam kwiaty, są alpinaria i wypielęgnowane trawniki. Administracja też wydaje się tutaj dbać o mieszkańców — w gablocie za szkłem znaleźć możesz ogłoszenia odnośnie usług pralniczych, murarskich i hydraulicznych oraz cały szereg innych informacji, które pozwalają człowiekowi zorientować się w możliwościach osiedla.

Krótko mówiąc — w Zagrodnikach da się żyć. Dramat zaczyna się dopiero dalej, za ulicą Retkińską, tam, gdzie była niegdyś wieś Balonowa i tam, gdzie działa obecnie Łódzki Kombinat Budowlany ZACHÓD. Tu kończą się wszelkie drogi, a zaczynają doły i wądoły, nierzadko podkrążone wodą, w której śmiało można utonąć. Tu nie ma już latarni ani przystanków autobusowych. Tu są tylko dwa sklepy spożywcze: jeden duży, w niebieskim pawilonie, drugi mały, w bloku, pod jednym i drugim stoją kilometrowe kolejki. Kolejki stoją także pod nielicznymi kioskami warzywnymi, gdzie można kupić sałatę, czosnek i cebulę. Tu są tylko trzy żłobki i tysiące matek nie ma co robić z dziećmi. Jest tu tylko jedna szkoła podstawowa, JEDENASTKA i o siódmej rano brzdące z tornistrami podejmują trud wędrówki, aby zdążyć na lekcje o ósmej.

Patrzę na ten drobiazg i boli mnie serce. Przedzierają się brzegami wykopów, potykają się o druty, cegły, przewody elektryczne; kreśląc w powietrzu znak krzyża przechodzą przez rozeschłe kładki.

Pytam chłopca:

— Ile czasu zajmuje ci droga do szkoły?

— Pół godziny.

Pytam innego:

— Dwadzieścia minut.

Pytam jeszcze innego:

— Mama każe mi wychodzić piętnaście po siódmej — mówi — i za pięć ósma jestem w szkole.

Zaczepiam dwudziestoparoletniego mężczyznę, który przedziera się przez bezdroża między blokami z naręczem rzeczy do prania. Pokazuję mu legitymację prasową i pytam:

— Gdzie pan pracuje?

— W Zakładach Mięsnych na Wólczańskiej.

— A gdzie pan mieszka?

— Marchlewskiego 52.

— Czyli pracuje pan i mieszka w tej samej dzielnicy, na Polesiu?

— Zgadza się.

— Ile czasu jedzie pan do pracy?

— Jak wszystko idzie dobrze, godzinę. Ale gorzej jest z powrotami. Szczególnie w sobotę. Na przystanku „M" i „K" przy rogu Andrzeja i Gdańskiej jest wtedy taki tłok, że przepuścić nieraz trzeba pięć — sześć autobusów. A jak już przyjadę na krańcówkę, czeka mnie jeszcze kawał drogi piechotą.

— Jakie są w tym osiedlu największe pana bolączki?

— No, właśnie komunikacja. W gazetach przyrzekali, że na Pierwszego Maja przedłużą do nas linię tramwajową, ale zdaje się, że będzie to dopiero następny Pierwszy Maja.

— A poza tym?

— Żłobki. Jedno moje dziecko chodzi już do szkoły, ale drugie ma dopiero rok i trzy miesiące, powinno być w żłobku, ale nie ma miejsc.

— Z mieszkania pan zadowolony?

— Do dzisiaj jeszcze nie usunięto niektórych usterek, a po otrzymaniu decyzji w ogóle nie mogliśmy się wprowadzić z małymi dziećmi — zapchany sedes, przeciekające krany, poobrywane listwy; we wszystkich pokojach pozawijana na przestrzeni dwóch metrów wykładzina podłogowa z lenteksu, okna do dzisiaj chodzą razem z futrynami, a w murze kuchennym mam dziurę, z której bardzo wieje.

— Zechce pan podać swoje nazwisko?

— Oczywiście! Tu każdy panu poda swoje nazwisko, bo już gorzej człowiekowi być nie może. Jestem Kmiecik Henryk. Komisja Usterkowa robi sobie żarty: wywiesza kartkę, że będzie przyjmować reklamacje od godziny jedenastej, w tym czasie, kiedy ludzie są w robocie. Żeby przynajmniej napisali od jedenastej do którejś tam, to by się człowiek zwolnił. Ale oni tylko piszą OD JEDENASTEJ i koniec! To poszedłem do nich i mówię: jak nie zrobicie porządku w moim mieszkaniu, to pójdę na skargę do Partii. A oni na to: A idź pan! Partia nic nam nie zrobi, najwyżej nas wyśle na Sybir.

Panowie! Na Sybir to się jeździ teraz z Orbisem i nie za karę, tylko w nagrodę. I jeszcze jedno: Powiedzieliście panu Henrykowi Kmiecikowi, żeby się odczepił, bo Wy, Wysoka Komisja Usterkowa, istniejecie przecież tylko pro forma, na niby, żeby stworzyć pozory Instancji Odwoławczej. Pan Kmiecik chciałby więc zapytać was, za moim pośrednictwem, jak śmiecie okupować etaty i brać pieniądze za swoją nierzeczywistą pracę?

Podchodzę do młodej kobiety, która brnie bezdrożami w stronę niebieskiego pawilonu. Pytam wedle tego samego schematu:

— Gdzie pani mieszka?

— Marchlewskiego 42.

— A gdzie pani pracuje?

— W Urzędzie Dworcowym, Karolewska 55.

— Czyli blisko, w tej samej dzielnicy?

— Proszę pana — mówi z wyrzutem kobieta. — Droga do pracy zajmuje mi co najmniej pięćdziesiąt minut.

— A jakie są poza tym największe pani kłopoty?

— Takie jak u wszystkich. Zakupy. Ja już nie mówię o mięsie, ale żeby tutaj, na dalekiej Retkini, kupić w sobotę chleb, trzeba odstać półtorej godziny. Po cukier, to ja nieraz jeżdżę do śródmieścia... Najgorzej, kiedy trzeba wyjść po coś wieczorem. Przecież tu są kompletne ciemności, lampy palą się tylko przy Dzierżyńskiego i Marchlewskiego, dalej już nie ma ani jednej i człowiek musi orientować się według zapalonych okien w blokach. Jak ktoś młody, to sobie jeszcze daje radę, ale dzieci i starsze osoby... Przecież to jest samobójstwo! Szczególnie na jesieni i w zimie, kiedy oprócz ciemności są tu jeszcze bajora albo ślizgawki, no i, widzi pan, sterty cegieł, płyt, wyboje...

— Przepraszam, jak się pani nazywa?

— Barbara Ignaciuk.

Lekarz Pogotowia nie podał mi swego nazwiska. Ale mówił rozsądnie:

— Na całym świecie buduje się napierw porządne, dobrze oświetlone drogi, a dopiero później, na zniwelowanym terenie, stawia się domy. Dlaczego u nas jest inaczej? Dlaczego ja muszę błąkać się tutaj godzinę jakimiś wyboistymi, nieprzejezdnymi ścieżkami, żeby wreszcie ugrzęznąć w błocie przed blokiem, w którym ciężko chory człowiek oczekuje mojej pomocy?

Skarżyć się na Retkinię to tak, jakby skarżyć się na urodę dziecka, które nie całkiem jeszcze zdążyło się urodzić. Tysiące ludzi marzyło o blokowych mieszkaniach i dostało je wreszcie. I jest to ich wielkie szczęście i sukces. Nikt przecież nie zraża się w momencie, kiedy otrzymał klucze, stanem komunikacji, dróg i zaopatrzenia — taka jest po prostu ludzka natura: wprowadzić się jak najprędzej, potem będziemy martwić się o resztę. I z pewnością za dwa — trzy lata zaniedbane, odcięte od świata rejony Retkini upodobnią się do rejonów ładnych i wygodnych. Nasuwa się jednak refleksja: czy rzeczywiście nie można by zaczynać budowy nowych domów na lepiej przygotowanym terenie, tak, aby ludzie mogli przynajmniej normalnie chodzić i załatwiać swoje sprawunki?

Próbuję wyszamotać się jakoś z labiryntu, ślepych ścieżynek między domami — bolą mnie nogi, jestem wściekły. Potem oddycham z ulgą, gdyż widzę przystanek autobusowy: czerwony słup z blaszaną tabliczką „A". Słup ten stoi w gruzach przed blokiem przy ulicy Marchlewskiego 49.

Pytam człowieka:

— Jaki autobus tędy chodzi?

— Żaden.

— To po co ten zwodniczy słup?

— Panie, tu wszystko jest zwodnicze, a szczególnie praca. Popatrz pan sobie, co robią murarze!...

Jest akurat tak, jak napisał Gałęba w Głosie Robotniczym. W bloku, który niebawem zostanie oddany lokatorom, trwają prace wykończeniowe. Na trzecim piętrze grupa ludzi w kaskach wykańcza pół litra, na szóstym także błyskają flaszki: chyba wino. Dom tymczasem jest nie najpiękniejszy — segmenty złożone krzywo, wiele okien wyraźnie odbiega od pionu, błękitna mozaika balkonowa (skądinąd bardzo ładna i nieznana w innych osiedlach) już teraz jest poobtłukiwana i położona byle jak.

Sprawiedliwość nakazuje, aby powiedzieć, że niektóre brygady pracują uczciwie. Ot, chociażby drogowcy, kładący asfalt wzdłuż torów tramwajowych: pięciu młodych ludzi ocieka potem i nie pozwala sobie na papierosa czy wytchnienie.

W tym samym czasie pięciu innych młodych ludzi siedzi pod ścianą baraku przy ulicy Śrutowej (dać no mi gwintówkę). Opuszczam ich na godzinę, a kiedy wracam, ciągle jeszcze siedzą, a miny mają takie, jak chłopy w dramacie Mrożka: A może by my tak coś zaorali? Coś z brzega?

Kierowcy ciągników, wzbijając tumany złocistego pyłu, mordują się setnie, żeby dostarczyć materiał na budowę, ale w tym samym czasie murarze leżą bezczynnie w krzakach.

Zastanawiam się, po co są tak zwani kierownicy budów? Czy oni tego wszystkiego nie widzą? Czy nie mogliby na gorąco wychwycić niektórych usterek, gdyby zechciało im się trochę pochodzić po piętrach, albo choćby obejść dookoła nowy blok w budowie — wytknąć palcem krzywo położoną kratę na piwnicznym okienku, albo szparę w murze? Jednym słowem — zwrócić uwagę na to, na co później, przyjmując blok, nie zwróci zapewne uwagi Komisja Usterkowa, albowiem sama przyznaje, że powołano ją tylko tak „na niby", żeby stworzyć złudzenie...

Swoją drogą, ogromna się robi nasza Łódź. Bolesław Kowalski, kilkudziesięcioparoletni obywatel, który przeprowadził się na Retkinię z wyburzonego domu przy ulicy Bratysławskiej, we wszystkim potrafi doszukać się jasnych stron.

— Teraz jest nam wszędzie daleko — powiada. — Zazdrościmy tym, co mieszkają w Zagrodnikach i na Karolewie. Ale za pięć lat, jak tak dalej miasto będzie się rozwijać, zaczną z kolei nam zazdrościć, że mieszkamy ładniej i bliżej.

Wszystko się zgadza. Tramwaje i autobusy dotrą wreszcie do najodleglejszych miejsc, czas wypoleruje ściany i ulice, znikną doły i wądoły, przybędzie punktów usługowych i sklepów. Na rubieżach Retkini zacznie powstawać, być może, nowa ogromna dzielnica. Oby nasze dzieci i wnuki, którym przyjdzie tam mieszkać, mniej miały powodów do narzekań.

Foto: W. Parys

Foto: Archiwum

ODDZIAŁ DECYZJI OSTATECZNYCH

Dalszy ciąg ze str. 1

dwóch latach w ramach tzw. „usuwania niedoróbek inwestycyjnych"). Nie trzeba chyba wyjaśniać czym jest blok gastronomiczny dla szpitala prowadzącego kilkanaście oddziałów dla różnych schorzeń (odpowiednio przygotowany pokarm stanowi przecież jeden ze środków terapii).

NASZ SZPITAL

Kiedy dziś pracownicy **Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Łasku** mówią „nasz szpital", jest w tym sporo niepodważalnej racji. Usterki po „Montoprzemie" usuwali wszyscy. Lista wyróżniających się byłaby długa, ludzie pracowali po nocach, aby szpital mógł egzystować, aby przebywający w nim chorzy nie odczuwali stanu prowizorki i tymczasowości. Zresztą część z owych pionierów pracy czuwa do dziś, gdyż nie jest wykluczone, że mogą wystąpić nowe, ukryte wady pozostawione przez ekipy budowlane. Ludzie, z którymi rozmawiałem w łaskim szpitalu z rezygnacją mówią o niemożności wyegzekwowania od **„Montoprzemu"** usunięcia wszystkich wykrytych usterek.

— Nasze pretensje — mówi zastępca dyr. do spraw administracyjno-ekonomicznych szpitala **MIECZYSŁAW MIK — są słuszne i oczywiste, lecz w żaden sposób nie możemy zmusić wykonawcy by poprawił to, co wymaga poprawy.**

Czy naprawdę można zmusić?

Słowa uznania należą się jednak tym najwytrwalszym, najpracowitszym, którzy zarówno trzy lata wstecz, jak i dziś czuwają nad prawidłowym funkcjonowaniem tego kolosa leczniczo-administracyjnego. Oto parę nazwisk wziętych wyrywkowo z długiego rejestru: **Stanisław Cieślarczyk, Tadeusz Bartosiewicz, Zygmunt Lisowski, Kazimierz Krajewski, Mirosława Żeleźnicka, Zenon Bronowski, Teodozja Tosik, Barbara Pietraszewska, Jadwiga Walczak,** czy zasłużony dla służby zdrowia, wieloletni jej pracownik **Leonard Romanowski.** Clou całej sprawy stanowi fakt, że na usunięcie tego, co spartaczyli budowlani, szpital przeznaczył z bieżących środków eksploatacyjnych 3,5 mln zł. A przecież te pieniądze mogły być zużyte na pokrycie bieżącej działalności!

SZPITALNE KŁOPOTY

Mimo, że początki nie były zachęcające, szpital dla powiatu łaskiego w ówczesnym układzie administracyjnym był sprawą wielkiej wagi. Przez kilka dziesięcioleci rolę tę spełniał zaadaptowany z byłego klasztoru budynek, który z czasem okazał się niewystarczający. Przybywało do Łasku coraz więcej lekarzy, powstała możliwość zorganizowania kilku nowych oddziałów specjalistycznych. Dla szpitala powiatowego planowano takich oddziałów 7, w konsekwencji powstało ich 18 (np. oddziały wyspecjalizowane: kardiologia z salą intensywnego nadzoru, chirurgia dziecięca z własnym blokiem operacyjnym, chirurgia szczękowo-twarzowa, anastezjologia, neurologia). Bowiem to co wystarczało dla powiatu, przestało wystarczać dla nowo powstałego województwa sieradzkiego. Zaszła także pilna potrzeba powołania wysoko wyspecjalizowanej kadry lekarskiej.

Dziś połowa lekarzy dojeżdża z Łodzi, choć czynione są próby osiedlenia ich w Łasku. Piszę próby, gdyż brak mieszkań odstrasza nawet tych najmłodszych. Problem mieszkaniowy jest sprawą dużo szerszą i wymaga radykalnego rozwiązania. Chodzi o średni personel medyczny. Część pielęgniarek gnieździ się w pomieszczeniach starego budynku szpitalnego, jednak większość z nich dojeżdża, nieraz z bardzo odległych miejscowości: z Zelowa, Widawy, Sędziejowic, Brzykowa, Zduńskiej Woli, Szadku. Z reguły pracują na trzy zmiany, powroty do domu są uciążliwe, autobusy PKS nie zawsze kursują w późnych godzinach wieczornych, przygodni kierowcy nie zawsze chcą podwieźć. Tak więc dyrekcja stoi przed bardzo poważnym problemem, który musi być rozwiązany w najbliższych miesiącach. To rzutuje także na zatrudnienie: **aktualnie brakuje 60 pielęgniarek i 40 salowych.** Sądzę, że sytuacja ta ulegnie poprawie z chwilą przeniesienia się działu administracyjnego do nowego pawilonu. W opuszczonych przez administrację pomieszczeniach zorganizowane zostaną pokoje hotelowe. Jest to kropla w morzu, ale jakże niezbędna.

Rozpisałem się o sprawach gospodarczych i budowlanych, jakby to było najważniejsze w tym kombinacie życia i śmierci. Szpital wymagał jednak takiego opisu. Istnieje dzięki ludziom dobrej woli, którzy zamiast wojować z ekipą budowlaną, zrobili to, czym ten szpital jest dzisiaj. A dzisiaj jest to licząca się placówka lecznicza. By nie odsyłać chorych do Łodzi, powołano na miejscu przychodnię specjalistyczną (specjaliści są pod ręką). Niestety, przychodnia już „pęka w szwach", czas przyjęć poszczególnych lekarzy został opracowany co do minuty i każdy z nich wie, że jeśli przekroczy swój limit czasu, jego kolega, specjalista z innej dziedziny, będzie musiał pracować za dwóch, gonić, śpieszyć się, aby nie stworzyć jeszcze większych problemów swojemu, kolejnemu następcy. Chorych przybywa z dnia na dzień. Ludzie, wiedząc, że specjaliści są blisko, przychodzą tłumnie, wypełniają korytarze, tarasują przejścia. I znowu nowy problem: jak rozszerzyć pomieszczenia lokalowe przychodni? Wybudować specjalny kompleks leczniczy? A może zanim się go wybuduje, wygospodarować parę pomieszczeń w budynku po byłym prezydium Powiatowej Rady Narodowej?

ODDZIAŁ OSTATECZNYCH DECYZJI

Wspomniałem, że szpital to ogromna i potężna machina administracyjno-gospodarcza oraz, że gastronomia jest częścią składową terapii. Dlatego też, aby ludziom chorym zapewnić obok pomocy medycznej właściwe odżywianie, wykupiono duże gospodarstwo na terenie byłego młyna wodnego nad rzeką Grabią. Jest tam już własna tuczarnia i hodowla zwierząt rzeźnych. Otrzymywane stąd mięso w całości pokrywa potrzeby szpitala. Podobnie ma się rzecz z nowalijkami, warzywami i rybami. Zawiaduje tym wszystkim wieloletni pracownik służby zdrowia **Stanisław Dziedzic.**

Zrządzeniem losu znalazłem się, jako pacjent w **Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym w Łasku,** na drugim oddziale wewnętrznym, gdzie ordynatorem jest doktor **Saturnin Kowalski.** Trafiłem na jeden z najcięższych, a może na najcięższy oddział szpitala. Leżą tu w większości ludzie starzy i wyniszczeni chorobą, których wyrzekła się najbliższa rodzina, ludzie nieuleczalnie chorzy, noszący „wyrok śmierci", których jeśli nie można już uratować, to przynajmniej można im pomóc doraźnie (przetoczyć krew, zastosować właściwe środki przeciwbólowe — szczególnie dotyczy to schorzeń nowotworowych).

Budowany niegdyś szpital dla powiatu, jest za ciasny by spełniać rolę szpitala wojewódzkiego, stąd ciasnota na salach, nie ma możliwości wyodrębnienia sal dla jednakowego typu schorzeń. W dni przyjęć chorzy leżą na korytarzu, czekając na wolne łóżko. Średnio na takim oddziale jest 40 proc. ciężko chorych, wymagających szczególnej opieki (nie chodzą, nie wstają). Trzeba im nie tylko podać lekarstwa, lecz ich nakarmić i posprzątać po czynnościach fizjologicznych, pilnować aby nie było odleżyn itp. Tu rozpoczyna się rola pielęgniarek. **Przypominam, że** moje pierwsze wrażenie było takie, jakbym znalazł się wewnątrz ula, gdzie wszystko jest w ciągłym ruchu, trwa w mądrze zorganizowanym pośpiechu, a zarazem jest to konieczna krzątanina wypływająca z charakteru i specyfiki tego oddziału. Dziewczęta w białych fartuszkach są młode, są bardzo dziewczęce (średnia wieku pielęgniarek nie przekracza 25 lat).

Przez dwa tygodnie obserwowałem pielęgniarki z drugiego oddziału wewnętrznego i jestem pełen uznania dla ich poświęcenia i ich umiejętności. Nie jest ich wiele, zaledwie pięć, w tym pielęgniarka oddziałowa **Honorata Kowalczyk.** Ale czwórka bezpośrednio zajmująca się chorymi zasługuje na słowa uznania. Są to **Maria Wojtczak, Zofia Bierlit** (chorzy inaczej o niej nie mówią, jak per Zosia), **Maria Pałykowska** i **Bożena Białas.** Ich praca, dobre słowo, uśmiech — jakże wiele znaczą dla tych, którzy „na świecie jeszcze lecz już nie dla świata". Nie sposób także pominąć salowych, troskliwych opiekunek, które niemal co dzień zjawiają się na salach pytając, czy nie trzeba zmienić pościeli, podać świeży ręcznik. Jest ich także czwórka: **Wiesława Szczepańska, Janina Smolarek, Maria Janiszewska** i **Zdzisława Gwizdała.**

DR SATURNIN KOWALSKI

Doktor **Saturnin Kowalski** ukończył fakultet wojskowo-medyczny WCWMed. w Łodzi w 1958 r. i od tego czasu poświęcił się sprawie chorób wewnętrznych. Nie jest z urodzenia łaskowianinem. Na podstawie kilkuletnich doświadczeń z terenu Łasku dokonuje analizy przyczyn oraz specyfik zachorowań na choroby układu krążenia. Jest to temat obszerny, wymagający pracy konsultacyjnej z pracowniami naukowymi. Zamierza więc pracę swoją opublikować. Celem podstawowym jego badań jest wyciągnięcie wniosków profilaktycznych i przekazanie ich kardiologom, internistom oraz lekarzom wiejskim. Na pytanie, co lekarzowi ułatwia pracę, dr Kowalski powiedział:

— Przede wszystkim umiejętność nawiązywania kontaktu z chorym. Dobre słowo jest nie mniej ważne od leku. Nie litość, nie współczucie ale życzliwość. Lekarz musi umieć przekraczać barierę nieufności i uprzedzenia. Chory winien być przekonany, że jego choroba jest dla lekarza najważniejsza spośród wszystkich innych.

Dr Saturnin Kowalski jest człowiekiem czynu. Działa w łódzkim oddziale Towarzystwa Internistów Polskich, należy do Towarzystwa Medycyny Społecznej zajmującej się w przeważającej mierze szeroko pojętą profilaktyką, wygłasza odczyty i prelekcje w Polskim Towarzystwie Lekarskim, a nade wszystko prowadzi badania skomplikowaną, czasem trudno dostępną dla obecnych psychiką, współczesnego człowieka. Dotarcie do tzw. duchowego wnętrza pacjenta jest równie ważne jak jego schorzenie anatomiczne.

Miałem możliwość obeserwować dr Kowalskiego w jego codziennej pracy na oddziale chorób wewnętrznych, dlatego mogę do powyższej charakterystyki dodać jeszcze jeden szczegół: dr Kowalskiego cechuje wielka życzliwość zarówno dla podwładnych jak i dla ludzi powierzonych jego opiece.

Pomocą w prowadzeniu trudnego oddziału, jakim jest oddział chorób wewnętrznych, są asystenci, zdobywający aktualnie specjalizację z zakresu chorób wewnętrznych: lekarze **Irena Stik** i **Andrzej Gonczaryk.** Po zdaniu celująco egzaminów wrócili na swój oddział aby zdobytą wiedzę zastosować w działaniu praktycznym.

Pobyt w szpitalu, obok spraw czysto leczniczych, jest okazją do poczynienia obserwacji psychologicznych. Tu czas, ludzie i samo życie otrzymują inne wymiary, podlegają prawom nieznanym gdzie indziej. Jakże często szablonowy sposób myślenia przeniesiony na sale chorych staje się mimowolnym okrucieństwem. Ludzie odwiedzający swoich bliskich będących na leczeniu szpitalnym ulegają mylącej sugestii, że każdy, kto dobrze wygląda i dość sprawnie porusza się o własnych siłach stanowi okaz zdrowia. Mógłbym przytoczyć wiele przykładów potwierdzających powyższe spostrzeżenia i byłyby to przykłady tyleż niezwykłe co okrutne. Ograniczę się zatem do dwóch.

„CO SIĘ BYCZYSZ?"

Na ogólnej sali leżał 23-letni chłopak z „wyrokiem śmierci". Białaczka. Jego dni były dosłownie policzone. Na zewnątrz, dla laika, prezentował się zupełnie dobrze: chodził, rozmawiał, grał w karty. Na trzy dni przed jego śmiercią, odwiedził go ktoś starszy (ojciec?, brat?, wuj?).

— Co się byczysz — mówił do chłopaka. — **Nic ci nie jest, wyglądasz galancie, a pewnie i ckni ci się za chałupą. A u nas roboty po gardło, ledwie co nadążamy. Chyba pójdę do tego doktora i wygarnę co i jak. Ziemia nie będzie czekać, aż się tu wyleżysz i w tłuszcz obrośniesz.**

Istotnie, ziemia nie czekała. Widziałem później tego „szarego" człowieka przed kostnicą. Przyciskał spracowane ręce do głowy i powtarzał:

— Taki zdrowy! Taki mocny chłopak!

Inny, nie mniej wymowny incydent: czekałem na korytarzu, aż zwolni się łóżko na sali. Ubierano chorego, który odjeżdżał do domu. Był to dziwny chory: żółty, wyschnięty, nie miał siły by wstać, żona wkładała mu do ust łyżkę z rosołem.

— Co tu po nim — mówiła. — **W domu nie ma kto robić na krosnach, tyli czas tu leżał. Jakoś z pomocą Bożą zacznie pracować, bo trzeba do domu celek dokupić.**

Kobieta nie zdawała sobie sprawy, że mąż wraca do domu by tam umrzeć. Dlatego tak ważną sprawą według doktora Kowalskiego jest nawiązanie intymnego kontaktu pomiędzy lekarzem, chorym i jego rodziną. Nie zawsze się to udaje, o czym świadczą powyższe przykłady. Ale dobry lekarz nie może zrezygnować z prób szczerej rozmowy z osobami najbliższymi chorego.

ŚMIERĆ JEST CZYMŚ ZWYCZAJNYM

W salach, gdzie o śmierci mówi się jak o czymś zupełnie zwyczajnym, będącym nieodłącznym atrybutem życia, nie wywołuje ona takiej sensacji jak to ma miejsce na ulicy, w miejscu publicznym. Zmarły pozostawiony na dwie godziny w łóżku lub leżący na wózku na korytarzu nie budzi ani niezdrowej ciekawości ani specjalnego współczucia. Właśnie tu, wyraźnie i namacalnie dostrzega się nieuchronność przemijania, przemieszczania się w czasie, wędrówkę w zamkniętym cyklu życia od urodzin do odejścia. Dopiero tu można w pełni pojąć znaczenie zwyczajnego słowa „koniec". Ktoś nagle odchodzi, kto leżał obok ciebie, z kim kilka godzin temu rozmawiałeś, kto mówił o swoim życiu, snuł plany o tym, co będzie robić kiedy stąd wyjdzie. Jego nadzieja była piękna, choć była tylko nadzieją i niczym więcej. Tylko lekarz wie, że poza nią nie ma nic, że wszystko zostało już obliczone, zważone, wypełnione do końca.

— My nie reagujemy na śmierć tak gwałtownie jak ten, kto po raz pierwszy znajdzie się w szpitalu, jednakże zadajemy nieraz sobie pytanie: kiedy ja? na jaką chorobę? jak? — tymi słowami zakończył dr **Saturnin Kowalski** rozmowę.

EUGENIUSZ IWANICKI

BIGAMIŚCI CZY LEKARZE?

Peter Moerk to niepoprawny bigamista. Doprawdy ten duński kierowca pozował na renesansowego księcia. Jego wyczyny miały coś z barokowych opowiastek. Peter jeździł turystycznym autokarem na trasie Kopenhaga — Szkocja. Z jego usług korzystały młode Skandynawki, które zwykle upierały się przy tym, żeby Peter koniecznie zrobił na ziemi szkockiej krótki postój w Gretna Green.

To w tej właśnie szkockiej dziurze urzęduje pewien kowal, który każdemu kto tego zechce, chętnie udziela małżeńskich sakramentów nie oglądając się na żadne „bumagi". No i Peter Moerk wkrótce zasłynął jako rekordowy bigamista. W ciągu roku powiększał swój harem średnio o 6 nowych żon. A że chłopak był w pełni męskich sił i liczył sobie wszystkiego 30 lat, więc w jego rodzinnym stadle zgoda panowała całkowita i wszystkie jego liczne nałożnice pretensji doń żadnych przez dłuższy czas nie wnosiły.

Moerk wielce był oburzony, gdy ktoś zarzucał mu, że jest bigamistą.

— Nieprawda — oświadczał — jestem lekarzem psychiatrą.

Przypomina się Hermann Weyer z RFN. Wiadomo, Republika Federalna Niemiec ma pewną specyfikę. Rzutki i przedsiębiorczy Weyer zauważył, że mimo wojny, długich włosów i socjaldemokratycznych rządów, Niemcy na dnie swojej duszy pozostali sobą. Uwielbiają naukowe tytuły. Weyer spostrzegł, że to dr Lange firmuje sieć sklepów „porno", a dr Müller przylepia swą wizytówkę przed wejściem do każdej ze swych licznych restauracji. Niemcy są wniebowzięci, gdy mogą pod swym nazwiskiem umieścić owe nobilitujące ich dwie literki. Majątek by za to oddali.

Więc niewiele myśląc, Hermann Weyer sfałszował i sprzedał 350 dyplomów wyższych uczelni.

To oszust i falsyfikator, orzekł prokurator i polecił w pilnym trybie zamknąć Weyera za kratkami. Weyer jest oburzony. Co za kraj, co za ludzie, woła zdenerwowany w oczekiwaniu na proces. Przecież chciałem jak najlepiej. Wszyscy moi klienci byli ludźmi chorymi. Cierpieli na kompleksy. Potrzebowali pewnych, w innych krajach już staromodnych leków w formie ładnie wydrukowanych dyplomów. Był to lek niezmiernie skuteczny. Przywróciłem „Bundesrepublice" wielu godnych szacunku obywateli, którzy w innym wypadku staliby się tylko ciężarem opieki społecznej. . Nie jestem oszustem, tylko lekarzem psychiatrą.

Peter Moerk zawiesił to jednak na kołku.

— Nie daję już rady — oświadczył niedawno. — Człowiek też nie jest ze stali. Zmieniłem zawód, bo te turystki by mnie chyba wykończyły. Mieszkam teraz z moją Katarzyną i mam wreszcie święty spokój. A w ogóle kobiety są bardziej do siebie podobne niż mężczyźni. Starczy poznać jedną. Ale lekarzem psychiatrą byłem naprawdę. Leczyłem te panieneczki. One wszystkie chorowały na małżeństwo. A lek na taką chorobę jest tylko jeden.

Więc poligamia, jak się zdaje, nie ma w Danii szans zbyt wielkich.

Tymczasem po drugiej stronie oceanu jest w pełnym rozkwicie. „The Washington Post", podaje, że wielożeństwo, typowe niegdyś w Utah wśród Mormonów, puściło głębokie ostatnio korzenie w zachodnich stanach, przede wszystkim w Arizonie i Kalifornii. Ilość bigamistów nie jest dokładnie znana. Szacuje się ich jednak na kilkadziesiąt tysięcy. Wszyscy oni są wyznawcami doktryny Brighama Younga, który w 1848 roku posiadał w Utah 27 żon i założył „mormońskie państwo pustynne".

Współcześni amerykańscy bigamiści twierdzą, że robią otwarcie to co inni czynią w ukryciu, więc nie są przynajmniej hipokrytami. Po wtóre zagospodarowują tylko „nieużytki". Wchłaniają „kobiece nadwyżki". Czy jest w tym co złego? Gdzie zaś nie ma krzywdy nie może być kary.

Te kobiety są zadowolone. Mąż choć wspólny zawsze jest lepszy niż całkowita samotność. A czy ma kto pojęcie co to za mordęga wytrzymać z tyloma kobietami? To krzyż pański i Golgota. Więc czego się nas czepiacie? — pytają.

Może słusznie pytają?

JAN BĄBIŃSKI

JERZY STANISŁAWSKI

NIEMKA – FANATYCZKA SPRAWY POLSKIEJ

Julia Burow Pfannenschmidt (1806—1868) to pisarka, o której dziś nie wie się prawie nic. Zapomniano o niej w Niemczech, choć ongiś była postacią znaną i ogólnie szanowaną za jej pionierską pracę i całkowite oddanie się sprawie kobiet. W ich imieniu walczyła o prawo do oświaty, do pracy i wolności osobistej. W jej twórczości akcja toczy się przeważnie na ziemiach polskich pod zaborem pruskim, a dotyczy spraw Polski i jej uciśnionego ludu. Pisarka nie tylko rozumie trudne jego położenie, ale współczuje mu szczerze, nie ukrywając uznania dla jego walki o samodzielny byt narodowy. Sylwetki Polek i Polaków, które spotykamy w wielu utworach, kreśli z dużą sympatią akcentując wyraźnie zalety ich charakteru, takie, jak patriotyzm, honor i rycerskość, pracowitość i uprzejmość, silną wiarę i niezłomną wolę. I tak na przykład w noweli „Der Staatsgefangene", zawartej w zbiorze pod ogólnym tytułem „Aus dem Frauenleben" — 1857 r. spotykamy grupę żołnierzy polskich, którzy po upadku powstania listopadowego przekroczyli granicę Prus i jako uciekierzy skierowani zostali do cytadeli więziennej, mieszczącej się w warownych murach małego, starego zamku nad rzeką. Na czele tej grupy stał polski generał, jeden z organizatorów buntu. Troskliwe zajęcie się rannymi Polakami, okazywanie im wyjątkowych przywilejów przez naczelnika więzienia i jego całą rodzinę wytworzyło szybko atmosferę wzajemnego zaufania, koiło ich ból z odniesionych ran oraz żal spowodowany upadkiem powstania. Helena Müller, z iście samarytańską gorliwością opatrująca rany polskich żołnierzy, tak mówi do Holma — młodego niemieckiego więźnia politycznego, skazanego na karę śmierci: „Te ociekające krwią ciała, te rozgorączkowane oczy — czymże one są wobec wielkiej idei, która i nam głęboko w serca zapadała. Wszyscy ci mężczyźni walczyli i cierpią za to, co jest treścią ich życia, co owładnęło ich duże aż do zupełnego samozapomnienia: — za ojczyznę, — za wolność! Niech pan spojrzy im w oczy, Holm! — choć pokonani i rozbici, to jednak w ogromie nieszczęścia nie pozbawieni są iskry zapału... ja zazdroszczę im tego".

Nietrudno dostrzec, iż słowa te są zarazem wyznaniem własnego stosunku autorki do naszego narodu i do jego walki zbrojnej. Jakże wymownym jest jeszcze ten epizod, kiedy w kameralnym nastroju, w długie zimowe wieczory, zbierali się polscy żołnierze, by grać i śpiewać starodawne piosenki. Panna Müller akompaniowała im dzielnie na fortepianie. Znała ona wiele z tych melodii, które kiedyś często śpiewał jej ojciec, tylko z tekstem niemieckim. I oto w pewnej chwili zabrzmiały dźwięki Mazurka Dąbrowskiego:

Auf Kościuszko's Söhne!
Auf zum Kampf für Recht!

„Zrazu Polacy słuchali, a następnie zgromadziwszy się wokół fortepianu zawtórowali drżącymi ze wzruszenia głosami. Polski hymn narodowy popłynął nagle daleko w ciszę zimowej nocy".

Bohaterem tytułowym trzytomowej powieści historycznej pt. „Ein Bürgermeister" — 1862, jest Burmistrz miasta Gdańska — Konrad Letzkau, który w czasie walk Polaków z zakonem krzyżackim poddał się królowi Władysławowi Łokietkowi i nawet złożył mu osobiście hołd pod Malborkiem. Wobec dalszego rozwoju wypadków musiał następnie skapitulować przed Krzyżakami i zaprzestał dalszego oporu. Niebawem został wezwany na zamek komtura, i już stamtąd żywy nie wyszedł.

Julia Burow maluje w swym dziele z dużym rozmachem i jeszcze większym obiektywizmem obraz zakonu krzyżackiego oraz panujące w nim stosunki pod wodzą trzech kolejnych wielkich mistrzów: Konrada von Reutlingen, Ulricha von Jüngingen i Henricha Reuss von Plauen. Z całą bezwzględnością ujawnia perfidię rycerzy Zakonu polegająca na tym, że miejsce ślubowanego ubóstwa i pokory zajęły — bogactwo, pycha i siła orężna, a cisza klasztorna i modlitwa wyrugowane zostały przez całkowite zeświecczenie, żądzę, użycia świata, nieobyczajność, a nawet okrucieństwo.

Julia Burow bardzo wnikliwie, a przy tym interesująco, przedstawia w powieści wypadki z okresu największego napięcia i bitewnych zmagań Polski i Litwy z zaborczymi Krzyżakami. Z opisu przygotowań do decydującej walki zbrojnej i wreszcie bezpośredniej konfrontacji sił pod Grunwaldem w sposób niedwuznaczny wynika, że sympatia autorki jest zdecydowanie po stronie Polski. Opis zwycięstwa — to apologia bohaterstwa oręża polskiego i wyraz osobistej satysfakcji z tego, że sprawiedliwości dziejowej stało się zadość. Znamienny jest epizod, w którym sam Henrich von Plauen, następca poległego mistrza, przybywa do króla polskiego na czele orszaku rycerzy, przedkładając mu propozycje pokojowe. W darze zaś ofiarować chce ziemie pomorską, chełmińską i michałowską. Jagiełło, jak pisze autorka, spochmurniał i odrzekł dumnie: „Ofiarować mi chcecie to, co moim jest dzięki zwycięstwu. Zaiste wspaniały dar! Otwórzcie wrota waszych zamków — jako że Prusy moja stanowią własność, padnijcie na kolana i błagajcie o łaskę dla siebie i dla waszego Zakonu".

Cytowane dotychczas fragmenty z książek Julii Burow-Pfannenschmidt dostatecznie jasno uwypuklają wzniosłe idee, którym ona wiernie służyła i które z całą gorliwością wcielała w życie, nadając im kształt utworu literackiego. Dowiodły też ponad wszelką wątpliwość, że sprawa Polski zawsze ją żywo obchodziła i że z nieukrywaną troską, a może nawet żalem patrzyła na ten lud, który utraciwszy wolność, nie przestaje tęsknić do jej odzyskania.

Nigdzie w swoich utworach Julia Burow nie manifestuje tyle solidarności z okupowanym ludem, głos wiary w ostateczny sukces jego zmagań nie zabrzmi nigdzie donośniej jak w powieści zatytułowanej „Aus der letzten polnischen Revolution" — 1864. I długo trzeba by szukać w literaturze obcej dzieła, które stworzyło tak heroiczne postacie Polaków toczących zaciekły bój z nierównie silniejszym wrogiem o wolność i niepodległość swego kraju. Zdumiewać musi przy tym każdego czytelnika fakt, że cenzura dopuściła tę książkę do druku. Jest to bowiem z jednej strony wołanie o sprawiedliwość dziejową dla Polski, z drugiej zaś wystawienie fundamentalnego pomnika bojownikom o jej niepodległość.

Ze względu na wybitnie polonofilski charakter tej powieści poświęcimy jej nieco więcej miejsca.

Akcja rozpoczyna się w roku 1842. Lina Schärlin, żona radcy rządowego w Bydgoszczy, w rozmowie z nim oświadcza, co następuje:

„Nie wiem, Bernardzie, ale od czasu ostatnich zamieszek (powstanie listopadowe — przyp. mój — J.S.) często lękam się czegoś. Tyle zła jest na tym bożym świecie i ciągle nie ma poprawy. Rozbiór Polski był aktem niesprawiedliwości i gwałtu. Z tej też przyczyny krew polała się strumieniami i jeszcze lać się będzie tak długo, dopóki serce bije w piersi Polaka".

Bernard ma raczej powody, by nie lubić Polaków, gdyż z jednym z nich, hrabią Naczyńskim, uciekła kiedyś jego matka. Lina i Bernard mieli córkę, Bernardynę, nieświadomą tajemnic rodzinnych. Po ich przedwczesnej śmierci trafiła jako pokojowa do zamku Naczyńskich. Hrabina rychło zorientowała się, że Bernardyna jest jej wnuczką i zaopiekowała się nią.

Okazało się, że Naczyńscy spiskowali przeciwko Rosji, a w piwnicach gromadzili zapasy broni i amunicji. Duszą spisku był syn Naczyńskich, Kazimierz, w którego żyłach płynęła krew polska i niemiecka. Współdziałała z nim jego żona, Wanda, o której mówił do swojej matki: „Moja młoda żona wyznaczyła mi zadanie służenia życiem sprawie jej ojca i ojczyzny. Ty byś się na to zdobyć nie umiała, droga mamo — Niemko! Tego nie potrafi żadna Niemka". Żonę zaś takimi słowami zapewniał o swojej lojalności dla jej ojczyzny: „Zapewniam cię, że jakkolwiek moja matka jest Niemką, ja nie będę ostatnim synem Polski, który chwyci za miecz, gdy tylko nadarzy się sposobność, by walczyć o wyzwolenie kraju".

Kiedy zaś wyraził kiedyś pogląd, że mogliby żyć bezpiecznie i w spokoju, gdyby się solidaryzowali z rządem pruskim, Wanda zaprotestowała:

„Bezpieczeństwo mego ojca polega przede wszystkim na jego własnej ziemi, na trwałości tych murów, na sile jego ramienia i wierności jego ludzi... Niechaj tu przyjdą ci żołdacy niemieckiej tyranii, niech spróbują ruszyć hrabiego Naczyńskiego z domu jego ojców — wtedy ta oto moja drobna ręka niewieścia nie zawaha się przed rzuceniem lontu na proch przeznaczony do walki o wyzwolenie Polski. W tym przypadku utorowałaby ona przynajmniej drogę do wiecznej wolności".

Słowa te musiały zrobić na Kazimierzu ogromne wrażenie, skoro na znak odpowiedzi wycisnął na jej ustach gorący pocałunek, a po chwili dodał:

„Polska nie może zginąć z kart historii świata, dokąd jej córy są bohaterkami na wzór mojej ukochanej żony".

Postać Wandy wynosi autorka do rangi symbolu walczącej Polski, a więc kraju, który żył nawet gdy go nie było. Odsłania w nim istnienie nowych pokładów energii społecznej, wykwitłej z ran, jaką zadała Polsce katastrofa roku 1831 i z tego poczucia praw i odrębności narodu, które ocalały po zerwaniu się do boju. Polska była dla swych synów i córek czymś wielkim i świętym, ale także czymś niezmiernie bolesnym. Być Polakiem znaczyło być wybrańcem, ale także być męczennikiem i bohaterem zarazem. Patriotyzm taki wyrastał ze stosunków nienormalnych, z niewoli. Dźwięczy on donośnym echem w ustach Wandy Naczyńskiej, gdy w żarliwym uniesieniu powiada:

„Polen über Alles... a zwracając się do swego męża kontynuuje już spokojnie:

...za ojczyznę gotowa jestem poświęcić twe życie, lecz miłość moja przezwyciężyłaby tę śmierć, albowiem oboje jesteśmy Polakami i rozumiemy, że służymy świętej sprawie — wolności.

Nadszedł wreszcie rok 1848. Niepokoje ogarnęły całą niemal Europę. Także wokół zamku Naczyńskich rozgorzały walki. Hrabia Kazimierz całymi dniami nie zsiadał z konia. Wanda dowodziła gromadą ludzi, których jedynym uzbrojeniem były wyostrzone kosy. Bernardyna, widząc rozentuzjazmowanych bojowników bez szemrania oddających swą krew i życie dla utraconej ojczyzny, podziwiała ich szczerze i współczuła jednocześnie. Gdy nadeszła wieść o pojawieniu się wojsk pruskich w okolicy, Wanda była pierwsza, z której ust padły znamienne słowa: „Do broni, bracia!". Ona pierwsza włożyła hełm i przepasała miecz.

Czytelnika dzisiejszego razi patos tej książki i jej sentymentalizm. Nie należy jednak osądzać formy, ale intencje autorki.

Rankiem dnia następnego generał pruski wjechał na zamek otoczony pułkiem wojska. Zachowanie jego w stosunku do powstańców cechowała łagodność, wspaniałomyślność i respekt. Wszedłszy w asyście starego hrabiego Naczyńskiego do podziemia zamkowego ze zdziwieniem i przerażeniem zarazem zobaczył niewiastę z płonącym lontem w ręku. Była to Wanda usiłująca wysadzić w powietrze magazyn amunicji, którego zawartość, niestety, została przed czasem opróżniona. Wyszło na jaw, że Wołowski, człowiek, któremu Naczyńscy zaufali okazał się zdrajca. Generał spojrzał ze współczuciem na delikatną postać niewiasty i rzekł:

„Ta młoda kobieta, jak mi się wydaje, jest bohaterką, której męstwo i determinacja większe są niż u tych, o których mówią dzieje wszystkich czasów i narodów".

Na to stary hrabia Naczyński odparł tłumiąc w sobie wzruszenie:

— Ona jest wszakże Polka... Polki rodzą się bohaterkami...

Postać Wandy Naczyńskiej, jaką stworzyła autorka, nie była odosobnionym typem niewiasty polskiej, lecz po prostu jedną z licznych bohaterek, których obraz wyłania się z niemieckiej prozy literackiej XIX wieku tematycznie związanej z dziejami naszego kraju.

Ceniono u nich przede wszystkim nieprzeciętne wartości moralne i ideowe, zmysł praktyczny, no i niemniej właściwy im wdzięk i urodę. Opinia ta była tak powszechna i głęboko ugruntowana, że nawet zdeklarowani wrogowie Polski w ocenie swej nie stanowili wyjątku w tej mierze. Bardzo charakterystyczna jest wypowiedź Leopolda Sacher Masocha — szefa policji we Lwowie w latach 40-tych ubiegłego wieku — zamieszczona w „Die polnische Revolutionen" — 1863, której fragment cytuję za prof. A. Willem...

„O ile naród polski — także i pod względem politycznym — przez swą przysłowiową już konfliktowość odgrywał zawsze smutną rolę, to swoim patriotyzmem przewyższa wszystkie nacje. Ten patriotyzm uwydatni się najlepiej, gdy przyjrzymy się polskim kobietom. Są one wzorowymi matkami i żonami. Niezależnie od tego, że z największą troską wypełniają swe obowiązki w rodzinie, że są równie ładne, jak miłe, to dla ojczyzny gotowe są każdej chwili poświęcić ojca, męża, brata, przyjaciela i kochanka. Ojczyznę swoją miłują nawet tak bardzo, że nie pokochają mężczyzny, który w jej obronie nie złożyłby najwyższej ofiary mienia i krwi własnej.

Kobiety polskie wniosły też swój znaczący wkład do rewolucji 1831 roku".

Julia Burow znała dostatecznie dużo polskich kobiet z bezpośrednich kontaktów i miała o nich swój własny sąd. Dla oddania ich charakterów nie musiała więc korzystać z wzorców kreślonych przez innych. Niemniej relacja Sacher Masocha wykazuje zadziwiającą zbieżność rysów, jakie autorka wyeksponowała z osobowości bohaterki powieściowej. W postawie Wandy Naczyńskiej ukazanej na tle konkretnej sytuacji politycznej ze szczególną siłą manifestuje się patriotyzm, niespożyta energia w działaniu, żelazna wola, konsekwencja oraz gotowość do największych wyrzeczeń w imię wolności umiłowanej ojczyzny. Jej odwaga i determinacja, z jaką stawia czoło znienawidzonym ciemiężcom udziela się najbliższemu otoczeniu i wznieca w nim pragnienie walki, wzbudza podziw uwielbienia i dumę. W dostępnych nam źródłach dziewiętnastowiecznej literatury niemieckiej poświęconej Polsce, szczególnie w tych z okresu powstania listopadowego, wiele jest utworów zdradzających sentyment do narodu, który utracił niepodległość; do kraju, którego ziemie rozdarły inne mocarstwa — rzadko jednak heroizm bohaterów wznosi się tak wysoko jak u Julii Burow w powieści „Aus der letzten polnischen Revolution", a już wręcz niespotykanym elementem fabuły jest zasymilowanie się Niemców z Polakami w obrębie rodziny, i to tak dalece, że mając pełną świadomość swej odrębności narodowej, zdecydowanie opowiadają się po stronie uciśnionych — więcej nawet — czują na sobie odpowiedzialność za losy przybranej ojczyzny i dlatego też bez wahania przystępują do walki konspiracyjnej, organizują zbrojny opór, a chwytając za oręż idą ochoczo w nierówny bój, gotowi oddać swe życie.

Kiedy Julia Burow pracowała nad wspomnianą książką, w Prusach nasilał się okres propagandy antypolskiej. Mimo to pisarka nie ulękła się grożących jej konsekwencji i zgodnie ze swym sumieniem głosiła idee humanitaryzmu i internacjonalizmu, które stanowiły zawsze podstawę jej orientacji społeczno-politycznej.

„Aus der letzten polnischen Revolution" jest powieścią, która zwraca uwagę nie tylko swymi walorami estetycznymi, lecz także skutecznością oddziaływania na szerokie kręgi czytelnicze. Zarówno żywa, potoczysta narracja jak i przejrzysta konstrukcja utworu, a nade wszystko duży ładunek emocjonalny i głębokie zaangażowanie pisarki polską tematyką sprawiają, że spełnia zamierzony cel. Julia Burow usiłowała bowiem przekonać Niemców o tym, że Polska ma prawo do życia i że Polacy nigdy nie pogodzą się z utratą niepodległego bytu, bo jest on dla nich wartością najwyższą.

W każdym z jej utworów zawarta jest myśl zacna, w każdym wyczuwa się uderzenie miłującego serca, bowiem wszędzie i zawsze starała się wcielać w życie wyznawaną przez siebie zasadę streszczającą się w słowach: „Być szczęśliwym i uszczęśliwiać — oto zadanie każdego człowieka". „Każdy człowiek jest tylko w takim stopniu szczęśliwy, w jakim udaje mu się uszczęśliwiać innych".

recenzje

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

POWIEŚĆ „SEKRETARSKA"

Przed paroma laty w gronie krytyków recenzujących współczesne powieści polskie zrobił pewną karierę termin powieść „dyrektorska". Mianem tym objęto te wszystkie utwory, w których na plan pierwszy wysuwało się zagadnienie podejmowania ważkich społecznie i produkcyjnie decyzji przez ludzi kierujących załogami wielkoprzemysłowymi. Sprawa menażera uwikłanego w różnorodne i różnorakie kłopoty nie jest dla pisarza tworzywem ani specjalnie łatwym, ani specjalnie atrakcyjnym artystycznie. Ale istnieje na nią wyraźne zamówienie społeczne. Dowodem — sukces telewizyjnego serialu „Dyrektorzy".

Tymczasem obok tej odmiany współczesnej naszej prozy (a może właśnie z niej) wyrosła powieść, którą przez analogię nazwać można powieścią „sekretarską". Problemy w niej podobne, ale tło szersze, motywacja inna. Bohaterem staje się sekretarz organizacji partyjnej, problemem numer jeden nie tyle słuszność podejmowanych decyzji, co sam mechanizm działania politycznego w określonych warunkach oraz towarzyszące mu sukcesy i nadzieje, mierzone rzecz prosta, przede wszystkim skalą osobistych ambicji i możliwości. Zasadniczy problem powieści „sekretarskiej" sformułować można jeszcze inaczej: na ile w naszych obecnych warunkach funkcja sekretarza partii jest powołaniem, na ile zaś zwyczajnym zawodem, podobnym do wielu innych? Oczywiście pytanie to brzmi nieco schematycznie i nikt go tak w powieści nie formułuje, lecz ku odpowiedzi na takie właśnie pytanie zmierzać ma czytelnicza refleksja po lekturze powieści „sekretarskiej".

Ukazała się właśnie książka, która stanowi — moim zdaniem — klasyczny przykład powieści „sekretarskiej". Myślę o debiucie Michała Jagiełły „Hotel klasy Lux". Podąża on tropem wyznaczonym w ostatnich latach przez takie utwory, jak „Linia" Jerzego Wawrzaka czy „Surmak" Jerzego Jesionowskiego. Od obu tych pozycji jednak „Hotel klasy Lux" różni się — Jagiełłę interesują problemy już nie pojedynczego człowieka uwikłanego w politykę i przekształcającego rzeczywistość, interesuje go konfrontacja postaw poszczególnych bohaterów, reprezentujących różne środowiska i różne generacje. „Hotel klasy Lux" to powieść o pojedynczych ludziach i całych grupach zarazem — kręgach znajomych, mieszkańcach jednego powiatu, potem województwa, całego kraju wreszcie. Tak właśnie zbudowana jest ta powieść: obowiązuje w niej zasada „pars pro toto", ale z całą odwrotnością. Problemy jednostek oraz małych grup (koleżeńskich, zawodowych itp.) składają się na obraz sytuacji ogólnej. Ze spraw publicznych znów wynikają zależności osobiste. Najoczywistsza to prawda i znana każdemu. Zaś autorowi wcale nie chodzi o taką pseudoodkrywczość, lecz o przyjrzenie się konkretnym współzależnościom.

Postanowił on bowiem przedstawioną rzeczywistość utypizować, świadomie tedy skorzystał z pewnych stereotypów, wykształconych już w literaturze podejmującej współczesne wątki polityczne. W pierwszym rzędzie chodzi o typy działaczy, posiadających wspólny cel, mających wytyczoną drogę, lecz kroczących po niej własnymi sposobami.

W umownym, symbolicznym Mieście, malowniczo położonym w górach, wybudowano hotel kategorii Lux. Jego otwarcie stwarza okazję do zgromadzenia reprezentacji społeczeństwa. Daje też wnikliwemu obserwatorowi okazję do przyjrzenia się tejże zbiorowości.

Narrator koncentruje uwagę na kolejnych sekretarzach gospodarujących w Mieście (najpierw powiatowym, potem wojewódzkim), przy czym najwyraźniej, niemal modelowo, przedstawia dwu:

Satałę, działającego w Mieście dwukrotnie — w końcu lat czterdziestych i w końcu lat pięćdziesiątych. Typowy to robotniczy życiorys. Przed wojną praca partyjna w Łodzi, w okresie okupacji Armia Ludowa, po wojnie walka z podziemiem i kierowanie powiatem. Jego styl myślenia tak można najkrócej scharakteryzować: „nigdy nie dał poznać po sobie, że mu czegoś brakuje, a różnie bywało, Satała porównywał do tego, co miał przed wojną w Łodzi, i to porównanie wychodziło zawsze na korzyść nowej rzeczywistości".

Następcą Satały został Sobol, przedstawiciel generacji, która „nie głodowała, nie zaznała bezrobocia, wojny", jeden z tych, na których państwo „chuchało od maleńkiego". Jego styl różni się zdecydowanie od stylu poprzednika: „umie gładko mówić, na nartach jeździ, na zabawie w klubie bawił się do północy, nawet marynarkę zdjął; pije w miarę, ale głowę ma mocną, do babs się uśmiecha, po studiach..."

Towarzyszą im inni działacze — starzy: Klonowicz, Paka i młodzi: Wojtas, syn Klonowicza, a każdy posiada inny styl, inne doświadczenia, inne ambicje. W ten sposób „Hotel klasy Lux" staje się przeglądem niejako historycznych i współczesnych metod pracy politycznej, zróżnicowanych uwarunkowań pokoleniowych i osobistych.

Najdokładniej wyeksponowaną została konfrontacja pokoleniowa: pokolenie obciążone historią, współtworzące zręby nowego ładu społecznego, pokolenie uczące się o tych sprawach z podręczników historii. Przyzwyczajenie do jednego stylu myślenia, rutyna i próby odświeżenia sposobów działania. Czy w realnym życiu, w konkretnej rzeczywistości przy każdej niemal okazji trzeba przypominać o uwarunkowaniach początku? Co lepsze: pełna akceptacja rzeczywistości czy stałe dążenie do jej doskonalenia? Takie oto pytania prowokują pokoleniową dyskusję na temat: jak budować socjalizm w Polsce? Niejedna z wypowiedzi bohaterów „Hotelu klasy Lux" warto by upowszechnić, niejedna warto zapamiętać. O atmosferze tej powieściowej dyskusji świadczyć może następująca wypowiedź:

„Ja wiem, że w tym kraju nie jest ze wszystkim najlepiej, ale kto, mój synu, powiedział, gdzie to jest napisane, w jakiej mądrej książce, że w ojczyźnie ma być wszystkiego po-tąd — przejechał dłonią po opasce, którą miał na czole.

Człowieku, przecież to jest kapitalna myśl. Kto powiedział, że w ojczyźnie musi być najlepiej. Nie pytasz matki o urodę. No tak! Pomyśl tylko jak mechanicznie męliliśmy, że to byt określa świadomość, a tu jeszcze reminiscencje szklanych domów, tu rywalizacja z Zachodem i tyle innych spraw, że niewiele brakuje, a zapomnimy o czymś najbardziej podstawowym, no, bo ja wiem, może tak: socjalizm nie oznacza tylko przyspieszenia ekonomicznego".

Książka Michała Jagiełły odpowiada na społeczne zapotrzebowanie szczerego mówienia o najistotniejszych sprawach naszej rzeczywistości. Dyskusja powieściowa powinna sprowokować dyskusję pozaliteracką. „Hotel klasy Lux" jest bowiem dobrym argumentem na rzecz tezy, że o aktualnych sprawach politycznych trzeba pisać i to pisać wnikliwie i inspirująco.

Michał Jagiełło, Hotel klasy Lux, Czytelnik, Warszawa 1978, nakład 10 320 egz., s. 210, cena zł 23.—

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

LEŻĄ PRZEDE MNĄ NA BIURKU...

Leżą przede mną na biurku dwa tomy poetów dwóch generacji, wychowanych na różnych estetykach, o różnym typie wyobraźni, a przecież właśnie bliskich. obaj traktują wiersz nie jako jedynie fenomen lingwistyczny, ale artystyczny przekaźnik treści, którymi chcą usilnie przejąć dzisiejszego czytelnika ery konsumpcji. Jeden — wytrącić go z absurdalnego spokoju o los naszej, tak już, od jakiegoś czasu okazało się, kruchej planety, drugi — ze złudzenia leniwej wyobraźni, że czas dzisiejszy powstał z nieuciążliwego trudu zrywania kartek z kalendarza.

Leżą przede mną: „Winnica" Stanisława Skonecznego — kolejny tom znanego poety starszego pokolenia, wywodzącego się z nurtu Czernikowskiego autentyzmu, ongiś partyzanta Batalionów Chłopskich — oraz „Nazwanie życia" — poety i publicysty Henryka Gaworskiego, przedstawiciela młodszych roczników pokolenia Kolumbów, powstańca warszawskiego.

Nazwa „Winnica" w tytule pierwszego zbioru zdaje się być aluzją do ewangelicznych przypowieści o jednakowej zapłacie dla wszystkich robotników bez względu na staż pracy. Ale aluzją sygnalizującą sytuację wręcz odwrotną: czeka ich nie równa zapłata, lecz równy los pod wzniesionymi już nad „winnicą" — ziemią kopytami czterech rumaków Apokalipsy. Przyczyna nadciągającego kataklizmu dwojaka: odwieczna, immanentnie związana z człowieczeństwem jako częścią przyrody wrogość między Kainem i Ablem i przede wszystkim zwiększający się w postępie geometrycznym rozziew między stabilną naturą „wiecznego barbarzyńcy", a straszliwymi efektami „czynienia, stosownie do słów Pańskich, ziemi sobie podległej".

Czy katastrofizm tego i podobnych utworów jest manifestacją pesymizmu? Bywa, ale grubo nie zawsze. Wszak jeśli Kasandra, Jeremiasz, czy ksiądz Piotr Skarga decydowali się na głoszenie złowieszczych przypowiedni, to, rzecz jasna, że w optymistycznej nadziei, iż ich przekonany słuchacz połamie zęby przeznaczeniu.

Ostrzegacz Skoneczny przemawia do czytelnika całkiem innym językiem niż w pierwszych swych tomach po wojnie (zwłaszcza w pięknym zbiorze „Wierni ziemi", 1947 r.) poświęconych tradycyjnemu polskiemu bohaterstwu, co niedawno znów dało o sobie znać w podziemiu leśnym oraz wybuchowi optymizmu nazajutrz po wyzwoleniu. Skoneczny przemawia teraz namaszczonym stylem profetycznym, w którym retoryka wywodu wprost (jak w Psalmach Krasińskiego, czy sonetach Asnyka „Nad głębiami") otrzymuje co chwila wsparcie w postaci nagromadzenia fantasmagorycznych, wizionerskich obrazów - metafor. Na romantyczny i parnasowski rodowód tej poezji wskazuje konsekwentnie stosowanie przez poetę niezmiernie rzadko dziś praktykowanego wiersza sylabotonicznego, ściślej trocheicznego. Na jej współczesność — pietrzenie postawangarowych, zaskakujących metafor o rozluźnionej więzi logicznej. Wada ich jest niejednorodność. Sąsiadują bowiem ze sobą metafory z różnych, że tak powiem, parafii, są za tym nie sprzęgalne, a więc nie zdolne rozwinąć się na całą długość wiersza w tzw. wielką metaforę — o niewspółmiernie większej sile oddziaływania. Za to niekwestionowane mistrzostwo wykazuje Skoneczny w tworzeniu aforystycznych skrótków, żywo atakujących wyobraźnię i pamięć czytającego. Np. „trwanie wszechrzeczy jest nie ustające, to tylko rzeczy mają swe żywoty" („Rzeczy"), albo „świat się w zalanym gipsem mieści krzyku" („Wahadło").

Na tom Gaworskiego składają się cztery afabularne poematy liryczne. W każdym autor „spogląda jeszcze raz na przeszłość w dali". Bynajmniej nie dlatego, że „cudnymi blaskami zachwyca" — bo te jej blaski to łuny pożaru Warszawy i tysięcy innych miast — lecz by pokazać początek drogi, która jego i rówieśników zawiodła do pełnej afirmacji Nowego i mocno osadziła w nowej rzeczywistości.

Poemat „Pomorski marsz" oddaje z dużą prawdą psychologiczną przeżycia przechodzącego swój chrzest bojowy żołnierza w ostatnich kilku minutach przed zapowiedzianym atakiem: rozpaczliwe zmaganie się w duszy takich sił, jak obezwładniający lęk i wzburzony instynkt samozachowawczy, a z drugiej strony — ambicja oraz świadomość wagi wybiegnięcia z oddziałem na spotkanie śmierci. „Żołnierska rota" — zaczęta obrazem przysięgi żołnierskiej w 1944 r. — oddaje uczucia tych, co po pięciu latach poniżenia wstąpili na szlak odwrotu naszej armii we wrześniu, w jakże już teraz innym charakterze — armii zwycięskiej pędzącego przed siebie wszechwładnego do niedawna wroga. Poemat posiada piękne partie, jak np. „Rozdział 3", zakończony pytajnikiem: „Chłopcy malowani — kimże oni są?". W całości grzeszy jednak pewnym wielosłowiem. W „Żegnaj Boże" podejmuje Gaworski temat nadzwyczaj trudny i delikatny: przedstawia dzieje swej utraty wiary (głównie w wyniku niedostrzegania w „czasach triumfującej bestii" widocznych efektów działania Opatrzności), nie popadając ani przez chwilę w specyficzne zacietrzewienie „osobistych nieprzyjaciół Pana Boga". Niewiara jest dla poety wiedzą bolesną. Zwłaszcza w partiach, w których wspomina, jak to za niewierzącego konspiratora modliła się podczas okupacji jego matka. Te partie mają coś z tragizmu i rzewności „Stabat Mater". Całość psuje jednak zakończenie, w którym Gaworski dając się ponieść zbyt daleko wizji nowego wspaniałego świata oznajmia, że medycyna przyszłości będzie w stanie zapewnić człowiekowi... nieśmiertelność biologiczną.

Najpiękniejszy jest ostatni z poematów — „Twarze". Autor wspomina dziewczęta z konspiracji i z powstania. Drogi ich i jego, oraz uczucia, zespoliły się na chwilę. Wnet każda z dziewcząt odeszła w śmierć, zadaną przez wroga i bestialską. Nieubłagane prawo życia sprawia, że w trakcie półtrzecia niemal wieku pogrążyły się w niepamięć. Nawet we wspomnieniach autora postacie ich posiadają już konsystencję mgły. Prawu obumierania pamięci nie poddaje się tylko jedna — jakże realna istota, ta, którą gramatyka i tradycje alegorystyki każą wyobrażać też jako kobietę, a imię jej, że sparafrazuję autora, jest unią dwóch sylab: „pol" i „ska".

Świetnie współgra z charakterem tych poematów — pisanych z myślą o poruszeniu czytelnika, a nie epatowaniu go modnymi izmami czy ekstrawagancjami formalnymi — ich rytmika: nerwowa, nierówna, odbijająca przez skracanie i wydłużanie wersów, falowanie autorskiego wzruszenia bądź ekspresję sytuacji dramatycznej...

W tej chwili, gdy kończę już właściwie tę recenzję, spadł mi na biurko trzeci tomik. Autora z nieco młodszej generacji, który też nie uważa dydaktyki za rzecz kompromitującą i z samej swej istoty dyskwalifikującą wartość wiersza. Autor — Ryszard Danecki, współtwórca w końcu lat pięćdziesiątych znanej grupy „Wierzbak". Tytuł tomu — „Patrol poetycki". Zawiera wiersze pisane na przestrzeni wielu lat, toteż niejeden z nich uległ znacznemu spłaszczeniu przez bezlitosną prasę czasu. Niektóre reprezentują gatunek poezji ceniony w pismach codziennych przed pierwszą wojną światową oraz w okresie minionym, tzw. okolicznościówek (wiersz na otwarcie czegoś, na śmierć działacza wojewódzkiego, zaciąg do...). Na pewno potrzebne są na użytek akademijny miłe wiersze o urokach nie rozpieszczanego przez literaturę, a nawet i legendę, historycznego miasta, w którym Danecki tworzy. Ale jest w tym tomie wiele wierszy prawdziwie pięknych i odkrywczych, po mistrzowsku operujących ekwiwalentyzacją, niedomówieniem, katachrezą itp. Do nich należy m. in. znakomity wiersz „Obcy" — o dwóch ludziach podkładających pod homonim „granat" biegunowo odmienne znaczenie. Z tej racji, że jeden to uczestnik pokolenia Kolumbów, drugi zaś jest badylarzem czy handlującym wojażerem „okresu małej stabilizacji". Ukoronowaniem tomu jest świetny artystycznie i bogaty myślowo cykl „Z podróżnego notesu" — miniatury reportażowo-refleksyjne z ciekawych krajów.

W wierszu z pobytu na Krymie „Grób Potockiej" sięga Danecki po temat, zdawałoby się, do cna wyeksploatowany przez Puszkina, Mickiewicza, hr. Olizara, Łesię Ukrainkę i in. A przecież niespodziane spointowanie oksymoronem — „Polska branko, dożyłaś wolności w wierszach Mickiewicza" — nadaje spowszedniałemu tematowi miłą świeżość. Dodam, że kończący astystycznie tom wiersz „Tamara" wydaje mi się najlepszy spośród wszystkiego (z wyjątkiem „Carycy Tamary" Lermontowa i „Złotej kołyski" Ilii Czawczawadze), co o tej fascynującej wyobraźnię średniowiecznej władczyni gruzińskiej napisano w nowszej poezji. A napisano niemało, również i w Polsce.

A zatem wiersze tworzone z myślą o czytelniku — a nie o aprobacie garstki kosmopolityzujących cmokierów — są; jest ich niemało i pięknych. Gdybyż to jeszcze zaczął po nie częściej sięgać dzisiejszy czytelnik — w tym zwielokrotniony w setki tysięcy inżynier Karwowski z niedawnego serialu, co miał trudności z przypomnieniem sobie, kim był Mozart; Karwowski, wnuk i prawnuk nie magistrów, dla których jednak, jak daleko sięgać wstecz, słowo poetów bywało, że użyję określenia nie zapomnianego prof. Ignacego Chrzanowskiego — „chlebem macierzystym".

---

*) Stanisław Skoneczny „Winnica", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1977, cena zł 10, Henryk Gaworski, „Nazwanie życia", MON, Warszawa 1977, cena zł 25, Ryszard Danecki „Patrol poetycki", Wydawnictwo Poznańskie. Poznań 1977, cena zł 12.

STANISŁAW KASZYŃSKI

TEATR Z CAEN

Z rewizytą na zaproszenie ST „Pstrąg" występował w Łodzi w pierwszej dekadzie kwietnia br. uniwersytecki teatr z Caen — „La tripe de Caen". Słownik francusko-polski objaśnia, że „la tripe a la mode de Caen", to po prostu flaczki garnuszkowe, potrawa ponoć wyśmienita, jak mówią znawcy. Żałuję, iż będąc w grudniu ub. r. w stolicy Normandii, nie udało mi się owych flaczków spróbować, nie ustaliłem także, dlaczego tę reklamową nazwę przyjęli w szyldzie swojego teatru sympatyczni Francuzi. Oczywiście, zespół ze sztuką gastronomiczną nie ma nic wspólnego, wiele natomiast go łączy ze sztuką teatralną. I to nieomal spod znaku profesjonalnego.

Stwierdzenie to może dziwić. Teatr działający w uniwersytecie, więc — wedle naszej klasyfikacji — teatr studencki. W tym wypadku ta kategoria byłaby myląca. Z różnych względów. Zespół francuski składa się tylko po części ze studentów, są w nim i absolwenci, i ludzie spoza środowiska uniwersyteckiego, np. reżyser — J. P. Laurent — jest nauczycielem szkoły średniej. Skład niejako „zawodowy" — nietypowy, i odbiegający od występującego u nas wyraźnie zróżnicowania w zakresie ruchu teatralnego, w którym egzystują, nie zaś koegzystują trzy odrębne grupy — profesjonalna, studencka i amatorska. Zjawisko to występuje na Zachodzie dość często, toteż przy ocenie propozycji artystycznych ten moment należy brać pod uwagę i stosować odpowiednie doń kryteria wartościowania.

Francuzi pokazali dwa przedstawienia: sztukę pt. „Zakochani starcy", w konwencji commedia dell'arte wg scenario Flaminia Scali, aż z roku 1555 oraz komedię, właściwie groteskę nadrealistyczną „Matuzalem" Ivana Golla z roku 1920. Wybór nawet szokujący, jeśliby uwzględniać odmienność gatunkową i stylistyczną obu prezentacji. W praktyce nasze teatry studenckie niechętnie sięgają po teksty gotowe, zwłaszcza z repertuaru klasycznego. Najczęściej preferuje się formy teatru otwartego, różnie zresztą rozumiane i egzekwowane, z przewagą chyba tzw. „pisania na scenie", gdzie w procesie realizacyjnym zakłada się pewien element improwizacji. Metoda Francuzów również przewiduje ów element dookreślania w grze aktorskiej warstwy słownej i sytuacyjnej. Z tą jedynie poprawką, iż wtręty improwizacyjne tkwią immanentnie już w poetyce utworów, nie zaś w samej realizacji — na tym polega ta różnica.

Francuzi, posiadając w sporym stopniu ową umiejętność pewnej improwizacji, mogli z powodzeniem sprostać wymaganiom, jakie stawia przed wykonawcami commedia dell'arte czli sztuka sprawności. Narodziła się ona, jak wiadomo, w Italii, skąd została przez włoskich komediantów przeniesiona i rozpowszechniona poza jej granicami, modyfikując się, przede wszystkim chodzi o postacie, w zależności od miejscowego obyczaju, temperamentu, świadomości kulturowej. Nasi goście sięgnęli po wzór włoski, po jego szkielet fabularny, gdyż w takiej jedynie wersji znamy tę komedię. Reszta — duża reszta! — była efektem inwencji i wyobraźni twórczej aktorów. Wystawiając ją teraz, po czterech wiekach od jej powstania, a po dwóch z okładem wiekach od zmierzchu tego teatru, mając tylko niepełne świadectwa, jaką ją grano, cały niebagatelny wysiłek musi iść w kierunku zmysłowej konkretyzacji szczątkowego zapisu tekstu, którym jest kanwa fabularna. Nawiasem mówiąc, tak było zawsze, improwizacja była warunkiem i specyfiką egzystenzji tego teatru. Na dobrą sprawę, nie bardzo już dziś wiemy, jaki np. procent całości odzywek postaci był wyuczony a jaki trzeba było dobywać z siebie, haftując rwącą szybko akcję. Pytałem o to Francuzów. Tak, stosowali improwizację — ja dodam, iż składnie i pomysłowo, nie byle — jak i byle — co. Jak dalece? Jest to niewątpliwie tajemnica zawodowa, komediancka, i ongiś, i teraz.

Na małej scenie „Pstrąga" pokazali kunszt zupełnie przedni, nieczęsto oglądany, i to od pierwszego wejścia, kiedy rozsypali się zgiełkliwym ansamblem ostrokolorowych masek, prezentując się hałaśliwie i buńczucznie, i poprzez wszystkie perypetie niezdarnych umizgów zakochanych staruchów (Doktora i Pantalona), w czym przeszkadzali im po szelmowsku, snując intrygi i płatając ucieszne, acz złośliwe figle ich służący i zausznicy (Arlekin, Zanni i Brighella). Można było smakować w bujnym repertorio prostych z pozoru, przecież niełatwych do pokazania lazzi, którymi odznaczała się commedia dell'arte i olśniewała nimi widzów. Urok tego teatru bierze się z jego jakby bezinteresowności tematycznej, polega na eliminacji tzw. prawdziwych obrazków życia realnego; nie ma tutaj pouczeń i moralistyki, panuje miast tego żywioł spotęgowanej wesołości, czysta i spontaniczna gra. I zabawa. Aktorów i publiczności. Że potrafili ją sobie i nam zgotować, to z pewnością rezultat świetnego posługiwania się słowem, błyskawicznie podawanym i odbieranym, gibkości i elastyczności całego ciała, sugestywnie znakującego ruchem i gestem migotliwą zmienność sytuacji dramatycznej, to i bezsprzecznie efekt temperamentu i wrażliwości na materię, z której buduje się rzeczywistość sceniczną. Mógłbym wyróżnić cały zespół, wymienię A. Pican (Columbina) i P. Conde (Kapitan).

Inny nastrój i — skojarzenia wprowadził „Matuzalem", autora illo tempore cenionego, który zapisał ważną kartę w dziejach dramatu ekspresjonistycznego. Łączyły go również liczne pokrewieństwa z ruchem surrealistycznym, jego teoria dramatu miała wpływ na eksperymenty teatralne lat dwudziestych, a inspiracje zapłodniły doświadczenia znacznie późniejsze. Niemniej na tyle jest Ivan Goll (1891 — 1950), dzisiaj zapoznany, nie tylko u nas, iż daremnie go szukać w polskich opracowaniach, jego biogramu nie znajdziemy np. w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej. Pisał po niemiecku, ale należy i do literatury francuskiej. Jako liryk stworzył postać Jana bez Ziemi, swoistego internacjonała, oznaczonego przez autora imieniem trójjęzycznym. To Johann Ohneland, Jean sans terre, Landless John, Hiob XX wieku, który „umiera z sercem francuskim, mając ducha niemieckiego, żydowską krew i amerykański paszport". Na szersze omówienie tej twórczości nie mamy miejsca — zatem kilka ogólnych zdań komentarza. W szerokim nurcie dramaturgii ekspresjonistycznej, owej specjalite de la maison Niemców, Goll prezentował skrajną orientację estetyczną, wyraźnie oscylującą w stronę groteski, która najczęściej utożsamia się z postawą tragiczną. Okazywał nadto szczególne wyczulenie na problematykę socjopolityczną, z ostrym nastawieniem antymieszczańskim, co może najlepiej przejawia się w tej sztuce, zjadliwym i szyderczym portrecie rodziny burżuazyjnej, która niczym biblijny Matuzalem wciąż się odradza, jest długowieczna, niezniszczalna w swoich biologicznych i moralnych odgałęzieniach. W przedmiocie do tomu „Naddramatów" z roku 1918, pisał: „Poeta musi wiedzieć, że są jeszcze inne światy niż te wyrażane przez pięć zmysłów. Zupełnie zapomniano, iż scena nie jest niczym innym niż szkłem powiększającym. O tym zawsze wiedział wielki dramat: Grek stąpał na koturnach, Szekspir rozmawiał z duchami umarłych olbrzymów. Całkowicie zapomniano, że pierwszym symbolem teatru jest maska. Scena nie może posługiwać się „realnym" życiem, musi być „nadrealna", nadrzeczywista, ponieważ ma świadomość rzeczy istniejących poza rzeczami". Łatwo teraz zrozumieć dążenie Golla do przejaskrawienia i wyolbrzymienia, do groteskowo-karykaturalnej argumentacji. „Sztuka nie jest po to, aby sprawiała przyjemność tłustemu burżujowi, który by potrząsał głową: „Tak, tak jest! A teraz przejdźmy do jadalni". Sztuka, jeśli chce wychowywać, ulepszać, w ogóle oddziaływać, musi w człowieka uderzać, przestraszać go". Dlatego „przedstawiający (aktorzy) muszą nosić nieproporcjonalne maski, by można było za ich pośrednictwem rozpoznać charakter: za wielkie ucho, białe oczy"... Tę myśl rozwinął np. Artaud, który niszczył rzeczywiste proporcje, porządkując je alogicznie i wydobywając z nich dysonanse, ażeby odkryć obcość życia. Jesteśmy zatem u początku teatru okrucieństwa. Nic też dziwnego, iż w „Matuzalemie" zobaczyliśmy skarykaturowany świat, absurdalny i tragikomiczny, groźny w swoim bezwładzie i deformacji. Coś z tej atmosfery chaosu i wyzwania klasycznym pojęciom o rzeczywistości możemy odnaleźć w sztukach Witkacego.

Francuzi ściśle przejęli w kompozycji scenicznej to, co narzucił swoją teorią Goll, przekazywali uczciwie jego credo estetyczne. Okazało się, że posługiwanie się maską czy półmaską, jak w commedia dell'arte, które nb. jest zasadą kreacyjną zespołu z Caen, w obu tych przedstawieniach, wynikało również z akceptacji rygorów strukturalnych obu, chociaż jakże odmiennych konwencji. Trzeba docenić wybór repertuaru, który konsekwentnie poświadcza świadome wypracowywanie własnej — i co tu dużo mówić! — niebanalnej poetyki teatralnej.

A niemniej istotne, że świetnie grali! Środki, którymi błysnęli we włoskiej sztuce, stosowane w „Matuzalemie" w innej zupełnie funkcji, potwierdziły wcale dobry poziom aktorski, może przede wszystkim zmysł do groteski i czarnego dowcipu. Ciekawą jest rzeczą, iż akcja była konsekwentnie rozgrywana na planie koła, co może m. in. oznaczać nieustające powracanie, lokację zdarzeń w takim wymiarze przestrzennym, można by więc odbierać w funkcji metaforycznej. Za to należą się brawa reżyserowi — J. P. Laurent. Podkreślałem już ujawniony w obu przedstawieniach zmysł do zabawy. To bardzo rzadkie, np. w teatrze studenckim czy amatorskim, gdzie obowiązuje powaga sprzymierzona z celebrą — kto się potrafi śmiać na scenie?

W „Matuzalemie" zachwycił mnie Charles Regneaud w roli tytułowej. Ileż witalności i temperamentu, mocy głosu w różnych nasileniach i wysokościach, ile rubasznego komizmu zawarło się w tym młodym człowieku, któremu coś niecoś brakowało do kondycji Herkulesa.

Jeszcze przed eksperymentami Piscatora z filmem, Goll próbował go stosować w swoim teatrze, aby m. in. ukazać senne wizje bohaterów. Jest nawet taka scena w „Matuzalemie", prawdopodobnie z powodów technicznych, nie wykorzystana w tym przedstawieniu. W jednej z wizji, kobieta, z którą przebywa burżuj w séparée, przeistacza się w wiele kobiet, z którymi go coś łączyło. W innej natomiast wizji ożywają zwierzęta, należące poniekąd do umeblowania mieszkania — to jest pies, niedźwiedź z dywanu leżącego pod stołem, papuga, kukułka w ściennym zegarze, łeb jelenia wiszący nad drzwiami — ożywają naraz, aby wszcząć rewolucję przeciw Matuzalemowi. Mieliśmy inny obraz buntu, zgrabnie i pomysłowo na tle muzyki pokazany.

Dobrze się stało, że mieliśmy sposobność obejrzenia tego świetnego zespołu. Że ta sprawność teatralna, mówiąc najogólniej, wymaga rzetelnej pracy, żmudnych ćwiczeń ruchowych i gestycznych, niemałej wprawy w posługiwaniu się maską czy doskonalenia mowy scenicznej — takie to oczywiste. Sądzę, że ta konfrontacja winna była coś podszepnąć naszym studentom, próbującym swoich sił w trudnej sztuce teatru. Nie ulega też wątpliwości, że umiejętności te kwalifikują zespół francuski powyżej poziomu wielu teatrów studenckich, zwłaszcza z kręgu tzw. teatru otwartego. Jeśli o mnie chodzi — wolę jednak teatr zamknięty.

sport

SPORTY MAJOWE

Maj wprawdzie kojarzy się nam z kulturą, bo to przecież majowe Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy, ale obok wielu różnych imprez kulturalnych kibice mają do wyboru sporo ciekawych imprez sportowych. Najciekawsza — „Mundial 78" zbliża się szybkimi krokami, ale nim zasiądziemy przed telewizorami, aby zobaczyć, jak nasi grają, możemy oglądać młodzież piłkarską oraz kolarską. Tę ostatnią możemy oglądać nadal, bo Wyścig Pokoju trwa, natomiast juniorzy zakończyli już turniej UEFA, zwany też nieoficjalnymi mistrzostwami Europy juniorów.

Zwyciężyli piłkarze Związku Radzieckiego. Byli rzeczywiście drużyną dojrzałą, czego nie można powiedzieć o polskich juniorach. Oczywiście możemy się cieszyć, że zdobyli oni po raz trzeci medal i znaleźli się tym samym trzeci raz wśród trójki najlepszych zespołów juniorów w Europie, ale oglądając turniej UEFA przed „Mundialem 78" oczekiwaliśmy czegoś więcej. Oczekiwaliśmy zapowiedzi gry seniorów w Argentynie. Interesowało nas to, czy młodzi pozbyli się błędów starszych, czy potrafią pokazać, że szykuje się godny następca i jeśli naszym nie powiedzie się w Argentynie, to oni pokażą przynajmniej w Moskwie, jeśli już nie w mistrzostwach Europy.

Niestety, nasi juniorzy grali nierówno. Patrząc chwilami na ich poczynania pod bramką przeciwnika miało się wrażenie, że to grają ich starsi koledzy, którzy też czasami usiłują siłą wepchnąć piłkę do bramki. Obrona przeciwnika była dla nich formacją, której nie można było pokonać, z którą nie można było sobie poradzić. A przecież dobra drużyna musi umieć znaleźć wyjście z każdej sytuacji. Tego naszym juniorom brakowało. Tego brakuje niekiedy i naszym seniorom. I to martwi kibiców.

Wniosek z turnieju UEFA jest chyba oczywisty. Niezależnie od tego, co stanie się w Argentynie, trzeba pracować nad umiejętnościami gry juniorów tworzyć zespół, który będzie nas mógł reprezentować w mistrzostwach Europy i później na Olimpiadzie w Moskwie. Trzeba usilnie starać się o usuwanie braków i błędów w grze młodych piłkarzy, tym bardziej, że są to braki i błędy, od których nie wolni są ich starsi koledzy. A tu zbliża się ich czas. W Radomiu wprawdzie pokonali Chemie Halle dość wysoko, bo 5:1, ale był to przeciwnik, który — jak donieśli sprawozdawcy PAP — nie wykazywał „chęci do gry".

XXXI Wyścig Pokoju opuścił już terytorium NRD. Jedna trzecia trasy już poza kolarzami. Jak na tej jednej trzeciej trasy sprawowali się polscy kolarze, wśród których jest 4 debiutantów? Przypomnę wyniki. Indywidualnie po 4 etapach prowadził S. Schmeisser z NRD, najlepszy Polak — Cz. Lang był na 10 pozycji. Stanisław Szozda na 43. Drużynowo po 4 etapach prowadził Związek Radziecki, a Polska zajmowała 4 miejsce. Polscy kolarze i ich trenerzy zapowiadają wprawdzie, że dalej będzie lepiej, ale wielkich podstaw dla optymizmu raczej nie ma. Pewnie znów nie odegramy w tym wyścigu większej roli. Stanisław Szozda przepojony ogromną chęcią walki być może wygra jeden czy dwa etapy, a życzymy mu wszyscy więcej, ale o pozycji lidera nie ma co już marzyć.

Stanisław Szozda, kiedy nie brał udziału w Wyścigu Pokoju i zabawiał się obok Tomasza Hopfera w komentatora telewizyjnego, powiedział rzecz znamienną. Powiedział on o różnicy, jaką występuje między doświadczonymi kolarzami, którzy doświadczenie to zdobyli w wielu różnych wyścigach, a umiejętnościami młodych. I powiedział, że trzeba będzie poczekać kilka lat, aby młodzi mogli dorównać poziomem doświadczenia starszym, bo to po prostu przychodzi wraz z przejechanymi na rowerze kilometrami. I chyba miał rację. Zresztą teraz wypowiedział się podobnie, mówiąc o zespole, że jest dobry, ale brakuje mu doświadczenia.

Można byłoby mieć pretensje do trenerów kolarzy, że nie wzięli do ekipy na XXXI WP wypróbowanych już zawodników, bo tacy przecież są. Ale wtedy przepaść między tymi doświadczonymi, a kolarską młodzieżą tylko by się pogłębiła. Ci młodzi też muszą gdzieś zaczynać i próbować swych sił. W końcu stało się dobrze, że mogliśmy zobaczyć jak wygląda przyszłość naszego kolarstwa. I tu potwierdza się zasada, że zbytnio eksploatując dobrych zawodników nie myśli się o ich następcach. Dlatego po latach tłustych muszą przychodzić lata chude. Ale czy rzeczywiście muszą? Czy nie ma sposobu żeby tego uniknąć?

B.M.

BOGDA MADEJ
ZIUNA

W kierowaniu zespołem ludzi obowiązują pewne zasady ogólne, ale też do każdego zespołu trzeba podchodzić inaczej. Tym bardziej do zespołu składającego się z samych dziewcząt. W dodatku do zespołu, który podlega prawom rotacji. Starsze zawodniczki odchodzą, kończą karierę sportową, trzeba na ich miejsce wprowadzać młodsze. Stale dzieje się coś nowego, nie można ciągle stosować takich samych schematów postępowania. W każdym niemal wypadku trzeba szukać indywidualnego podejścia.

Szkoliłem trzy generacje dziewcząt. Kiedy w 1950 roku zastąpiłem Andrzeja Kuleszę, miałem wtedy do czynienia z dziewczętami urodzonymi przed wojną. Niektóre z nich zaczęły grać jeszcze przed wojną, lub zaraz po wojnie. Wychowywały się one w bardzo różnych warunkach i w ciężkich czasach. Miało to wpływ na ich postawę, charakter, ambicję.

W Łodzi jestem od 1946 roku, w ŁKS — od 1949. Koszykówka w Łódzkim Klubie Sportowym zajmował się wtedy Andrzej Kulesza. W 1950 roku zaproponował mi, abym zastąpił go w zajęciach z dziewczętami. Andrzej Kulesza trenował jednocześnie i mężczyzn i kobiety. Powiedział mi, że trochę niedomaga ze zdrowiem i nie da rady ciągnąć oba zespoły, więc żebym mu pomógł, a jak wydobrzeje, to wróci do trenowania dziewcząt.

Zgodziłem się. Miałem wtedy 30 lat. Należałem do kadry narodowej. W 1948 roku zaliczono mnie do kadry olimpijskiej. Ale zastępować trenera, to było coś nowego. Przyznam się, że nie mieliśmy wówczas wiary w zespołową grę kobiet. Mówię: my, bo rozmawialiśmy często w drużynie na ten temat i poglądy były zgodne. Dawaliśmy dziewczętom szansę jako lekkoatletkom, bo tu ujawniały się ich indywidualne zdolności ale w grach zespołowych? Co do tego nie mieliśmy wątpliwości.

W 1937 roku nasza drużyna gimnazjalna, po zdobyciu mistrzostwa Wilna, wzięła udział w mistrzostwach Polski koszykówki, które wtedy rozgrywano w Pabianicach. Zajęliśmy tam drugie miejsce, po drużynie KPW Poznań, w której było aż 6 zawodników Olimpiady w Berlinie z 1936 roku. Był to dla nas ważny moment, gdyż wiele skorzystaliśmy z kontaktu z najlepszymi koszykarzami Polski. Odtąd staliśmy się gorącymi propagatorami koszykówki w Wilnie.

Wojna przerwała nasze plany. Mogliśmy wprawdzie grać w zespołach litewskich, ale też tylko do czerwca 1941 roku. Ten kontakt z litewskimi korzykarzami wiele nas nauczył.

Po wojnie wróciliśmy do kraju. Ja — jak już wspominałem — znalazłem się w Łodzi. Część naszych kolegów z Wilna zebrała się w Gdańsku i tam próbowała grać w koszykówkę, a część — wśród której i ja byłem — spotkała się w Łodzi i tu zaczęliśmy grać w YMCA.

Dlaczego więc zgodziłem się? Może dlatego, że to było tylko zastępstwo. Nic trwałego. Może i dlatego, że ta propozycja mi pochlebiała. Nie bez znaczenia był fakt, że w żeńskiej drużynie grała Krystyna, która mi się podobała, ja jej się podobałem, no i teraz jest moją żoną. I tak przypadkowo wybrałem sobie drugi zawód — trenera koszykówki.

JAK POSTĘPOWAĆ Z KOBIETAMI?

— Na początku wszystko wydawało się proste. W koszykówkę umiałem grać. Myślałem, że wystarczy nauczyć tego dziewczęta. Ale praktyka pokazała, ile prawdy jest w przysłowiu: „Im dalej w las, tym więcej drzew". Im dłużej zajmowałem się dziewczętami, tym więcej wyłaniało się problemów, sprawa komplikowała się.

Dzisiaj trener wychodzi ze studiów z całym balastem specjalistycznej wiedzy, którą musi umieć, posługiwać się, uczynić z niej swój warsztat, styl, swoją szkołę. Myśmy dawniej musieli do tego dochodzić sami. Popełnialiśmy więcej błędów. Mężczyznę na przykład można obrugać, gdy opuszcza się w treningach, gubi formę. Próbowałem krzyczeć na dziewczęta i klapa. Zrozumiałem wtedy, że z dziewczętami trzeba inaczej. Trzeba w inny sposób szukać dróg do ich ambicji, inaczej budzić zapał, trafiać do świadomości.

Kiedy zaczynałem trenować dziewczęta, grały one nie tylko w koszykówkę, ale i w siatkówkę. Było to wówczas możliwe. Dziś nie, bo dziś trening jest tak intensywny, że zmusza do wyboru jednej tylko sportowej dyscypliny. Oddzielnie trenuje się poszczególne elementy gry. Zawodniczka musi wyrobić w sobie wytrzymałość, szybkość. Trening zajmuje jej dużo czasu. A poza tym dziewczęta uczą się, nie zawsze mają czas na trening o jednej porze. To wszystko niebywale komplikuje pracę trenera.

Trzeba było zrozumieć specyfikę zespołu, poznać charakter każdej z zawodniczek. Trzeba było nieustannie poszerzać wiedzę teoretyczną. Przy pomocy kolegów wyjeżdżających za granicę sprowadzałem książki o koszykówce. Sporo pisali o tym Amerykanie i Francuzi. Konfrontowałem praktykę z teorią. Wyciągałem wnioski z własnego postępowania. Gromadziłem doświadczenia. Trenerskie zajęcia wciągały mnie coraz bardziej.

W pewnym momencie doszedłem do wniosku, że zupełnie niepostrzeżenie niektóre doświadczenia z pracy zawodowej przenoszę do działalności w sporcie, a sportowe do pracy zawodowej. Kiedy zostałem szefem zespołu, podlegli mi pracownicy byli przyzwyczajeni do spóźniania się. Próbowałem apelować do ich poczucia obowiązkowości. Nie na wiele to się zdało. Wtedy przypomniałem sobie, że trener musi być zawsze na posterunku, w dobrym humorze, w dobrej kondycji. Postanowiłem zatem przychodzić do pracy przed wszystkimi. Skoro zaczynamy pracę o ósmej, to ja jestem o 7,45. Przychodzą i patrzą, że kierownik jest już na miejscu. Głupio jakoś. To on może przyjść wcześniej, a ja nie? Ludzie zaczęli się podciągać.

Później przyszło pokolenie urodzone w czasie wojny lub krótko po wojnie. Dziewczęta te nie miały najlepszych warunków rozwoju, odbiło się to na ich budowie. Były filigranowe, kruche, ale pełne zapału i ambicji.

Teraz mamy dziewczęta pięknie zbudowane, zdrowe. Bez najmniejszego trudu możemy wystawić zespół wysokich, zdrowych dziewuch, które trzeba tylko odpowiednio przygotować, nauczyć techniki, wyrobić w nich wytrzymałość, wolę zwyciężania.

Warunki domowe mają ogromne znaczenie, ale zadaniem trenera jest nie tylko szkolić, uczyć techniki, wyrabiać wytrzymałość. Musi on też być wychowawcą.

„JANEK"

— Kiedy dziewczyna przychodzi do zespołu, bierzemy wszyscy za nią odpowiedzialność. Nie wolno nam pozwolić, aby nie znalazła swego miejsca w życiu.

Była kiedyś u nas zawodniczka, którą nazwaliśmy „Janek". Z chłopakami grała w piłkę nożną, była odważna. Pochodziła z Domu Dziecka. Dziewczyny przychodziły na treningi elegancko ubrane, miały szykowne sukienki, sweterki, i elegancką bieliznę. Ona nie miała, bo ją nie było na to stać. Wstydziła się. Przychodziła później, kiedy już inne były na sali. I dziewczyny same tę sprawę załatwiły. Przy różnych okazjach dawały jej prezenty, tak że wkrótce miała wszystko równie eleganckie jak one. I nie było problemu.

„Janek" skończyła technikum. Wyszła za mąż. Kiedyś przyszła do mnie i powiedziała, że pragnie przejść do innego klubu, bo jej tam proponują miejsce w zespole siatkarek. Zgodziłem się bez trudności. W końcu, czy to jest ważne, że będzie grała w tym czy innym klubie w koszykówkę czy w siatkówkę? Ważne jest to, że sport ją czegoś nauczył, że sport pozwolił jej wystartować, znaleźć swoje miejsce w życiu.

Wychodzę z założenia, że dziewczyny muszą skończyć szkołę, zdać maturę. I w tym trzeba im pomóc. Ma któraś trudności z fizyki — powiedzmy — to klub da jej pomoc, załatwi korepetycje. Trzeba być w kontakcie ze szkołą, z rodzicami. Trzeba wiedzieć wszystko o zawodniczkach.

W czasie mojej pracy cztery zawodniczki wyszły za mąż i z przykrością muszę powiedzieć, że nie były to szczęśliwe małżeństwa. Wszystkie cztery rozwiodły się.

Sezon w koszykówce trwa wtedy, kiedy jest karnawał. Dziewczęta szaleją na balach, chodzą na prywatki, a moje zawodniczki spędzają czas na treningu, wyjeżdżają na mecze. Inne poznają chłopców na szkolnych zabawach, prywatkach, a „moje" dziewczyny poznają chłopców w klubach, na boiskach, w halach. Są to przeważnie sportowcy. Nie zawsze takie małżeństwa udają się, choć na swoje nie mogę narzekać. Ale trener musi i takimi sprawami interesować się, wiedzieć o nich. Musi mieć zaufanie dziewcząt, ale nie może go nadużyć.

Bywało tak, że proszono mnie na chrzestnego ojca dzieci moich zawodniczek. Chodziłem na oblewanie mieszkania. Byłem powiernikiem. Ale trener nie może tylko słuchać. Musi myśleć, analizować, decydować. Dziewczyna kończy maturę. I co dalej? Trzeba jej coś powiedzieć, pomóc, pokierować nią. Nie zawsze zrobią to rodzice. Czasami rodziców zastąpić musi trener. Czasem trzeba dziewczynę urządzić w życiu. Miałem już i takie przypadki, kiedy dziewczyna przychodziła i mówiła:

— Kończę sportową karierę i chcę pana prosić o pomoc, żeby pan pomógł mi znaleźć pracę.

I pomagałem.

Uważam jednak, że dziewczyny uprawiające sport najpierw muszą myśleć o nauce, o zdobyciu zawodu, a później o małżeństwie. Ale to, co ja uważam, choćbym nawet nie wiem ile miał racji, to jedno, a życie — to drugie. Staram się tłumaczyć i przekonywać dziewczyny, że małżeństwo przeszkadza w nauce. Nauka, treningi, mecze, treningi, nauka — jest to wystarczająco dużo zajęć. Ale nie każda to zrozumie. Co robić? Takie jest życie.

KOSZYKÓWKA

— Każdy dobrze wie, że dziewczęta są różne. Nie odkrywam Ameryki. Dla trenera jednak ten banał jest bardzo istotny. Musi on o nim bez przerwy pamiętać, bo z tego wynika konieczność odpowiedniego dobierania kandydatek do drużyny. Jedna jest na przykład spokojna, druga nieśmiała, trzecia odważna — i dla każdej trzeba znaleźć miejsce, zgrać ją z partnerkami, wyznaczyć odpowiednią rolę w zespole, biorąc pod uwagę jej psychiczne predyspozycje.

Powiadam często, że koszykówka jest sportem dla ludzi nerwowych i to wywołuje zdziwienie. Dlaczego? Przecież nerwowość w sporcie przeszkadza. Gra powinna być spokojna, przemyślana, dobrze przygotowana. To wszystko prawda, ale będę upierał się, że koszykówka jest sportem dla ludzi nerwowych. A powiem nawet więcej — dla ludzi bezczelnych. Tylko to trzeba właściwie rozumieć.

Nikt z nas nie lubi iść ulicą w tłoku i być nieustannie potrącany. Człowiek się wtedy denerwuje i chętnie zrobiłby komuś krzywdę. Coś takiego jest w koszykówce. Oczywiście, nie chodzi o to, aby partnerce z przeciwnej drużyny zrobić krzywdę, ale o wprowadzenie się w ten stan zdenerwowania, z którego może wyniknąć chęć odegrania się na przeciwniku, chęć wykazania nad nim przewagi. Dziewczyna grająca w koszykówkę też jest ciągle potrącana, popychana, atakowana. Ona nie może się bać kontaktu z przeciwniczką, ona sama musi dążyć do takiego kontaktu. To właśnie nazywam bezczelnością.

Doskonale wiem, że zdarzają się na boisku różne scysje, któraś którejś powie coś przykrego, odezwie się nietaktownie. Ale kończy się mecz, dziewczęta podają sobie ręce i kończą się nieporozumienia. Poza boiskiem wszystkie powinny być grzeczne, kulturalne. I tak też się dzieje. Ale na boisku sprawa wygląda inaczej. Tutaj musi dojść do eksplozji energii i siły.

Tworzenie zespołu to nie tylko wykorzystywanie predyspozycji psychicznych i fizycznych koszykarek, nie tylko uczenie ich techniki gry, wyrabianie szybkości, odwagi i tak dalej, ale to również stała wymiana zawodniczek. Niektóre grają w zespole po 6, 7 lat, inne krócej, inne dłużej, ale rotacja jest nieunikniona. Tworząc jakikolwiek zespół sportowy, trzeba z góry zakładać konieczność rotacji, z góry zakładać konieczność wprowadzania do tego zespołu ludzi młodych. Z mojej praktyki wynika, że lepiej jest wprowadzać dziewczęta do zespołu w grupie po 4 czy 5, wtedy one się łatwiej adaptują. Próbowałem kiedyś wprowadzać po jednej młodej, ale często kończyło się to niepowodzeniem, gdyż zespół nowej nie aprobował i trzeba było szukać innego rozwiązania. Wtedy właśnie zacząłem wprowadzać po kilka młodszych dziewczyn i to szło znacznie lepiej. To nie znaczy, że starsze zawodniczki, zgrane ze sobą, nie robiły trudności młodszym. Zawsze nowych traktuje się z nieufnością. Ale grupa młodszych zawodniczek czuła się silniejsza, nie były osamotnione, było im łatwiej nawiązać ze mną współpracę, bo rozumiały, że od tego zależy ich dalszy los w zespole.

JAK ZOSTAŁEM KOSZYKARZEM?

— Pochodzę z Wilna. W Wilnie chodziłem do Gimnazjum im. króla Zygmunta Augusta. W tym gimnazjum było dwóch profesorów, którzy bardzo troszczyli się o wysoki poziom wychowania fizycznego. Byli to profesorowie — Lisowski i Korta. Starali się oni gromadzić w naszym gimnazjum młodzież chętną do uprawiania sportu i w tej dziedzinie uzdolnioną. Utrzymywali kontakt z nauczycielami wychowania fizycznego w szkołach powszechnych, a ci z kolei zachęcali chłopców posiadających odpowiednie warunki fizyczne i sportowe zamiłowania do dalszej nauki w naszym gimnazjum. Kiedy już młody człowiek został gimnazjalistą, obaj profesorowie określali, jaką dyscypliną sportową powinien się zajmować. Na pierwszym miejscu w naszej szkole postawione były gry sportowe: siatkówka, koszykówka, piłka ręczna, piłka nożna. I rzeczywiście, z naszego gimnazjum wyszło wielu wybitnych sportowców, między innymi i reprezentantów Polski w różnych dyscyplinach. Mnie obaj profesorowie „oddelegowali" do gry w koszykówkę.

W 1938 roku zorganizowano na Litwie Lituaniadę. Brali w niej udział sportowcy pochodzenia litewskiego, bez względu na obywatelstwo, jakie aktualnie posiadali. Przyjechało na tę Lituaniadę pięciu litewskich Amerykanów, doskonale grających w koszykówkę. Po całej imprezie zostali na Litwie i tu ich zastała wojna. Grali później w Wilnie, gdzie mieliśmy okazję zetknąć się z nimi i wiele się od nich nauczyć. Pokazali nam koszykówkę w wydaniu amerykańskim. Nauczyli taktyki, stosowania różnych technicznych zagrywek. Bardzo nam przydała się ta szkoła. Ale rok 1941 przerwał nasze zainteresowania koszykówką i rozrzucił nas po całym świecie.

Miałem wtedy 26 lat. Moi koledzy mniej więcej tyle samo. Dla sportowca to już właściwie koniec kariery ale po wojnie na takie rzeczy nie zwracano uwagi, każdy chciał grać, chciał nadrobić stracony czas. Stworzono nam dobre warunki. Zdobyliśmy mistrzostwo Polski, a później wicemistrzostwo, a po rozwiązaniu YMCA przeszliśmy do Włókniarza i później do ŁKS, który też w tym czasie należał do federacji Włókniarza. A później — jak już mówiłem — zupełnie przez przypadek zostałem trenerem.

DLACZEGO ZIUNA?

— Dlaczego mówią na mnie Ziuna? Tak to się utarło. Nazywam się **Józef Żyliński**. Dawniej — jeszcze w szkole — mówiono na mnie Żyła, że niby Żyliński to od żyły, ale to się jakoś nie przyjęło. Wśród młodzieży często używa się różnych przezwisk, które nie wiadomo skąd się biorą i dlaczego. Mnie już w 4 klasie szkoły powszechnej nazywano Ziuna i tak zostało po dzień dzisiejszy. Wołano tak na mnie w szkole, wołano w czasie wojny. Dziś nawet mniej znajomi pytają w pracy nie o inżyniera Józefa Żylińskiego, a o Ziunę. W klubie też tak na mnie mówią. Czy jest w tym coś złego? Sam się do tego przyzwyczaiłem. Jak Ziuna to Ziuna. Niech już tak będzie. Niech mówią jak chcą, byle słuchali, bo to znaczy, że mam coś do powiedzenia, coś, z czym inni się liczą. A to liczy się i dla mnie.

Fragment książki pt. „Stadion pełen wspomnień" przygotowywanej dla Wydawnictwa Łódzkiego.

ZAMACH STANU AUTORA „PSÓW WOJNY"

Kiedy w 1974 roku wydana została trzecia kolejna powieść angielskiego dziennikarza i pisarza Fryderyka Forsytha — „Psy wojny", wydawca sugerował, że powstała ona jako owoc obserwacji i doświadczeń wyniesionych podczas wojny domowej w Nigerii, dokąd Forsyth był wysłany w charakterze reportera BBC. Sam autor, zapytywany niejednokrotnie o źródła inspiracji swej książki, zachowywał milczenie. W wyjawieniu tajemnicy pomógł przypadek.

We wschodniej dzielnicy Londynu mieszkał od jakiegoś czasu nikomu nie znany kierowca samochodowy, Alan Murphy. Dzieci bawiące się na podwórzu zauważyły, że ma on kolekcję różnego rodzaju broni. Dowiedziała się o tym policja i postanowiła sprawdzić, czy właściciel posiada na nią pozwolenie. Kiedy zadzwonili do drzwi, Murphy bez uprzedzenia zaczął strzelać, raniąc jednego policjanta. Po kilku godzinach wtargnięto do jego mieszkania, ale właściciel zdążył sobie odebrać życie. W pokoju znaleziono nie tylko skład broni i amunicji, lecz także pamiętnik, w którym Murphy opisał dosyć szczegółowo udział w nieudanym zamachu stanu na prezydenta Gwinei Równikowej, Maciasa Nguyema, finansowanym i organizowanym przez F. Forsytha. Z pamiętników Murphy'ego i relacji innych najemników, do których dotarła brytyjska policja, wynika, że opowieść F rsytha jest tylko lekko zbeletryzowaną wersją nieudanej operacji z lat 1972—1973.

Plan operacji powstał w 1970 roku, kiedy Forsyth powrócił z Nigerii i postanowił przyjść z pomocą secesjonistom z Biafry i zdobyć dla nich nową ojczyznę. Wybór padł na Gwineę Równikową, nieduże państewko w Afryce Zachodniej rządzone przez prezydenta Maciasa Nguyema z jego siedzibą na wyspie Fernando Poo. Głównym powiernikiem i doradcą Forsytha był najemnik w wielu wojnach afrykańskich, Aleksander R. Gay, którego pisarz spotkał w Nigerii.

Gwinea Równikowa jako cel ataku była najodpowiedniejsza z wielu względów. Prezydent Nguyema, rządzący w sposób autokratyczny małym państewkiem przy pomocy wojska, nie cieszył się sympatią ludności. Swych politycznych oponentów trzymał w więzieniu lub pozbył się ich mordując bądź deportując z kraju. Ponadto w Fernando Poo, leżącym zaledwie ok. 150 km od brzegów Nigerii, znajdowało się wielu Biafrańczyków pracujących w miejscowych zakładach. Można było więc liczyć na ich pomoc. Jedyną przeszkodą był brak pieniędzy. Kiedy jednak opublikowany w 1972 roku „Dzień szakala" uczynił z Forsytha autora nie tylko znanego, ale i bogatego, i ten problem został rozwiązany. Pisarz przeznaczył część honorarium na zakup broni i opłacenie najemników. Wszystkim zajmuje się Gay. Po dokładnym spenetrowaniu wyspy dochodzi do wniosku, że 12 zdecydowanych na wszystko doświadczonych najemników i 40—50 byłych żołnierzy biafrańskich wystarczy, aby opanować wyspę i zaaresztować prezydenta. Co do poparcia ludności, nie miał wątpliwości. Zaczęły się przygotowania. Nowoczesną broń zakupiono przy pomocy nielegalnych pośredników i fałszywych paszportów. Najemników Gay dobrał spośród osób dobrze sobie znanych z udziału w wojnie w Kongo i Nigerii; znalazł się wśród nich także Murphy. Każdy z nich otrzymywał miesięcznie 1200 dolarów. Statek do przewiezienia broni i ludzi wynajęto pod fałszywym nazwiskiem od hiszpańskiego armatora i nazwano „Albatrosem".

Plan opracowany przez Gaya i Forsytha był prosty. „Albatros" po odebraniu broni na Maladze miał zawinąć do Gibraltaru po resztę ekwipunku, w dahomejskim porcie Cotonu mieli wsiąść na pokład żołnierze biafrańscy. Atak na pałac prezydencki miał nastąpić w nocy z trzech punktów. Przygotowany był też zawczasu komunikat prasowy zawiadamiający, iż prezydent Francisco Macias zginął w czasie strzelaniny. Po zwycięstwie każdy z żołnierzy biorących udział w akcji miał otrzymać dodatkowo 30 tys. dolarów pod warunkiem jednakże, że do końca będzie się zachowywał „fair", to znaczy nie dopuści się grabieży ani gwałtów wobec ludności.

Pierwsza porażka spotkała zamachowców w Maladze. Pośrednicy nie dostarczyli broni. Podczas, gdy „Albatros" wraz z najemnikami na pokładzie odpłynął na Wyspy Kanaryjskie by tam czekać na dalsze instrukcje, Gay rozpoczął gorączkowe starania o zdobycie broni. Ale pośrednicy wyczuwając niebezpieczny interes, odmawiali pomocy. Wreszcie Gay i Forsyth doszli do wniosku, że nie ma innego wyjścia, trzeba operację na jakiś czas odłożyć. Tymczasem hiszpańska policja zatrzymała załogę „Albatrosa". Gay wrócił do Madrytu, by zatuszować całą sprawę. Po krótkich przesłuchaniach zwolniono wszystkich i odstawiono do domu.

Egipt osiągnął taki stopień ekonomicznej degradacji, że już wszystkie warstwy społeczeństwa zrozumiały, iż takiej sytuacji dłużej przeciągać nie można. Nawet ci, którzy w warunkach powszechnej nędzy odczuwają radość bogaczy widząc jak rosną ich konta bankowe, muszą dziś zadać sobie pytanie, czy aby nie żyją na wulkanie...

EGIPT

ŻYCIE NA KREDYT

W kraju panuje na pozór spokój. Wydaje się, iż tradycyjna egipska cierpliwość godzi się na wszystko — i na beznadziejną nędzę, i na bezrobocie, i na inflację sięgającą 30 proc. rocznie, i na oburzający luksus życia nowobogackich, i wreszcie na to, iż w niebezpieczeństwie znalazły się zdobycze czasów Nassera. Dziś wszystkim wiadomo, iż jedną z głównych przyczyn kryzysu ekonomicznego w Egipcie są fantastyczne zyski i prowizje, które ciągną z przeróżnych kombinacji handlowych rodziny elity władzy. W wielu wpływowych kołach w Kairze mówi się szeptem, że nie utrzyma się reżim Sadata, jeśli jego świta i powiernicy będą nadal różnymi sposobami wysysać lwią część środków państwowych i prywatnych. Kiedy w Egipcie zaczyna się mówić o realizacji jakichkolwiek projektów rządowych, to wskazuje się palcem na „rządzącą rodzinę". Wystarczy nawet pobieżnie spojrzeć na działalność „pani Dżi" (Dżichan — żona prezydenta Sadata), żeby zrozumieć jak żyją i poczynają sobie przedstawiciele egipskiej elity władzy w cieniu „polityki ekonomicznej liberalizacji". Wspomniana „pani Dżi" posiada gruby pakiet akcji „kompanii usług morskich", która obsługuje wszystkie bez wyjątku statki przepływające przez Kanał Sueski. Jest także akcjonariuszem kompanii importowej „Molitetrad", której dyrekcja znajduje się w Luksemburgu. Na konta tej kompanii wpływają wszystkie prowizje z importowanej do Egiptu pszenicy. Nawet sektor państwowy nie decyduje się na samodzielny import, a korzysta z usług tej potężnej prywatnej kompanii, chociaż teoretycznie ustawy stwarzają sektorowi państwowemu absolutny priorytet w imporcie. „Pani Dżi" jest jednocześnie akcjonariuszem Izmailskiej Kompanii Transportowej mającej monopol na wewnętrzny transport lądowy i wodny w całym kraju. I w tym wypadku państwowy sektor jest podporządkowany prywatnemu.

Nawet Amerykanie uważają, iż korupcja w Egipcie przybrała takie rozmiary, że nie wytrzyma tego nawet przysłowiowa egipska cierpliwość. Zagraniczne firmy wiedzą już, że każdy projekt w Egipcie można zrealizować tylko za pośrednictwem kontaktów z zainteresowaną nim rodziną i po wypłaceniu ogromnych prowizji, co już z góry przekreśla jego efektywność i korzyści. Korupcja ogarniająca wszystkie sfery gospodarki oraz ogromne prowizje „za usługi" doprowadziły już do utraty wiary, że elita rządząca, składająca się w większości z maklerów i ludzi żerujących na nielegalnych interesach, jest zdolna do wydźwignięcia kraju z tego ekonomicznego upadku i powszechnego chaosu. W kołach dobrze poinformowanych mówi się, że Amerykanie zaczęli się wahać w angażowaniu się nawet w sferę zamierzeń związanych z biznesem turystycznym oraz finansowymi i maklerskimi kompaniami, nie mówiąc już nawet o projektach w zakresie produkcji. Brak zaufania jest głównym czynnikiem warunkującym ich pozycję w działaniu wobec reżimu Sadata.

W nadziei ożywienia zastygłej ekonomiki Egiptu Sadat otworzył szeroko wrota zagranicznym inwestycjom. Obecnie usiłuje pokazać, że jest zadowolony z ekonomicznej sytuacji kraju i powołuje się na tempo wzrostu ekonomicznego, który w 1977 roku osiągnął oszałamiający poziom 9 procent. Jednakże ów „cud Sadata nad Nilem" odbył się tylko dzięki pomocy bogatych krajów arabskich, głównie Arabii Saudyjskiej, Kuwejtu i Zjednoczonych Emiratów Arabskich, jak również Międzynarodowego Banku Rekonstrukcji i Rozwoju, który zwołał w maju 1977 roku w Paryżu spotkanie arabskich wierzycieli Egiptu. W konsekwencji Egipt otrzymał 4 miliardy dolarów na uzdrowienie swego bilansu płatniczego i przeniesienie ciężaru krótkoterminowych długów nad długoterminowe. W ten sposób mógł się Sadat wywiązać z palących zobowiązań kredytowych i utrzymać wypłacalność kraju. Ten spektakularny manewr nie oszukał oczywiście wierzycieli Egiptu, a amerykańscy biznesmeni, przebywający od pewnego czasu w Egipcie, nie wierzą ani przez moment, żeby Sadat mógł utrzymać wypłacalność Egiptu na dłuższą metę.

W rzeczywistości sytuacja ekonomiczna Egiptu już w ubiegłym roku była bardziej niż krytyczna. W 1976 roku kraj przeżył najcięższy kryzys walutowy, jego wewnętrzny dług osiągnął 12,2 miliarda dolarów, tj. blisko 10-krotną wartość eksportu towarowego. Zapotrzebowanie Egiptu na obcą walutę w latach 1977—80 osiągnie sumę 13 miliardów dolarów i na razie nie wiadomo, skąd rząd weźmie te pieniądze. Planuje się, iż w ciągu najbliższych trzech lat bilans płatniczy będzie miał średni roczny deficyt w wysokości około 3 miliardów dolarów. A przecież wydawałoby się, że kraj dysponuje znacznym potencjałem ekonomicznym. Ma naftę — w ub. roku wydobyto 21 milionów ton ropy naftowej, która przyniosła 330 milionów dolarów czystego dochodu, także dochody z Kanału Sueskiego wyniosły około 500 milionów dolarów, nabiera rozmachu przemysł turystyczny.

W ciągu ostatnich trzech lat Sadat ze wszystkich sił starał się przekształcić ekonomiczną strukturę kraju i jak najbardziej przybliżyć ją do zachodniej formy kapitalizmu. Polityka „otwartych drzwi" jest od 1974 roku oficjalną doktryną rządu. Nie przyniosła ona jednak obiecanego cudu na wzór japoński. Otworzyła wprawdzie drzwi przed zagranicznymi kapitałami — zachodnim i arabskim — ale przede wszystkim stworzyła grunt dla szybkiego bogacenia się różnego rodzaju kombinatorów i spekulantów, stworzyła warunki dla przestępstw służbowych oraz niesłychanej korupcji na wszystkich szczeblach — od samego dołu aż po koła najbardziej eksponowane. Zbliżona do rządu gazeta „Al-Ahram" konstatuje m. in., iż większość kontraktów zawiera się za pośrednictwem „kół handlowych posiadających mnóstwo byłych urzędników wysokich stopni (dwóch byłych premierów, 22 byłych ministrów, dziesiątki szefów kompanii państwowych, wiceministrów itp.), reprezentujących jednocześnie wielkie międzynarodowe kompanie w Egipcie" Ta niepomiernie wzbogacona burżuazja, nie tworzy żadnych bogactw, ani jednego nowego miejsca pracy, nie buduje fabryk, lecz luksusowe apartamenty, które oddaje w dzierżawę po bajońskich cenach magnatom naftowym przyjeżdżającym odpocząć w Egipcie. Nawet najwięksi dygnitarze rządowi z otoczenia Sadata zainwestowali setki milionów dolarów w luksusowe domy i pałace.

W warunkach postępującej nędzy i głodu w kraju, korupcji w kołach elity władzy i rosnącej niewiary w perspektywy ustanowienia trwałego pokoju, wpływowe koła zachodnie zaczynają dochodzić do wniosku, iż naród egipski stanie wkrótce przed wyborem: albo siły lewicowe, albo konserwatywne nurty religijne, które z różnych powodów występują przeciwko Sadatowi, albo wreszcie wojskowi. Sadat z kolei, zasiadając do rozmów z Izraelem (w Izraelu wielu działaczy politycznych sądzi, iż Sadat wyszedł z inicjatywą pokojową wobec Izraela przede wszystkim pod presją trudności ekonomicznych), liczył na bezwarunkowe poparcie i opiekę Stanów Zjednoczonych, ale spotkało go rozczarowanie: stosunki między Izraelem i USA są tak bliskie i tak trwałe, a przy tym wynikają z obopólnych celów na Bliskim Wschodzie, iż Waszyngton nie zdecydował się na naruszenie tej równowagi na korzyść Egiptu. Co więcej, ani król Jordanii Husajn, ani król Arabii Saudyjskiej Chalid — na których pomoc Sadat bardzo liczył — nie poparli go i w izolacji znalazła się nie OWP, lecz rząd egipski. A zatem w planie politycznym Sadat nie zyskał, a bardzo dużo stracił. Poza tym Egipt bardzo szybko zbliża się do katastrofy ekonomicznej. Mimo prób, w których Sadat usiłuje przedstawić wyniki swojej politycznej i ekonomicznej działalności, w jak najlepszym świetle, przedstawiciele zachodniego świata interesu mówią otwarcie o krachu ekonomiki Egiptu. Istotnie kraj ten wegetuje z datków pieniężnych bogatych krajów arabskich wydobywających naftę, bankowych organizacji krajów zachodnich i USA, zainteresowanych w zachowaniu reżimu Sadata.

JERZY CZECH

TERRORYŚCI POD OPIEKĄ WYWIADÓW

Jeszcze kilka miesięcy temu ich przystanią było szwajcarskie miasto Lugano. Wiele indywiduów z tej dobranej paczki figurowało w spisach przestępców poszukiwanych przez policję. Spotykano ich często w eleganckim barze „Federale" usytuowanym naprzeciwko komendy żandarmerii Tam właśnie rodziły się plany napadów, zamachów bombowych, porwań, akcji terrorystycznych itp. Obecnie ten „cały kwiat" międzynarodowego neofaszyzmu, szeroko reprezentowany przez włoskie „czarne koszule", ulokował się na Lazurowym Wybrzeżu — w księstwie Monaco. Teraz stałym miejscem ich spotkań jest wytworna „Cafe de Paris", dwa kroki od słynnego kasyna gry. Obok neofaszystów opuścili Szwajcarię także tzw. „czerwoni" ekstremiści" a mówiąc wprost — wodzireje lewackich ugrupowań terrorystycznych. Również i oni mieli w Szwajcarii doskonałe kryjówki, bazy i konspiracyjne skrytki w Lugano, Zurychu i innych miastach. Pewnego pięknego dnia policja szwajcarska postawiła zarówno ich jak i neofaszystów przed wyborem: albo zaprzestaną wszelkiej działalności politycznej, albo opuszczą kraj. Wybrali to drugie — postanowili emigrować. I właśnie wtedy zaczął się ów masowy exodus do Monte Carlo. „Czerwone Brygady" — NAP („zbrojne komórki proletariackie"), RAF — „Frakcja Czerwonej Armii" i inne lewacko-ekstremistyczne ugrupowania ulokowały się w tym samym miejscu, co i ich śmiertelni wrogowie — neofaszyści. Stąd, z Lazurowego Wybrzeża, „Czerwone Brygady" i inne lewackie bandy terrorystyczne nawiązują kontakty — na razie bez większych trudności — z pokrewnymi im duchem francuskimi grupami, których ośrodki operacyjne znajdują się w Grenoble, Lyonie, Nantes, Montpellier i Paryżu. Żeby mieć pełny obraz, należy jeszcze powiedzieć, iż w księstwie Monaco rozwijają działalność agenci zagranicznych wywiadów, a głównie tych, których specjalnością jest kontrolowanie i tajne kierowanie różnymi odgałęzieniami współczesnego terroryzmu. Wiemy, ile zamętu i popłochu w Zachodniej Europie wywołuje w ostatnim czasie działalność tych uzbrojonych band oraz sił, które nimi dyrygują.

Francja jest krajem który już dawno zetknął się z problemem terroryzmu. Wystarczy powiedzieć, iż głośna swego czasu OAS nie zeszła jeszcze ze sceny. Trzeba przypomnieć o wystąpieniach neofaszystowskich bojówkarzy czających się za plecami prawicowych katolików ze „Związku Św. Michała", o paryskiej grupie AIA („Międzynarodowy Alians Antykomunistyczny"), o prowokacyjnych akcjach i zamachach kierowanych przez Seracoue'a spod znaku „Aginter Press" — fikcyjnej agencji prasowej, założonej swego czasu przez tajną policję portugalskiego dyktatora Salazara. Rejestr uzupełniają bandyckie wypady przesławnych „komandosów", którymi z ramienia międzynarodowego ośrodka neofaszystowskiego „Paladin" kierujący były ss-mann, Robert Leroi. W Dieppe, w północnej Francji wykryto zakonspirowany ośrodek neofaszystowski, skąd w ciągu wielu lat wychodziły rozkazy niosące śmierć w niezliczonych punktach Zachodniej Europy. Chcąc dojść do źródeł powstałej sytuacji, trzeba by udać się w wędrówkę po ruchomych piaskach, w których gubią się nici konkretnych porozumień ultraprawicowych spiskowców z amerykańską Centralną Agencją Wywiadowczą, które odnoszą się do czasów — przypomina publicysta mediolańskiego „Il Giorno", — kiedy do władzy w Grecji doszli „czarni pułkownicy". Nie należy zapominać, iż KIP — tajna służba Papadopulosa — przez długi czas finansowała (za pieniądze CIA) wszystkie neofaszystowskie organizacje terrorystyczne na kontynencie. Należy także wspomnieć o ścisłych powiązaniach między włoskimi neofaszystami i francuskim światem przestępczym kontrolującym handel narkotykami, prostytucję i inne gałęzie kryminalnego biznesu. Chodzi tu o wielomiliardowe obroty i kolosalne dochody, z których część idzie na finansowanie międzynarodowych organizacji neofaszystowskich i bezpośrednio na potrzeby skrajnych grup terrorystycznych.

(C.)

DIALOG ZE WSZECHMIAR POŻYTECZNY
JEDNOŚĆ ZOSTAŁA UTRZYMANA

„Obie strony wyciągają wniosek, że odprężenie jest możliwe, niezbędne i pożyteczne. Nie widzą one żadnej rozsądnej alternatywy pokojowej współpracy państw..." Te słowa ze wspólnej deklaracji radziecko-RFN-owskiej najlepiej oddają **sens rozmów Leonida Breżniewa w Bonn.** Prasa światowa podkreśla doniosłość wizyty radzieckiego przywódcy w RFN, zwracając uwagę i na międzynarodowy i na dwustronny aspekt przeprowadzonego dialogu. Chociaż w wielu kwestiach utrzymały się różnice zdań — ustalono przecież wspólne zainteresowania, a do nich należy przede wszystkim **problem rozbrojenia.** Obie strony oświadczyły, że zdecydowane są wykorzystać „wszystkie możliwości i środki, jakie mają do dyspozycji" w celu osiągnięcia postępów na tej drodze, zarówno jeśli chodzi o broń nuklearną, jak i konwencjonalną. Wizyta miała przyczynić się do konkretnych wysiłków, podejmowanych jednostronnie, dwustronnie, a także wielostronnie, z myślą o pogłębieniu procesu odprężenia. Komentatorzy nie mają wątpliwości, że **tak rozumiany cel podróży został osiągnięty.**

Na płaszczyźnie stosunków dwustronnych duże znaczenie ma porozumienie o rozwoju i pogłębieniu długoterminowej współpracy ZSRR i RFN w dziedzinie gospodarki i przemysłu W Związku Radzieckim oczekuje się, że **przyjęte postanowienia zapewnią stabilność tym stosunkom oraz nadadzą im duży rozmach.**

Tak więc dialog był pod każdym względem pożyteczny i raz jeszcze potwierdził, że ZSRR uporczywie poszukuje dróg, które prowadzą do umocnienia pokoju, zapewnienia narodom bezpieczeństwa i wzajemnie korzystnej współpracy. Nawet nadreński „General Anzeiger" musiał stwierdzić: „Kto się zobowiązuje na 25 lat do stałej i wszechstronnej współpracy... ten stawia na pokój".

A teraz raz jeszcze (i z pewnością nie ostatni w najbliższym czasie) powracamy do Włoch.

Od chwili porwania los Aldo Moro wydawał się być przesądzony. A jednak długiemu okresowi poszukiwań miejsca jego ukrycia i porywaczy, debat i studiowania kolejnych komunikatów „Czerwonych Brygad" towarzyszył promyk nadziei. **9 maja rozwiał jakiekolwiek wątpliwości.** Jak wiemy, ciało przywódcy chadecji znalezione zostało w samochodzie w centrum Rzymu — między siedzibami Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej i Włoskiej Partii Komunistycznej.

Niektórzy komentatorzy twierdzą, że zaparkowanie przez porywaczy wozu ze zwłokami właśnie w tym miejscu ma swoją symbolikę — „Czerwone Brygady" chcą stanąć w poprzek możliwościom współpracy dwóch największych partii włoskich. Spierać się o zasadność takiej opinii trudno — przed dwoma tygodniami pisaliśmy przecież na tym miejscu komu na rozpasaniu terroryzmu i zastraszeniu społeczeństwa najbardziej może zależeć.

Tragiczny finał uprowadzenia Aldo Moro **stawia w życiu politycznym Włoch problem trudny dla wszystkich partii demokratycznych** — skutecznego przeciwdziałania gwałtom (szerzą się one nadal — o czym świadczą doniesienia agencyjne z Rzymu, Mediolanu i innych miast włoskich) i zapewnienia wewnętrznego porządku bez jakiegokolwiek naruszenia instytucji demokratycznych. Problem ten z konieczności ogniskuje na sobie uwagę, nie pozostawiając wiele czasu na rozwiązywanie, a właściwie łagodzenie nabrzmiałych problemów gospodarczych i społecznych. Można przecież stwierdzić, że „Czerwonym Brygadom" udało się narzucić rządowi Andreottiego, niemal od pierwszych godzin jego działalności, tematykę prac, odwodząc zainteresowania od wymienionych przed chwilą zagadnień.

I jeszcze jedna uwaga: trudno bez ryzyka popełnienia błędu przesądzić, czy „Czerwone Brygady" liczą 700 członków, jak usłyszeć można z włoskich kół oficjalnych, czy też 1.500, jak wynika z wątpliwych zeznań jednego ze schwytanych ich uczestników. Tak czy inaczej jest to grupa liczebnie niewielka, która jednakże była w stanie zdezorganizować życie Włoch. Świadczy to nie tylko o sprawności jej terrorystycznego działania, ale również o konsekwencji w dążeniu do nakreślonych celów. Jakie one są naprawdę — nigdy nie ujawniono, bo **nie można przecież luźno wypowiadanych haseł w osławionych komunikatach uznać za jakiś program.** Często natomiast politycy włoscy podkreślają ostatnio, że terrorystyczna strategia zmierza obecnie przede wszystkim do rozłamu w większości parlamentarnej, wspierającej gabinet Andreottiego. I dodają mimo pewnych okresowych rysów większość **w ciągu całych 54 dni niepewności o losy Aldo Moro** została utrzymana, a nawet w konsekwencji umocniła się.

W. SŁAWSKI

WIECZÓR MUZYCZNYCH BAŚNI

Niezwykle interesujące przeżycia artystyczne przyniosła łódzkim melomanom kolejna premiera Teatru Wielkiego. Z godną najwyższego uznania konsekwencją realizuje Bohdan Wodliczko swój ambitny program. Po „Wolnym strzelcu" wprowadził on na scenę nie oglądaną dotychczas w Polsce operę Carla Orffa pt. „Księżyc" łącząc jej prapremierową w naszym kraju inscenizację z „Ognistym ptakiem" Igora Strawińskiego.

Zarówno „Księżyc", jak i „Ognisty ptak" to wspaniałe muzyczne bajki. Ich kompozytorzy szukali źródeł natchnienia w starych opowieściach legendarnych wątkach baśniowych, ludowych balladach. Carl Orff znalazł je w dobrze znanej wszystkim baśni braci Grimm o tych, którzy niebu skradli księżyc. Igor Strawiński sięgnął do przebogatej skarbnicy rosyjskich bylin i wspaniały kształt muzyczny nadał pięknej baśni o ognistym ptaku, carewiczu Iwanie i pięknej carewnie.

Obydwaj twórcy postulowali jedność wszystkich tworzyw sceny. Obydwaj ten postulowany efekt osiągnęli. Carl Orff tak celnie umiał połączyć muzykę, słowo i ruch sceniczny, że organizując wymienione tworzywa elementem w tym utworze bodaj najistotniejszym, o wyraźnie dominującej funkcji i widocznej nad innymi przewadze tj. rytmem, nadał „Księżycowi" rzadki walor wyjątkowej wręcz spójności wewnętrznej i organicznej jedności wszystkich elementów swego dzieła. Ciekawa kolorystyka instrumentalna przynosi temu niezwykle oryginalnemu mimo, iż wskazującemu wyraźnie źródła inspiracji utworowi scenicznemu nowe, cenne wartości. Kolorystyka ta dodatkowo eksponuje ową nadrzędną, jednoczącą wszystko rolę rytmu jako podstawowego dla „Księżyca" elementu konstrukcyjnego.

O ile „Księżyc", porywa rytmem, o tyle „Ognisty ptak" — przy równej dziełu Orffa wewnętrznej spójności i podobnej jedności wszystkiego, co tworzy spektakl baletowy — urzeka melodią. Ona właśnie ze swą przypisaną jej przez kompozytora opisową ilustracyjną funkcją nadaje klimat całemu przedstawieniu, ona kształtuje nasze reakcje, ona budzi uczucia. Odnajdujemy tu motywy rosyjskich pieśni ludowych i to one czynią z „Ognistego ptaka" jeszcze jedną, tym razem baletową przypowieść o sile prawdziwego uczucia, o zwycięstwie dobra nad złem.

Obydwa utwory są bardzo proste, a przecież określić je można także mianem niezwykle złożonych konstrukcji scenicznych. Prostota „Księżyca" i „Ognistego ptaka" jest bowiem prostotą tego szczególnego rodzaju, że przy bliższym nieco jej poznaniu wysoki stopień trudności, jakich realizacja obydwu utworów nastręczać musi inscenizatorom jest aż nazbyt widoczny. Dla twórców łódzkiego przedstawienia nie stanowił on zapewne poważniejszej przeszkody, skoro pokonali go osiągając taki efekt, jaki podziwiać możemy w Teatrze Wielkim.

Bohdan Wodiczko prowadził spektakl z niespotykaną maestrią. Jego pewnej ręce słusznie zawierzyli wszyscy wykonawcy tego przedstawienia, w którego perfekcyjnym muzycznym kształcie ma swój niebagatelny udział zarówno wspaniale grająca orkiestra i świetnie dysponowana grupa solistów jak i znakomicie wprost śpiewający chór.

Tylko stuprocentowe porozumienie Conrada Drzewieckiego — inscenizatora i reżysera z Krzysztofem Pankiewiczem autorem oprawy plastycznej „Księżyca" mogło przynieść tak znakomity efekt sceniczny, tak trafną konkretyzację scenicznej wizji kompozytora. Zaludniające scenę postacie, ich sposób teatralnego istnienia, styl aktorstwa, zespół gestów i osiągnięty zarówno ruchem, jak i kostiumem wygląd żywo przypominały plebejski, czasem aż do rozpasania rubaszny świat obrazów Breughla. A przecież mimo owej plebejskiej rubaszności przypowieść o nienaruszalności porządku wszechświata pełna jest także filozoficznej nad nim zadumy i urzeka głębią — uniwersalnej refleksji. Doprawdy rzadko widzimy spektakle tak pełne, teatr tak doskonały...

Na słowa najwyższego uznania zasłużyli: Zdzisław Krzywicki, Jan Dobosz, Franciszek Przestrzelski i Kazimierz Kowalski (Parobcy), którym nieustanny i wcale niełatwy ruch i taniec nie tylko nie przeszkodził w precyzyjnym wykonaniu trudnych w „Księżycu" partii wokalnych, ale pozwolił na dodatkowe podkreślenie ich kunsztu artystycznego. W contra-tenorowej partii Narratora zabłysnął precyzją wykonawczą, wielką muzykalnością i znaczną swobodą w operowaniu swym głosem w owych wysokich rejestrach Jerzy Rynkiewicz. Włodzimierz Zalewski potwierdził swą wysoką lokatę wśród polskich basów świetnym wykonaniem partii Petrusa.

Łódzką inscenizację „Ognistego ptaka" zaliczyć można do najlepszych polskich realizacji scenicznych arcydzieła Strawińskiego. Brawurowo grająca pod batutą Wodliczki orkiestra zda się, że przeszła w tym wykonaniu samą siebie. Takiej jej jeszcze nie słyszeliśmy!

Conrad Drzewiecki (tym razem wespół z Barbarą Jankowską, której dekoracje i kostiumy nieodparcie nasuwały myśl o palechowskich pięknych malowankach) zrobił wszystko, by uroda „Ognistego ptaka" objawiła się nam w pełnej krasie. Niezwykle subtelna w rysunku choreografia pozwoliła jej zabłysnąć najjaśniej i urzeczeni piękną baśnią o czarodziejskim ptaku podziwialiśmy geniusz kompozytora oraz niezwykły talent twórców i wykonawców przedstawienia, z takimi samymi zapewne uczuciami z jakimi dzieło Strawińskiego przyjęła publiczność Paryża oglądając je w wykonaniu Baletów Rosyjskich Diagilewa.

Świetna forma naszych tancerzy, ich do perfekcji opanowana technika baletowa, ogromne wyczucie stylu i kunszt aktorski sprawiły, iż widowisko to mogą oni określić mianem swego największego osiągnięcia artystycznego. Ewa Wycichowska (Ognisty ptak), Kazimierz Wrzosek (Carewicz), Liliana Kowalska (Carewna) i Kazimierz Knol (Kościej) raz jeszcze utwierdzili nas w przekonaniu o swych wybitnych talentach i umiejętnościach. Przekonanie to bardzo się pogłębiło. Ręce mistrzów: Bohdana Wodiczki i Conrada Drzewieckiego na nowo roznieciły te talenty wzbogacając je o nowy blask.

Połączenie w jeden teatralny wieczór kompozycji Orffa z utworem Strawińskiego ma swoje głębokie uzasadnienie. Obydwu twórców nazywamy już przecież klasykami muzycznej współczesności. Połączenie to spełniło nie tylko swą podstawową funkcję, jaką jest sceniczna prezentacja „Księżyca" i „Ognistego ptaka", zrealizowało ono także ten punkt artystycznego programu Bohdana Wodiczki, który mówił o zamiarze wszechstronnej edukacji muzycznej widza, o uświadomieniu mu podstawowych wyznaczników kierunku i stylu, jaki dany utwór reprezentuje, o bliższym określeniu miejsca danego dzieła w historii gatunku i dziejach sztuki. Połączenie to pozwala także na wszechstronną analizę podstawowych, indywidualnych, charakterystycznych cech wyróżniających w ogóle i różniących od siebie twórczość Orffa i Strawińskiego. Tę istotną, kształcącą funkcję spełnia omawiane przedstawienie bardzo skutecznie, a jednocześnie w sposób niezwykle dyskretny, bez szczególnego zwracania uwagi odbiorcy na rzeczywiście wielkie znaczenie owego poznawczego zadania, jakie — „przy okazji" realizuje. Tym większe należą się słowa uznania twórcom tego znakomitego spektaklu.

EWA PANKIEWICZ

CONRAD DRZEWIECKI NIE LUBI UDZIELAĆ WYWIADÓW...

Conrad Drzewiecki nie lubi udzielać wywiadów. Niechętnie mówi o swoich realizacjach baletowych. Przed premierą — ponieważ sam nie wie, jaki będzie ostateczny kształt baletu. Po premierze — nie ma nic do powiedzenia, pozostawiając ocenę widzom.

Do rozmowy na temat pracy nad przygotowaniem „Ognistego ptaka" Igora Strawińskiego — ostatniej premiery łódzkiego Teatru Wielkiego — a także innych spraw nurtujących łódzki zespół baletowy, zaprosiłem tedy: kierownika baletu Teatru Wielkiego, pierwszego tancerza — **Kazimierza Wrzoska**, oraz pierwszych solistów — **Lilianę Kowalską, Ewę Wycichowską i Kazimierza Knola.** Czwórka tych tancerzy była głównymi bohaterami premiery „Ognistego ptaka".

KAZIMIERZ KNOL — Kościej (władca zła, ciemności i przemocy).

— Jak się Pan czuje na 5 minut przed premierą?

— **Przed każdą premierą jestem zawieszony gdzieś w próżni. Nie dopuszczam do siebie żadnych myśli na ten temat. A tuż przed wejściem na scenę dostaję gwałtownego kaszlu, wynika on przede wszystkim z tremy. Gdy słyszę pierwsze takty uwertury — kaszel mija, następuje koncentracja, mobilizacja. Jestem opanowany i mogę tańczyć.**

— Jak budował Pan postać Kościeja?

— **Bardzo powoli i wnikliwie, każdy gest, grymas twarzy ćwiczyłem przed lustrem aż do perfekcji w wyrazie artystycznym. Np. właściwą charakteryzację twarzy uzyskałem dopiero na próbie generalnej. Pracowałem indywidualnie i sam na sam z Conradem Drzewieckim, który pomógł mi w odnalezieniu właściwych środków tanecznego i aktorskiego wyrazu. Nie wolno mówić przy mistrzu „ja tego nie zrobię", bo wtedy Drzewiecki wpada w pasję i sam pokazuje, jak to się robi, a tańczy znakomicie...**

EWA WYCICHOWSKA — tytułowy Ognisty Ptak (symbol dobra, szczęścia i piękna).

— Czy zaczynając swoją karierę myślała Pani o zatańczeniu Ognistego Ptaka?

— **Tak się złożyło, że będąc w poznańskiej szkole baletowej tańczyłam w „Ognistym ptaku" jedną z księżniczek. Oglądałam kilka znakomitych tancerek w roli Ognistego Ptaka, wśród nich Olgę Sawicką, która jako tancerka była moim wzorem. W 1968 roku, po ukończeniu szkoły baletowej, zaczęłam rozmyślać o przyszłych partiach, w tym także o Ognistym Ptaku... Nie chciałabym aby jako tancerkę zaszufladkowano mnie tylko do określonych ról. W dotychczasowych premierach — poza kilkoma wyjątkami — nie miałam możliwości wykazania wszystkich swoich pasji, zainteresowań baletowych. Być może taką możliwość daje mi najnowsza rola — Ognistego Ptaka.**

— W jakim stopniu jest ona dziełem Pani, w jakim choreografa?

— **Powiedziałabym, że w pracy nad rolą następuje współtworzenie tancerz-choreograf. Conrad Drzewiecki pozostawił solistom dużo swobody, choć z drugiej strony przy realizacji pewnych swoich koncepcji był nieprzejednany. W tym balecie nie ma banalnych układów tanecznych, a przez to nie ma łatwych efektów i być może dlatego łódzki „Ognisty ptak" jest przedstawieniem trudnym w odbiorze, stwarza też trudności wykonawcom. Praca, jaką włożyłam w przygotowanie swojej partii, jest pozornie niewspółmierna z efektem, wszystko zawiera się przecież w dwóch tańcach.**

— Czy po premierze nadal pracuje Pani nad rolą?

— **Oczywiście! Tańczyć wciąż to samo — jednakowo, choćby dobrze, byłoby bardzo nudnym zajęciem. W zależności od dnia, nastroju, próbuję szukać nowych środków wyrazu, nadawać roli inne zabarwienie, inną fakturę. Poza tym są rzeczy, które polegają na pewnej emocji. Na każdym przedstawieniu staram się być inna, ale nigdy nie wykraczając poza ustaloną z choreografem koncepcję postaci.**

LILIANA KOWALSKA — piękna Carewna więziona wraz z towarzyszkami w kreinie Kościeja.

— Jako Carewna przekonała mnie Pani do postaci, czy przekonała Pani sama siebie?

— **Jeżeli przekonałam pana — widza, to przekonałam i siebie, że w tym, co stworzyliśmy z choreografem budując postać Carewny, byłam wystarczająco sugestywna, aby trafić do odbiorcy.**

— Jakie szczególne predyspozycje, oczywiście obok umiejętności tanecznych i zdolności aktorskich, są potrzebne tancerce?

— **Ogromna odporność psychiczna, która decyduje o tym czy tancerka, choćby dobra, może być solistką. Potrzebne są tzw. „żelazne nerwy", opanowanie w najtrudniejszych momentach. Zarazem codzienna żmudna, wytrwała i ciężka praca, bez których nawet tancerz o znakomitych warunkach nie stworzy pełnej postaci. Co do mnie lubię tańczyć partie dramatyczne, również o zacięciu charakterystycznym. Nie znoszę tańca dla tańca, tzn. wydobywania w tej dziedzinie sztuki jedynie umiejętności technicznych.**

— Czy uważa się Pani za tancerkę klasyczną i jak transponuje się tancerza klasycznego do baletu nowoczesnego? A może uważa Pani, cytuję tu Bejarta, że „taniec jest tylko jeden, dobry lub zły, a nie klasyczny, czy jakiś inny"?

— **Uważam się za tancerkę klasyczną. Klasyka jest bazą wyjściową do wszystkich technik tańca, a z wypowiedzią Bejarta zgadzam się całkowicie.**

KAZIMIERZ WRZOSEK — carewicz Iwan, młody, nieustraszony poszukiwacz szczęścia.

— Jaki jest Pana stosunek do Iwana?

— **Staram się nie rozdzielać roli na Iwana — carewicza i Wrzoska — tancerza. Usiłuję być Wrzoskiem — Carewiczem, wejść w postać i nadać jej swój indywidualny wyraz artystyczny jako odtwórca.**

— Stopień trudności w prowadzeniu tej roli polega na partnerowaniu...

— **Tak. Nie ma tu możliwości do wytańczenia się, pokazania z najlepszej strony. Ale jest to bardzo trudna rola, przede wszystkim przy tańczeniu w partiach górnych, bowiem Ptak, z którym tańczę, jest ciągle w górze, w locie i to moje partnerowanie jest również takie lotne.**

— **Tańcem można wyrazić wszystko — stany duchowe, przeżycia, obrazy, chodzi jednak o to, ażeby był to taniec wykonywany na najwyższym poziomie. Jaki, Pana zdaniem, poziom reprezentuje obecnie zespół baletowy łódzkiego Teatru Wielkiego?**

— **Jeżeli weźmiemy pod uwagę repertuar klasyczny, np. „Jezioro łabędzie", to zespół jest na poziomie średnim. Jeżeli wystawimy balet współczesny — wtedy ocenilibym zespół na bardzo dobry. O efekcie przedstawień klasycznych decyduje nie tylko perfekcja techniczna, o czym się zwykle mówi, ale również warunki fizyczne członków zespołu, chociażby równy wzrost tancerek. Największą moją bolączką jest brak tancerzy i tancerek w zespole! Utrzymuję ścisłe kontakty z dyrektorami szkół baletowych i przyszłymi absolwentami z całej Polski, natomiast jeżeli chodzi o szkołę łódzką, to o przydatności kształconej tam młodzieży będziemy mogli mówić dopiero za trzy lata.**

Zarazem kierowany przeze mnie zespół baletowy ma bardzo dobre warunki do pracy, doceniamy je, ćwiczymy solidnie i na rezultaty nie będziemy czekać z pewnością zbyt długo. Zresztą o poziomie zespołu niech mówią nasze premiery, choćby właśnie „Ognisty ptak"...

— **Co dał Panu, co zespołowi, kilkumiesięczny okres pracy z Conradem Drzewieckim?**

— **Współpraca z tym wybitnym choreografem dała nam wszystkim ogromnie dużo! Od czasów „Orfeusza" realizowanego przez Ericha Waltera, praca z Drzewieckim wprowadziła znów coś nowego. Zmiana choreografów, którzy przygotowują różnego typu balety, pozwala rozwijać się tancerzom, a w przypadku Drzewieckiego zdobyliśmy wiele cennych doświadczeń w balecie współczesnym.**

Ponadto mistrz dzielił się swoimi doświadczeniami, a jego rady i uwagi będą mi w przyszłości bardzo pomocne.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

ZAPISKI KRONIKARZA

SEZON MA SIĘ KU KOŃCOWI...

Nadchodzi czas festiwali, a znak to nieomylny, że teatralny sezon ma się już ku końcowi; czeka nas wprawdzie jeszcze parę premier, czekają Dni Baletu, ale to, co najważniejsze i prawdziwie znaczące, już się w gruncie rzeczy zdarzyło.

Mimo wszystko za wcześnie jeszcze na dokonywanie obrachunków, choć już dziś śmiało można powiedzieć, że obok szeregu premier udanych było i parę chybionych, trafiających niejako w pustkę, zaś wydarzeniem najradośniejszym stało się objęcie dyrekcji Teatru Wielkiego przez Bohdana Wodiczkę. Ten niespożyty artysta długo zwlekał z konferencją prasową, ale to co na niej przyobiecał, realizuje z żelazną konsekwencją, a na początek w zadziwiająco szybkim tempie przygotował całą serię niezwykle interesujących przedstawień, odkrywając w dobrze nam znanym zespole utajone, niejako drzemiące możliwości...

To, że Ewa Wycichowska wspaniale zatańczyła partię Ognistego Ptaka, nie jest — powiedzmy sobie szczerze — większym zaskoczeniem dla tych wszystkich, którzy od szeregu już sezonów obserwują nieustanny rozwój tej ogromnie wyrazistej, pełnej wdzięku i uroku tancerki. Ale jeżeli wymagający, a niekiedy nawet i grymaśny Jerzy Waldorff pisze na łamach „Polityki" iż **„...orkiestra Satanowskiego do orkiestry Wodiczki ma się, jak kartofel prosto z ziemi do soczystej brzoskwini prosto z drzewa"**, w innym zaś miejscu powiada, że **„...chór przygotowany przez Zbigniewa Pawelca był w tym spektaklu najprecyzyjniej śpiewającym chórem operowym w całym kraju"** — to już, proszę państwa, coś znaczy!

W zakończeniu stawia co prawda Waldorff parę znaków zapytania. **„Oto niezłomny Wodiczko** — pisze — **znów wyprowadza sensacyjnym sposobem operę naszą ze skostnienia. Czy władze Łodzi wytrwają cierpliwie w dążeniach do uczynienia ze swojego miasta zarazem Manchesteru i Bayreuth? Czy Łódź doceni szansę wejścia ze swoim Teatrem Wielkim do historii muzyki współczesnej?..."**

Rozumiem niepokój autora, który w swoim pięknym szkicu o Wodiczce przedstawił był swego czasu skomplikowane losy tego wielkiego artysty, chciałbym wszakże zapewnić Mistrza, że władze łódzkie — a i prasa, choć ta tak niewiele może — nowego dyrektora Teatru Wielkiego witały doprawdy z otwartymi rękoma i gorącym sercem, tocząc nawet o niego boje, których nie warto tu wypominać... Pewien kłopot sprawiają jedynie sprawy finansowe, bo opera — jak wiadomo — to dyscyplina sztuki ogromnie kosztowna, a wszyscy musimy odrobinę zaciągać pasa, wszelako i te problemy powinny zostać szczęśliwie rozwiązane.

Jerzy Waldorff wyraził jedynie swoje obawy, natomiast Zygmunt Greń — krytyk, którego ogromnie wysoko cenię i czytam zawsze z najgłębszą uwagą — musiał być po prostu w bardzo złym humorze pisząc felieton „Łódź" opublikowany w „Życiu Literackim" z dnia 7 maja br. w świetnym skądinąd cyklu „Teatr zamknięty".

W oparciu o jedną gawędziarską książkę (niechby nawet i nie wolną od potknięć), jedną notatkę (niechby nawet i krzywdzącą), a także swoje własne, z natury rzeczy wyrywkowe obserwacje — wydał Greń wyrok na teatralną Łódź, choć przyznał też jednocześnie, że trafiały się w niej **„...dobre teatry, dobre sezony, dobre przedstawienia, a nawet okresy świetności."**

Dalej Greń jednak pisze:

„Był moment, właśnie z początkiem lat siedemdziesiątych, że Łódź stała się najciekawszym ośrodkiem teatralnym w Polsce, do czego przyczyniała się, być może, stagnacja, jaka zapanowała gdzie indziej. Ale profity tego autentycznego ożywienia były mierne. Miejscowa publiczność odwiedzała teatry niechętnie i kapryśnie, a wiadomości o tym, co się dzieje w Łodzi, z trudem wydostawały się z miasta, ściślej mówiąc: poza rogatki Koluszek. Zdumiewająca izolacja ośrodka położonego w samym centrum kraju!"

Zaczem następuje parę przykładów, dobranych oczywiście zgodnie z postawioną tezą, ale nawet i o nie można się odrobinę posprzeczać.

O fenomenie zwanym „Trędowata" czytałem na przykład przed laty wcale interesującą rozprawkę na łamach „Życia Literackiego", nie dziwię się tedy zbytnio, że adaptacja książki-legendy, przepisywanej swego czasu odręcznie, a po wydaniu odsprzedawanej za zawrotną cenę, stała się teatralną sensacją dla pewnego kręgu publiczności. Nie była to zresztą „Trędowata" buffo, buffo była kaliska, ale i ta pod naciskiem widowni zaczęła się ze spektaklu na spektakl „usierjozniać". Przeto tę łódzką, późniejszą, zrobiono z miejsca nieco łzawo i tylko chusteczka do programu była dodawana dla hecy...

Natomiast z „Dziejami grzechu" w Teatrze Nowym — jeszcze z czasów dyrekcji Jerzego Zegalskiego — wszystko akurat prawda, ten okrutny melodramat miał osiemdziesiąt kilka przedstawień i był na swój czas kasowym sukcesem. Coś jednak w gustach widzów powoli się chyba zmienia, skoro ostry, zjadliwy „Cień" Młynarskiego w reżyserii Dejmka osiągnął w tymże Teatrze Nowym — akurat w dniu przyznawania spektaklowi nagrody „Srebrnej Łódki" — równych sto przedstawień i grany jest z powodzeniem nadal.

„Popiół i diament" w adaptacji i reżyserii Jana Maciejowskiego był omawiany w lokalnej prasie życzliwie i szeroko, został też w 1975 r. uhonorowany doroczną „Srebrną Łódką", a jeżeli recenzenci z prasy ogólnopolskiej niezbyt nawet dopisali, to przecież — u licha — nie możemy porywać ich prosto z ulicy Wiejskiej i zakneblowanych dowozić do teatru. Ostatnio zresztą coraz gęściej dojeżdżają dobrowolnie, „Operetka" — również nagrodzona „Srebrną Łódką" — zrobiła, jak to się mówi, furorę, a pisały o niej co najtęższe pióra, Marta Fik, Elżbieta Wysińska, Zygmunt Greń, parunastu innych również...

Miewamy także gości, nie tak dawno bawił np. w Łodzi krakowski Teatr im. Słowackiego z „Lilią Weneda" tudzież „Mazepą". Szpilki nie można było wetknąć, a publiczność obsiadła nawet stopnie sceny, co dałoby się może wytłumaczyć tym, iż w obu tych utworach są elementy melodramatu, wszelako jak na złość w parę dni później przyjechał Teatr Polski z Wrocławia z „Kartoteką" i „Grą w zabijanego", znów gromadząc tak zwane nadkomplety.

Czyż więc naprawdę jest tak, że **„...do Łodzi artyści muszą iść jak na zesłanie, bo stamtąd niczego już się od nich nie oczekuje, bo stamtąd, choćby zdzierali sobie głos, nie słyszy się ich i nie słucha? Nowy „trójkąt bermudzki" kultury między Koluszkami, Kutnem, a Łowiczem? I kto się tam dostanie, wszelki słuch o nim ginie..."**

A jak jest z Dejmkiem? Czy nie więcej się o nim pisze od chwili, gdy ponownie objął dyrekcję Teatru Nowego, niż pisało się — powiedzmy — rok wcześniej? A ile recenzji w ogólnopolskiej prasie zebrał Teatr Powszechny od chwili objęcia dyrekcji przez Romana Kłosowskiego? Ile nadziei już teraz wiąże się z dyrekcją Bohdana Wodiczki, któremu właśnie Łódź dała wreszcie godziwe warunki do artystycznej pracy?!

Wszystko to nie znaczy, że popadamy w cielęcy zachwyt, „czołówka" teatralnej publiczności jest w Łodzi nadal dość wąska, a gusta części widowni — przynajmniej wątpliwe. Ale tak jest, niestety, wszędzie — niech pan sobie przypomni, panie Zygmuncie, potworną awanturę o „Miłość szeika", które to dzieło byt swój poczęło właśnie w Krakowie przy ulicy Lubicz, potem chyłkiem — boczkiem przeszło przez Łódź, aby wreszcie trafić na scenę stołecznej operetki, gdzie pobiło wszelkie rekordy frekwencji, a zarazem zgarnęło wszelkie rekordy prasowych wymyślań.

I któż na tę „Miłość szeika" w Krakowie, Łodzi i Warszawie chodził, zapytajmy? Też ludzie chodzili, a nie, nieprawdaż, krasnoludki... Nie upraszczajmy więc sprawy, wszędzie jeszcze plenią się złe gusta, wszędzie wyrastają chwasty na polu kultury, a „bermudzkiego trójkąta" wcale nie trzeba szukać akurat między Koluszkami, Kutnem i Łowiczem.

JERZY PANASEWICZ

zdarzenia i zwierzenia

ZNAJOMI – NIEZNAJOMI

Wywiad jako forma literacka nie ma zbyt dawnego rodowodu. Co prawda najnowszy Słownik Terminów Literackich odnotowuje tę formę, stwierdza jednak, iż „na rozpowszechnianie wywiadu wpłynął rozwój prasy". Jest rzeczą oczywistą, że wywiady są często bezcennymi dokumentami literackimi, pozwalającymi poznać poglądy społeczne i artystyczne rozmówców.

Do głośniejszych przykładów tej formy literackiej należą choćby **„Rozmowy z Claude Lévi-Straussem" G. Charbonniera** czy **„Rozmowy z Gombrowiczem" D. de Rouxa** (niestety, u nas nieznane). W Polsce natomiast głośny był swego czasu „wywiad—rzeka" **Krzysztofa Kąkolewskiego z Melchiorem Wańkowiczem.** Interesująca była też książka **Jadwigi Radomińskiej,** zawierająca wywiady z szeregiem pisarzy, naukowców i artystów. Książka ta miała dwa wydania i stanowi naprawdę cenny dokument literacki. Równie głośna była także bardzo osobista, choć nieco kontrowersyjna książka **Katarzyny Meloch** prezentująca rozmowy z kilkunastoma pisarzami naszej współczesności.

Wywiady — jak widać — stały się modne we współczesnej publicystyce literackiej. Niedawno ukazała się książka Teresy Krzemień: „Znajomi — nieznajomi". Obok **Jadwigi Radomińskiej, Katarzyny Meloch i Krystyny Nastulanki** z „Polityki" — **Teresa Krzemień,** znany krytyk teatralny, ujawnia swój talent jako interlokutorka artystów. Bo do tego naprawdę potrzebny jest specjalny talent prowadzenia konwersacji, wyciągania rozmówcy na zwierzenia, prowokowania do sądów, opinii. Tu nie wystarczy sama umiejętność pisania, trzeba czegoś więcej.

Okazuje się — kobiety potrafią to najlepiej, choć nadal wśród autorów uprawiających formę wywiadu gwiazdą pierwszej wielkości jest **Aleksander Małachowski,** którego telewizyjne rozmowy z pisarzami były majstersztykiem wiedzy, kompetencji i taktu. Ale — jak się rzekło — kobiet wywiadowczyń mamy jednak więcej.

Wróćmy więc do **Teresy Krzemień i jej książki.** Prezentuje nam ona 29 rozmów od **Mirona Białoszewskiego** po **Irenę Zarzycką,** znaną przed wojną autorkę „Dzikuski" i innych baśni współczesnych dla dobrze wychowanych panienek. A wśród rozmówców są ponadto takie interesujące postacie jak **Ewa Demarczyk, Eugeniusz Jewtuszenko, Tadeusz Kantor, Jerzy Putrament, Bułat Okudżawa, Artur Sandauer, Jan Świderski, Józef Szajna, Jarosław Marek Rymkiewicz...**

— Jacy oni są? — pyta **Teresa Krzemień.** I odpowiada: **„Do końca nikt nigdy się tego nie dowie. Jak nikt nie jest w stanie sobie samemu udzielić uczciwej i wyczerpującej odpowiedzi na pytanie: kim jestem?"**

Ale te pytania mają siłę narkotyku. Więc chociaż pełnej odpowiedzi być nie może, kusi, by szukać cząstkowych. Mogą mieć one wyłącznie walor przybliżeń, walor tropów, które prowadzą do niemożliwych iluminacji: taki oto naprawdę jest ten człowiek. Ale może: także i taki, może: takim go udaje się zobaczyć, może: takim pozwala się widzieć...

Jacy są? — pyta **Teresa Krzemień.** I powiada: **„Ile razy będzie się próbowało tego dociec? Znani, znajomi — zostawiający ślad w zbiorowej świadomości, która staje się dziedzictwem kulturalnym narodu... Znani, znajomi, a przecież nie. Tacy jakimi ich zoboczyłam".**

Cenna, ciekawa książka. Dokument literacki naszych czasów — dwadzieścia dziewięć portretów, może ułamkowych, migawkowych — może to tylko parę klatek z jakiegoś większego, pełnego filmu — ale to także bardzo wiele. Rozmowa z Białoszewskim jest przecież jak gdyby fragmentem jego „Donosów rzeczywistości", a portrecik Zarzyckiej jest przecież portretem psychologicznym owych zapomnianych bohaterek „Dzikuski" i „Jawnogrzesznicy"...

Myślę więc, że Teresa Krzemień zbyt skromnie oceniła swoje rozmowy, myślę, że udało się autorce przedrzeć przez zapory „chciejstwa" rozmówców i ukazała nam portrety na tyle pełne, na ile jest to w ogóle możliwe.

WIDOK

lewym okiem

„TEORIA" ROZRYWKI

Aktor estradowy to coś zupełnie innego od aktora scenicznego. Estrada nie ma kurtyny, nie wygasza się przy niej widowni, nie stwarza dystansu między aktorem a widzem. Przeciwnie — tu dąży się do jak najlepszego kontaktu tych dwóch elementów. Aktor z estrady mówi wprost do publiczności, a nie do drugiego aktora. Musi czuć, że nie mówi w próżnię. Musi się z miejsca, natychmiast, wytworzyć atmosfera wspólnoty, wspólnej zabawy. Oczywiście, bardzo dużo zależy tu od aktora. Ale bynajmniej nie wszystko. Ta widownia musi się chcieć bawić, musi być psychicznie gotowa do podjęcia dialogu z aktorem — choćby jako strona milcząca: musi aktywnie słuchać. Nie tak, jak „słucha" magnetofon w pusym studio radiowym. Musi słuchać tak, żeby mówiący wiedział, że go słuchają i rozumieją.

Ten sam program, dawany tego samego dnia w tych samych warunkach wobec identycznego środowiska, z tą samą dobrą wolą i zaangażowaniem aktorów, bywa przyjęty zupełnie inaczej za drugim razem niż za pierwszym. To są sprawy prawie że irracjonalne i przyprawiają nieraz ludzi estrady o rozpacz. Wypróbowany wiele razy dowcip mija nagle bez echa. Ten sam monolog bywa przerywany salwami huraganowego śmiechu i braw, albo kwitowany kamiennym milczeniem martwych twarzy i ciszą, od której najlepszym aktorom opadają ręce. Gdyby ktoś chciał prowadzić podczas spektakli „analizę rynku" podobną np. do tej, jaką prowadzi Instytut Czytelnictwa badający jakie książki się podobają i dlaczego, to wnioski byłyby chyba niezmiernie rozbieżne i bałamutne. Myślę natomiast, że interesującą byłaby analiza „psychologii widowni", studium na temat: jakim warunkom powinna odpowiadać widownia, żeby percepcja programu par excellence rozrywkowego była najlepsza, to znaczy dawała wszystkim poczucie zabawy, odprężenia, ludycznej satysfakcji.

Nigdy nigdzie nie spotkałem próby takiego studium. Spróbujmy więc na własny rachunek sformułować kilka praw, rządzących omawianym tu zakresem zjawisk — niech to będzie przyczynek do „teorii" rozrywki a ściślej: próba odpowiedzi na pytanie, jaka powinna być widownia, żeby się dała rozerwać. A więc:

1. Musi to być grupa ludzi wolna od przełożonych. Kiedy w pierwszych rzędach widowni zasiadą prezesi i dyrektorzy, a zwłaszcza kiedy to będą prezesi i dyrektorzy sprawujący władzę nad tymi z dalszych rzędów — nikt na widowni zasiądą prezesi i dyrektorzy nie ujrzy uśmiechów na ich twarzach. A przecież prezesi i dyrektorzy nie uśmiechną się z byle czego, bo oni widzieli lepsze programy w stolicy, a może nawet w Paryżu.

2. Widownia musi być mieszana co do płci i wieku, ale — broń Boże — bez dzieci. Dzieci interesują się wyłącznie sobą i nie znoszą kiedy ktoś na chwilę przestanie się nimi zajmować chcąc popatrzeć na aktorów. Wśród dorosłych natomiast mężczyźni tylko w obecności kobiet śmieją się chętnie i ostentacyjnie, kiedy padnie z estrady dowcip antybabski — i na odwrót. Tak ludziska rekompensują niedostatek złośliwości, prawionych sobie wzajemnie na co dzień.

3. Niedopuszczalne jest dzienne światło na widowni. Ludzie wstydzą się śmiechu. Byle co powiedza — i już mam się cieszyć? Poczekajmy na coś lepszego. I tak — jak wiadomo — czekamy na coś lepszego już trzydzieści lat.

4. Tramwaje, pociągi i — zwłaszcza — PKS muszą kursować normalnie, zgodnie z rozkładem. Jest to na pewno warunek najtrudniejszy do spełnienia, ale jak można słuchać i śmiać się z Kobuszewskiego, kiedy nie wiadomo czy autobus przyleci, jak powinien, czy się zatrzyma, czy dostaniemy się do tramwaju?

5. Impreza nie powinna odbywać się zaraz po pracy, bo wszyscy są zmęczeni. Ani wieczorem — bo nikomu się nie chce wyjść jeszcze raz z domu. Ani w niedzielę, bo wtedy się sprząta, pierze, przybija gwoździe i patrzy na mecz. Ani przed wypłatą, bo ludzie źli. Ani po wypłacie, bo ludzie nietrzeźwi. Najlepiej w czasie pracy, z tytułu rocznicy, jubileuszu, sztandaru, Dnia Matki, Kobiety, Żony, Babki, Metalowca czy Cholewkarza. Wtedy masa do rozrywania poświęci się, posiedzi — lepsze to, niż normy i akordy — i nawet czasem, jeśli dyrektorów nie ma — zaklaszcze.

Zespół wróci wtedy do bazy szczęśliwy, a kierownik świetlicy odnotuje działalność kulturalno-rozrywkową i wepnie do akt pokwitowanie aktorów za wręczone im po spektaklu tulipany.

ĆWIEK

propozycje

JAK LICZYĆ?

Problem nie jest nowy i wyłania się coraz to pod inną postacią. Na przykład: pogoda. Temat wydawałoby się zupełnie obojętny. Dawniej, jak nie było o czym rozmawiać, to rozmawiano o pogodzie. Dziś pogoda, a ściśle jej nieodpowiedzialne kaprysy stały się tematem o dużym społecznym ciężarze. Od dobrej pogody zależą plany rolnictwa, budownictwa, komunikacji, a także ciepło w naszych scentralizowanych mieszkaniach.

Już od kilku lat powtarza się podobna sytuacja. Wszyscy z niecierpliwością czekamy na wiosnę, a ona płata nam figle. Słonko niby to przygrzeje. Już się wszystkim zdaje, że będzie ciepło, już się wszyscy cieszą, a tu jak nie powieje mrozem, śniegiem sypnie. I znów wraca zima. Akurat po tych kilku ciepłych dniach, zgodnie z przepisami Zakład Sieci Cieplnej wyłącza nam centralne ogrzewanie i kiedy wraca zimno, mamy już wiosennie nieopalane mieszkania. Wszystko trzeba zaczynać od nowa. Ludzie interweniują, gdzie mogą, awanturują się i ZSC ponownie włącza centralne ogrzewanie.

W tej — wydawałoby się — zupełnie irracjonalnej sprawie, jaka przynosi nam pogoda, interesują mnie dwa pytania. Pierwsze — czy podejmując decyzję o włączeniu centralnego ogrzewania w mieście nie bierze się pod uwagę prognoz meteorologicznych? W tym roku bowiem już od kilku dni zapowiadano nadchodzącą od północy falę chłodu. Jeśliby moje podejrzenie było słuszne, że ZSC prognoz meteorologicznych nie bierze pod uwagę, to rodzi się inne pytanie: komu są one w ogóle potrzebne, skoro ani drogowcy jakoś nimi się zbytnio nie przejmują i są zawsze zaskakiwani przez zimę, wiosnę i lato, ani rolnicy z nich nie korzystają w takim stopniu, w jakim należałoby, ani ludzie dostarczający nam ciepło. Wydajemy sporo pieniędzy na działalność, która nie przynosi nam żadnych skutków. Wiem — oczywiście — że prognozowanie pogody nie jest jeszcze doskonałe, ale chyba nie mylę się, że jest niedostatecznie wykorzystywane, że nauczyliśmy się lekceważyć meteorologiczne prognozy.

Drugie pytanie, które wiąże się z wiosennym wyłączaniem centralnego ogrzewania dotyczy kosztów. Zastanawia mnie, co jest droższe; utrzymanie ogrzewania w oczekiwaniu chłodów wiosennych, czy też wyłączanie i włączanie? Wydaje mi się, że to drugie jest droższe. Ludzie zaczynają zimne mieszkania ogrzewać piecykami gazowymi, „słoneczkami" elektrycznymi, maszynkami elektrycznymi i czym tam kto może, co też nie jest ani obojętne ze społecznego punktu widzenia, ani tanie. A jeśli dodać do tego straty wynikłe z chorobowej absencji.

I tu właśnie dochodzimy do sedna problemu. Pozorna oszczędność. Pozorne działanie. Jak już wspomniałem problem nie jest nowy. Przykłady bez trudu odnajdzie się niemal w każdej dziedzinie naszego życia. A bierze się ten problem z antydialektycznego sposobu myślenia. Z takiego, o którym już pisał Julian Tuwim, że niektórzy widzą wszystko osobno, że koń, że drzewo, że Franek, że ulica. Otóż niektórzy widzą też osobno nie tylko pejzaż uliczny, ale również dziedzinę swego działania. Kupuje się na przykład licencję i uważa się, że dla postępu zrobiło się już wszystko. Rodzimi konstruktorzy zostali zwolnieni z obowiązku szukania nowych rozwiązań, bo dostali najlepsze z możliwych. Ale teraz już w szkołach uczą, że kupno licencji to dopiero podstawa dla dalszych własnych poszukiwań, to dopiero możliwość nadrobienia opóźnień, że bez własnych poszukiwań sama licencja niczego nie załatwia, bo inni i tak nie stoją w miejscu.

W każdej niemal dziedzinie można spotkać ludzi, którzy nie potrafią widzieć swojej lub cudzej pracy w powiązaniu z pracą innych, w szerszym społecznym tle. I bywa tak, że doraźnie ich działanie przynosi chwilowe sukcesy, które w rezultacie, w społecznym kontekście i w perspektywie czasu okazują się stratą. Zdaję sobie sprawę, że umiejętność przewidywania skutków jest sztuką trudną, w której człowiek nieustannie obraca się na granicy błędu. Nie wynika jednak z tego wcale, że skutków działania nie trzeba przewidywać.

Na przykład w propagandzie. Rozwój oświaty — niezależnie od naszych do niej pretensji — powoduje, że dziś trzeba w kształtowaniu społecznej świadomości posługiwać się argumentacją i różnorodną i coraz bardziej złożoną, bo i adresat jest o różnym intelektualnym poziomie. Albo w gospodarce. Likwidacja drobnej wytwórczości i podporządkowanie jej wielkim przedsiębiorstwom pozwalało z góry założyć, że wprawdzie będziemy mieli może i lepsze konserwy, ale nie będzie ich czym otwierać, bo żadnemu wielkiemu wytwórcy nie opłaci się produkować noży do konserw. Albo w nauce. Rozdrabnianie instytutów naukowych, zakładanie nowych uczelni może i wysunie nas na czoło w Europie pod względem ilości placówek naukowych, ale musi przyczynić się do obniżenia poziomu pracy w tych placówkach, gdyż nie mamy nadmiaru dobrze przygotowanej kadry naukowej. Proszę tu nie mylić tytułów naukowych ze zdolnościami i predyspozycjami do dydaktyki i pracy naukowej. Można jeszcze mnożyć przykłady, ale po co? Umiejętność widzenia własnej działalności na szerokim tle społecznym wyrabia się poprzez krytyczną jej ocenę. A my nie lubimy nie tylko krytyki, my boimy się nawet myśleć o samokrytyce.

MARCIN RODAK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH
MIECZYSŁAW KUCNER

O ty cybernetyczny słowiku,
Poezja utkwiła ci w przełyku.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

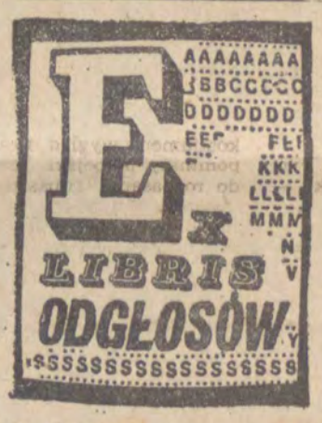

DRAMATY LECHONIA

Zachowały się właściwie fragmenty dramatyczne Jana Lechonia. Zaginął tekst utworu „W pałacu królewskim" wystawionego w maju 1916 r. w Pomarańczarni w Łazienkach, zachował się tylko afisz tego przedstawienia. Dwa lata później ogłosił poeta dwie jednoaktówki — „Kwiat pomarańczowy" i „Jarzębina" — będące częścią zamierzonego tryptyku „Romantyczności". I ten zamysł nie został zrealizowany.

Podobnie jak komedia „Pani Walewska", której luźne sceny i fragmenty publikował Lechoń w „Skamandrze". Dziś znamy zaledwie pięć luźnych scen z aktu pierwszego, o reszcie nie wiemy.

Nie ukończył Lechoń w swym życiu żadnego z większych utworów. Pozostawił zaledwie kilka fragmentów. Dlatego też ta książka składa się wyłącznie z ułamków, fragmentów, utworów niedokończonych, lub zgoła ledwie zaczętych. Ale są one bezcennym dokumentem literackim.

Jan Lechoń „Fragmenty dramatyczne", Czytelnik, cena zł ...

PRAHA

Przed sezonem turystycznym warto czytelnikom zarekomendować ciekawą książkę Eugenii Gieorgiewskiej pt. „Praha". Publikacja ukazała się w serii „Artystyczne stolice świata" Wydawnictw Artystycznych i Filmowych.

Praha należy do najpiękniejszych miast Europy. Od niepamiętnych czasów nazywano ją miastem stu wież i złotą Prahą — a określenia te oddają niepowtarzalną oryginalność i urodę architektonicznego oblicza miasta. W starych dzielnicach Prahy przeważają do dziś zabytki architektury gotyckiej i barokowej. O uroku miasta i jej malowniczym pięknie decyduje nie tylko architektura. Praha jest położona na wzgórzach rozmaitej wysokości (różnica poziomów w granicach miasta dochodzi czasem do 200 m), co stwarza nieoczekiwane, wspaniałe widoki.

Mało jest miast na świecie, które potrafiły utrzymać swoje historyczne centrum w tak doskonałym stanie. Miasto zawdzięcza to zresztą w znacznym stopniu swym mieszkańcom. Już na początku XX wieku powołano nawet specjalny klub miłośników praskich starożytności „O Starą Prahę", który położył wielkie zasługi w zakresie stałej ochrony i nadzoru nad stanem zabytków architektury w Pradze.

Książka Gieorgiewskiej (jest to tłumaczenie z rosyjskiego) wzbogaca ponad 100 fotografii ukazujących naocznie uroki tego pięknego miasta.

Eugenia Gieorgiewska „Praha", Wyd. Artystyczne i Filmowe, cena zł 40.

DZIEJE TEATRU

Kiedy trzecie już polskie wydanie „Dziejów teatru" dociera do rąk czytelników — ich autor prof. A. Nicoll, jeden z najwybitniejszych historyków i znawców światowego teatru i dramatu już nie żyje. Zmarł 17 kwietnia 1976 roku. Za szczególnie duży wkład Nicolla w rozwój wiedzy historycznej i teoretycznej o teatrze uchodzi założenie przez niego Instytutu Szekspirowskiego w Stratforcie.

Dzięki swym fundamentalnym dziełom stał się Nicoll rychło autorytetem zarówno w dziedzinie teatru i dramatu brytyjskiego jak i powszechnego. Na wszystkich polach swych badań umiał dawać twórczą syntezę, wiązać sprawy sztuki teatralnej z ogólnymi dziejami społeczno-kulturalnymi.

Nicoll, znawca teatru Europy, Azji i Ameryki, umiał zrozumieć i docenić tak trudno dostępne dla cudzoziemca polskie dramatopisarstwo i teatr. W pewnym stopniu pośredniczakami były tu zapewne obie żony uczonego — pierwsza Józefina Calina (zm 1962) i druga Maria Dubno — obie Polski z pochodzenia. Prof. Nicoll gościł po wojnie w Polsce, wygłosił tu szereg odczytów gorąco przyjętych przez świat teatralny. Dwie jego fundamentalne prace: „Dzieje dramatu" i „Dzieje teatru" zostały w Polsce przetłumaczone i miały po trzy wydania.

A. Nicoll „Dzieje teatru", PIW, cena zł 100.

MAGAZYN kulturalny Nr 9

SYMPATIE I ANTYPATIE (I)

Grażyna Skonieczna

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI

REGAŁ PEŁEN BUBLI (3)

Kontynuując nasz cotygodniowy cykl prezentujemy najciekawsze „okazy" z „MAGAZYNOWEJ" kolekcji książkowych bubli. Przedstawiając przez okres trwania „Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy" wybrane egzemplarze drukarskiej tandety żywimy nadzieję, że zachęcimy tym samym drukarzy do walki z partactwem, dyrekcje drukarń natomiast do zwiększenia kontroli i udzielenia wyjaśnień.

MAGAZYNIER

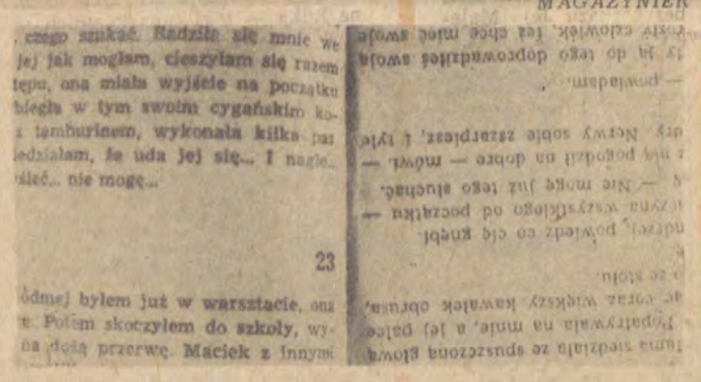

Foto: W. Parys

M. Olbromski: Dyskoteka. KAW, 1977, cena zł 25, s. 64—81. DRUK: Poznańskie Zakłady Graficzne im. M. Kasprzaka w Poznaniu, ul. Piotra Wawrzyniaka 39. Zam. 506/77.

POETYCKA SPÓŁDZIELNIA PRACY „RADOSNA TWÓRCZOŚĆ" świadczy usługi dla ludności

Autorka

Jako druga osoba na listę naszych członków wpisuje się pani ZOFIA KASPRZYK z Łodzi, nauczycielka języka polskiego w szkołach średnich zawodowych. Pani Z. Kasprzyk przysłała do PSP „kilka swoich fraszek, satyryczną interpolację oraz myśli i żarty" wraz z listem, w którym pyta: „nie wiem, czy moje rymowane twory zasługują na miano „poetyckich". Jeśli tak — czy zapewnia mi członkostwo PSP?", po czym jednak uspokaja nas: „Bez względu na orzeczenie Szanownych Jurorów, pozostanę na pewno członkiem — sympatykiem pierwszej w kraju Poetyckiej Spółdzielni Pracy". Jak widać — postawa twórcza pani Z. Kasprzyk jest przykładem prawdziwej „radosnej twórczości". Miło nam też było usłyszeć, że jesteśmy pierwsi w kraju. I jeszcze jedno: o przyjęciu do PSP nie decydują żadni „szanowni jurorzy". Kierownictwo PSP jest najwyraźniej jednoosobowe, o czym informuje wszystkich zainteresowanych

PREZES

CZY TO BAJKA, CZY NIE BAJKA (interpolacja)

Czy to bajka, czy nie bajka,
myślcie sobie, jak tam chcecie,
a ja przecież wam powiadam:
czarodzieje są na świecie!
Przy naczelnym zwykle siedzą
i o wszystkich wszystko wiedzą.
Każdy z nich bezbłędnie, snadnie
humor szefa w mig odgadnie,
więc przytupie i przyklaśnie,
jeśli tego szef chce właśnie;
jeśli zaś on skarci kogoś,
czarodzieje mu pomogą,
bo potrafią zmieniać postać,
głaskać, chwalić albo chłostać.
Wiedzą zawsze, skąd wiatr wieje
sprytni, czujni czarodzieje.

Każda sztuczka im się uda
(słów żonglerka czyni cuda!)
O swej cnocie prawią dziwy,
w sposób wielce osobliwy
różne grzeszki przemilczając,
to, co szpetne, upiększając.
W pracy także wciąż czarują,
rąk z kieszeni nie wyjmując.
Czarodziejskie wiodąc życie,
prosperują znakomicie;
jeśli w to dziś nie wierzycie,
że bajdurzę, myśląc skrycie,
tuszę, że już wkrótce sami
ich ujrzycie między wami!

ZOFIA KASPRZYK

W Galerii PWSSP otwarto poplenerową wystawę pn. „Łódzka Trasa W—Z", złożoną z kilkudziesięciu obrazów i fotogramów stanowiących artystyczną kronikę wielkiej budowy.

• • •

Sukces odnieśli młodzi łódzcy śpiewacy na zorganizowanym z okazji „Praskiej Wiosny" międzynarodowym konkursie wokalnym na najlepsze wykonanie partii Marzenki i Junika z opery Smetany „Sprzedana narzeczona". Absolwentka PWSM w Łodzi, Alicja Borkowska-Mojeda, zajęła drugie, a student Wydziału Wokalno-Aktorskiego tejże PWSM, Grzegorz Caban — trzecie miejsce (I nagrody nie przyznano).

• • •

W porozumieniu z ZŁ SZSP łódzki Teatr Wielki organizuje „Studenckie Wieczory Operowe" połączone z dyskusjami, w których udział zapowiedzieli znani polscy krytycy i muzykolodzy.

• • •

Wiele rzeźb (z lat 1954—1976) wybitnych polskich artystów zgromadziła wystawa w Muzeum Sztuki, będąca próbą uaktualizowania pojęcia rzeźby, jako jednej z dziedzin artystycznego działania w przestrzeni.

• • •

Trwają Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy. 3 maja zainaugurowała je w Łodzi sesja, naukowa poświęcona Andrzejowi Strugowi w 40-lecie śmierci. 13 i 14 maja odbywał się w pasażu Schillera tradycyjny już kiermasz książki. Na 30 stoiskach zgromadzono 3 tys. tytułów o szerokim wachlarzu tematycznym. Zorganizowano także 10 stoisk z loterią

KRONIKA

książkową. Drugi, nieco mniejszy kiermasz, odbędzie się 21 maja również w al. Schillera. Podobne imprezy odbędą się tego samego dnia w Pabianicach i Piotrkowie.

• • •

Przypominamy: 21 maja — Dniem Działacza Kultury.

• • •

Bawił w Łodzi — na zaproszenie PTL „Pinokio" — z bajką „Las Stribora" jugosłowiański teatr lalek „OGNJEN PRICA" z Osjeku. Na początku maja „Pstrąg" gościł „Teatr Akcji" z Christianii (Dania), z tej dzielnicy Kopenhagi, która od jakiegoś czasu zamieszkuje wyłącznie młodzież, zorganizowana w grupy samorządowe przeprowadzające własny program socjalny — formę walki o nowy styl życia, współną pracę i aktywność artystyczną. „Teatr Akcji" propaguje właśnie idee młodej społeczności Christianii.

• • •

Rozrzut laureatów XII Festiwalu Poezji mówi o tym, że — mimo iż już po raz drugi precyzyjnie określono jego temat — łódzki festiwal utrzymuje rangę ogólnopolską. Nagrody powędrowały do Poznania, Kalisza, Szczecina, Gdańska, Białegostoku i Bydgoszczy, ale część z nich została w miejskim województwie łódzkim, co cieszy szczególnie.

Zważywszy na znaczne wysłużenie (nie tylko łódzkiej) kadry translatorów, optymizmem nastraja również fakt, że jak się okazało po otwarciu kopert — zwycięzcy, właściciele wyjątkowo wymyślnych godeł, jak np. „Malec", „Kokon" i „Długi Marsz", to ludzie młodzi.

Nieoficjalne, jednoosobowe jury (w składzie: niżej podpisany) postanowiło nagrodzić (poprzez zamieszczenie nazwiska w prasie) Pana Jana Huszczę, za elegancję i dowcip, z jakim pełnił on honory domu w I dniu festiwalu. Jury wyraża jednocześnie ubolewanie z powodu Bohdana Drozdowskiego, który swym nieprzybyciem bolesny uczynił wyłom pośród referentów. Aby podkreślić niebagatelny udział uciech stołu (gościnnie zastawionego przez organizatorów z Łodzi i Sieradza), reprodukujemy — w uzupełnieniu tej notki — bon kolacyjny XII Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji.

(hoff.)

SALONOWIEC PO „WOLNYM STRZELCU"

Na oczekiwanym z pewnym napięciem (bo nie pozbawionym ryzyka) pierwszym z cyklu Studenckich Wieczorów Operowych w łódzkim Teatrze Wielkim, młoda publiczność uścisnęła dłoń, którą ku niej wyciągnął dyr. Bohdan Wodiczko, a po spektaklu przyłożyła drugą: by zgotować owację.

Salonowiec żałuje, że świadkiem tak spontanicznego dowodu sympatii łodzian dla teatru nie był red. Zygmunt Greń z „Życia Literackiego", któremu Łódź zawdzięcza jeszcze jeden w kolekcji krzywdzących epitetów, Salonowiec zaś osobiście — gwałtowne przebudzenie bezkrytycznych sympatyków talentu dyr. K. Dejmka (do nie-bezkrytycznych — oprócz Salonowca — dołączyła recenzentka „Polityki"), w tym również ocknięcie się paru „lwów" spod prasy popularnej — po trzech tygodniach co prawda od Salonowcowej (bo bynajmniej nie Salomonowej) oceny „Zwłoki" i „znakomitych aktorów" (por. w tej sprawie „Polityka" nr 19, s. 9) — ale z jakąż (iście ojcowską) odpowiedzialnością! Salonowiec nie bez satysfakcji zaobserwował moment błyskawicznej metamorfozy śpiących rycerzy w nadgorliwców.

Salonowiec gratuluje obrońcom świętości refleksu, a także szczególnego — trzeba przyznać — rodzaju „odwagi". Odwagi, która nie istnieje bez zagrzewki. O takiej „odwadze" owych spóźnionych rejrenistów red. Grenia, którym — nim ruszą do natarcia — wpierw trzeba dać przykład, koniecznie gromko i na całą Polskę, Salonowiec ma — jak o wszystkim co rośnie na drożdżach łatwej koniunktury — określone zdanie (cieszy fakt, że nie jest w nim odosobniony).

Przy okazji wszystkich dowodów na to, że jest czytany, i że od pierwszego wystąpienia ma swoich wrogów i przyjaciół, Salonowiec pragnie przypomnieć, co swego czasu powiedział Zbigniew Raszewski: teatr który nie wzbudza ostrych sądów po prostu nie żyje (albo żyje pozornie). W 1 numerze „Dialogu" z br. Henryk J. Rogacki celnie zauważa, że teatr pozostał jedną z nielicznych już dziedzin ludzkiej działalności, w której prawdziwie niepokoi jedynie bezapelacyjność sądów. Niech adwersarze Salonowca: koniunkturalnie przylizani „krytycy" i wyznawcy hasła „Świętości nie szargać!" — którym się wydaje, że orzą dla postępu sztuki — przypomną sobie tę jedną z podstawowych prawd o teatrze żywym!

PS. Ustalono, że pierwszą i ostatnią ofiarą nowego „trójkąta bermudzkiego" kultury jest pewien wytrawny krytyk z Krakowa, któremu silne wiatry wiejące ostatnio znad tegoż „trójkąta" rozregulowały całkiem ostrość widzenia. Inaczej nie mógłby on przeoczyć paru cyfr, które — choćby na przykładzie Teatru Nowego ładnie pokazują — jaką obojętnością i wstrętem darzy teatr łódzka publiczność (w maju w Teatrze Nowym po raz 109 idzie „Cień", po raz 134 „Egzamin", po raz 118 „Emigranci", po raz 141 „Operetka", w Powszechnym „Szwejk" przekroczył już liczbę 150 przedstawień). Co gorzej, ostatni raz tegoż krakowskiego krytyka widziano na premierze w łódzkim teatrze w dniu 13 lutego 1977 roku, co jednak nie przeszkadza, by w temacie Łodzi (a zwłaszcza reakcji publiczności, o której n.b. świadczy również święte oburzenie na apodyktyczność Salonowca) był chodzącą alfą i omegą.

Jak zatem widać, jedyną jest on osobą, po której autentycznie słuch w „bermudzkim trójkącie" zaginął...

Wszystkim miłośnikom poglądów zaginionego serdeczne wyrazy współczucia składa

SOL(ONOWIEC)

HORACY SAFRIN

W ŁÓDZKIM ZOO

WIELBŁĄD

**Gdy znalazł się na miejscu,
spytał pełen smutku:
„Wszak ja okręt pustyni —
cóż pocznę nad Łódką?"**

KRYTYKA I SAMOKRYTYKA

**Gdy kakadu swe „arra" powtarzał od ranka,
w klatce obok siedziała gniewna koleżanka.
„Co mówi ten pyszałek?" —
odezwie się druga.
„Ech, to słowa bez związku!
Paple jak papuga..."**

ZAKOCHANY SŁOŃ

**Słoń wdziękami pantery długo
się zachwyca.
„Cóż? Puściłeś mnie w trabę..."
— westchnęła słonica.**

O WIEKU

**Raz małpa, nie grzesząca bynajmniej urodą,
zagadnęła kangura: „Czy wyglądam młodo?
A wie pan, skąd pochodzę, szanowny kolego?" —
„Jeśli sądzić po zmarszczkach,
to z arki Noego".**

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

UKWIAŁY

Często nie ma już psa, a łańcuch ciągle warczy.

Ludzie powołani z powołaniem na zawołanie.

Wieprze: „Spójrzcie, znowu nam jakaś świnia podrzuciła perłę!"

Uważaj, aby podczas uroczystości nie wciągnięto cię na maszt.

I co z tego, że są stajnie Augiasza, skoro nie ma Herkulesa?

„PRZYSZŁOŚĆ"

Niezbyt różową przyszłość proponuje nam krośnieńska Spółdzielnia Inwalidów „Przyszłość". Do roku 1975 produkowana przez nią kłódka aluminiowa o symbolu rozpoznawczym 192-4-2/50 kosztowała 36 zł. W tymże roku Krosno awansowało na ośrodek wojewódzki. Reforma administracyjna podziałała ożywczo na zarząd. Obecnie taka sama kłódka bębenkowa kosztuje 76 zł, cena stoi więc w odpowiedniej proporcji do awansu miasta. Wprawdzie ostatnio wzrosły na rynkach światowych ceny aluminium, ale trudno uwierzyć, że aż tak znacznie, tym bardziej że na swój produkt zużywa spółdzielnia „Przyszłość" zaledwie kilka dekagramów glinu. Mimo tak krzyczącego podniesienia wartości rynkowej wyrobu i oznaczenia go I gatunkiem posiada on istotny brak. W instrukcji wydrukowanej na torebeczce z folii, głosi się urbi et orbi: „Uwaga! Mechanizm kłódki nie oliwić". Nawet inwalidów nie usprawiedliwia podobne kalectwo językowe.

P.S.: Do wiadomości prezesa: w języku polskim przy przeczeniu używa się dopełniacza. kf.

Z CYKLU „PUDŁA"

Zapewne nie tylko nieuwadze korekty należy zawdzięczać te lapsusy, jakie wypatrzyliśmy ostatnio na łamach łódzkiej prasy... W komunikacie o „Czwartku Literackim" z udziałem U. Kozioł wszystkie gazety codzienne podały, że wiersze czytać będzie m. in. Wanda Fiałkowska. Nawet recenzent teatralny „DP" (jb) nie poprawił brzmienia nazwiska wieloletniej łódzkiej aktorki Wandy Chwiałkowskiej. („DP" nr 90). Natomiast w nr 92 „DP" pisarz i satyryk G. Marczik cytuje myśl Marksa. Nie wiadomo, czy nieuwadze tłumacza korekty czy drukarskiemu cnotliwkowi zawdzięcza cytat ten dodatkowy, żartobliwy sens. Zacytujmy: „Dzięki satyrze społeczeństwo żegna się ze swoją ciężką przyszłością z uśmiechem"...

I co na to miłośnicy powiedzonka: „Uśmiechnij się, jutro będzie lepiej"?...

Za tydzień WYDANIE SPECJALNE „MAGAZYNU KULTURALNEGO"

26—30 kwietnia: III Festiwal Polskiej Muzyki Jazzowej pn. „Łódzkie Spotkania Jazzowe 78" zorganizowany przez Studenckie Stowarzyszenie Jazzowe w Łodzi. Festiwal nie miał charakteru konkursu, służył konfrontacji zespołów profesjonalnych i popularyzacji muzyki jazzowej. Odbyło się 25 pełnospektaklowych koncertów i szereg jam-sessions prezentujących wszystkie kierunki polskiej muzyki jazzowej. Na fotografii: Vistula River Brass Band.

Tak wygląda na razie przyszłe Centrum Kultury Studenckiej w Łodzi. Prace mają się zakończyć do października 1978 r.

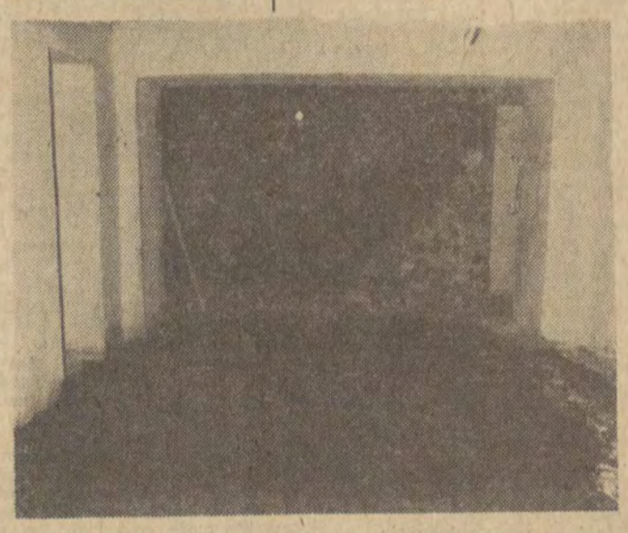

Foto: Ryszard Łucyszyn

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch" Wydawca Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652 41 i 680-99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 1079. I-2.